

ABRAM TERC

OPOWIEŚCI FANTASTYCZNE

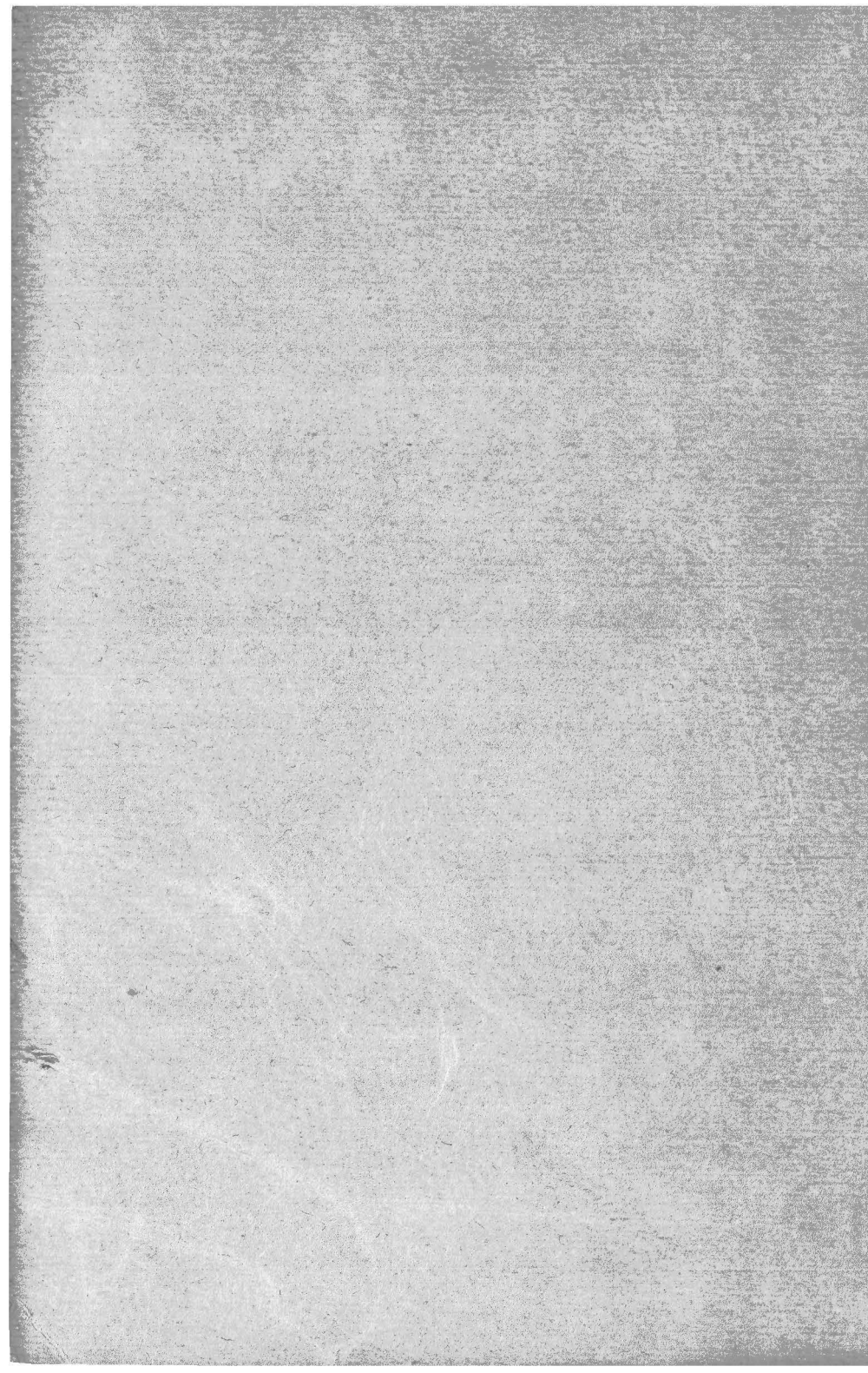
INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1961



OPOWIEŚCI FANTASTYCZNE

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom LXVIII

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

ABRAM TERC

OPOWIEŚCI FANTASTYCZNE

Przetłóżyli z oryginału rosyjskiego
Józef ŁOBODOWSKI i Stefan BERGHOLZ

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1961

CZYTAJĄC TERCA

(Zamiast przedmowy)

1

Oficjalny panegirysta Justyniana i Teodory, historyk Prokop z Cezarei, zostawił po sobie sekretną kronikę, w której odnotował ich zbrodnie i plugastwa¹

Autora „Historia arcana” ujawniono dopiero po stuleciach — enkawudyści Justyniana pracowali chałupniczymi metodami.

Jest to klasyczny wypadek i wzór pisania do szuflady².
Czy w ZSSR istnieje literatura szufladowa?

2.

Na ubitej drodze z Bizancjum do Moskwy zatrzymajmy się na przystanku polskim.

Pewien literat z kraju lubił opowiadać, że gdy w okresie odwilży wyciągnął z szuflady swoje potajemnie zapisane papiery, stwierdził, że fajerwerkiem symbolów i rozumowań udowadniał był — z maniacką konsekwencją — przez tyle lat! — że za dnia na przykład jest jasno, a w nocy ciemno. Krótko mówiąc, pisarz non-konformista w Polsce bierutowej wikłał się w truizmie, a łut szaleństwa, bez którego nie ma twórczości, marniał w partackich rękach

socrealistów. On zaś, nieprzejednany, wszystko jedno — mistyk czy nihilista, siłą sytuacji, *nie zdając sobie z tego sprawy*, schnął zepchnięty na dno najbardziej jałowego i wyjąławiającego *common sensu*.

Okazało się tedy, że szuflady polskich nonkonformistów były wypełnione śmieciem. Jak to bywało już nie raz, najgroźniejszy dla kultury ten porządek rzeczy, który wyjąławia swoich przeciwników.

Dodawał jeszcze ów krajowy literat, że tylko ci, którzy „doszłusowali”, którzy we własnej praktyce zgłębili *mechanizmy* zniewalania, samoupodlenia, alienacji, *double-think*’u, Ketmana wreszcie — mieli szansę stworzenia rewelacyjnej literatury. Zmarnowali tę jedyną okazję. Cofnęli się przed elementarną przecież alchemią pisarską: nie mieli odwagi obnażyć sobie i światu własnej hańby, by przetworzyć ją w chwałę odkrycia. Być może zaciążyła tu m.in., po raz któryś w polskim piśmiennictwie, potęga konwensu towarzyskiego, szczególna troska o *respectabilité*, wynikająca z sytuacji artysty w społeczeństwie z obyczaju i ducha szlacheckim.

Paradoksy owego literata wydają się przekonywujące. Poematy dla Dorosłych powstawały wtedy, kiedy partia rządząca, nie tylko w Polsce, była w niepowstrzymanym zdawło się rozpędzie, wystawiona na presję mas, rozsadzana od wewnątrz walkami frakcyjnymi; kiedy starzy weterani — gdy ze śmiercią Wodza osłabł odruch warunkowy Totalnego Strachu — przypominali sobie sprofanowane ideały górnej młodości, a janczarska młodzież przecierała oczy. Rzeczy to zresztą znane. Wtedy to w panice, by się nie spóźnić (tyle lat prosili polityków: „ponaglajcie nas, gdy nie nadążamy!”), opętani imperatywem samousprawiedliwienia, szukając za wszelką cenę alibi moralnego, wymyślali zawiłe konstrukcje myślowe, bądź też rzucali się na gotowe wzory interpretacyjne, biorąc je od obcych ich doświadczeniom — Camusa, Sartre’a, Koestlera, Vercorsa (jego nowela portugalska) i tylu innych. Odgradzali się wołając: „wy” i „oni”, a gdy nawet któryś mówił „ja”, albo „my” (sporniewierane, to niegdyś dumne „My”!), czynił to przy podrzędnym detalu; podobnie u co zmyślniejszych socrealistów, dla większej wiarogodności, marcepanowym bohaterom pożytywnym cieknie z nosa.

Łatwo tu zostać opacznie zrozumianym — w tym składzie porcelany... Nie idzie tu, rzecz jasna, o obrzydłą „samokrytykę”, rachunki grzechów iksa-ygreka, które na dobrą sprawę nikogo nie obchodzą. Mowa tu o tchórzostwie psychologicznym i umysłowym, po prostu — pisarskim. Pozbawiło nas ono literatury naprawdę rewelacyjnej i nareszcie niewtórej, i zamazało rewelacyjny w skali światowej obraz Okresu Błędów i Wypaczeń.

Le peuple sait beaucoup de ce qu'il ignore, les intellectuels ignorent à peu près tout ce qu'ils savent — pisał Unamuno, a literatura, być może, jest koniec końców tylko *une exercise du vague?*

Tak czy owak, wartościowej literatury szufladowej w Polsce nie było.

Czy istnieje ona w Związku Radzieckim?

3.

Cisnie się pod pióro tragiczne nazwisko Borysa Pasternaka. Nie trzeba włączać „Doktora Żiwago” do szufladowej literatury i nie dlatego, że autor pisał tę książkę jawnie, z myślą o drukowaniu w kraju. Rzecz ważniejsza: był fenomenem nieadaptacji, od stóp do głowy nieprzemakalny dla stylu życia bolszewickiego. Organiczna nieprzenikliwość, długie lata cierpień i gorzkiej refleksji, samotność wśród swoich wyniosły Pasternaka na wyżyny, z których ogarnął i zsumował pół wieku życia ludzi swego kraju jako ogrom nieszczęścia — nieszczęścia jednostek, rodzin, elit, społeczeństwa, narodu.

Mniejsza o to, że jego liryczna interpretacja Rewolucji jest żenująco błędna. Osobliwość wielkich pisarzy jest chyba to, że trafiając w samo sedno egzystencji i esencji swego społeczeństwa i swoich czasów — przez fatalność demonii i dramatyzmu własnego ducha — zniekształcają postać rzeczy widomą, mitologizują związki i motywacje. Prawdy okolicznościowe, akcydentalne, prawdy powierzchowne są natomiast przeważnie domeną pisarzy drugorzędnych³.

Zejdźmy zatem z wyżyn Pasternakowych na bezkresną równinę, o której 150 lat temu pisał rosyjski filomata Wenewitinow (cytuje z pamięci):

*Smiriенno płoskije palia.
W Rassyi samaja strana
Szczitajet wysotu za dierzost'.
Griaz', woń, mierzost', tarakany
a nado wsiom chaziajski knut
i wot czto mnogije batwany
swiaszczonnoj rodinoj zowut.*

— na tych płaskościach spotkamy Abrama Terca, *rzecznika szufladowej literatury sowieckiej*.

4.

Kim jest Abram Terc, autor przemyconej z ZSSR i ogłoszonej przez „Kulturę” książki „Sąd Idzie” oraz niniejszego zbioru nowel?

Czy jest obywatelem sowieckim? Najpobieżniejsza lektura potwierdza to ponad wątpliwość: nikt inny nie wymyśli takich szczegółów „bytu”, odcieni frazeologii.

Czy rzeczywiście jest Abramem (względnie Izakiem, itp.)? Elementarne wymogi konspiracji kazałyby Abramowi nazwać się Iwanem Iwanowiczem, i odwrotnie, rdzenny Iwan Iwanowicz nie wymyśli lepszego *nom de guerre* w kraju tak antysemitkim.

Ale istnieje wyższa konspiracja, ta jaką uprawiał chertontowski „Człowiek który był Czwartkiem”, czy komiwojażerowie w pociągu ze znanej żydowskiej anegdoty. Kto rozsądny uwierzy, że „Abram Terc” jest naprawdę Abramem — w kraju tak antysemitkim? Wszelki zaś wywód etnologiczny dzieła literackiego skażony jest od podstaw błędem *petitio principii*: wie się albo domniemywa, że autor jest Żydem, Lapończykiem itp., toteż znajduje się z łatwością znamiona popularnych stereotypów. Znajdziemy więc u Terca żydowski *Mutterwitz*, ale i rdzennie moskiewski sarkazm, żydowską histeryczność, ale i kacapską ordynarność. Zatem: Żyd czy nie Żyd? — pytanie pozostaje nierozstrzygnięte.



W przedmowie do „Sąd Idzie” G. Herling-Grudziński przedstawia Terca jako młodego pisarza, reprezentanta dzisiejszej młodzieży sowieckiej.

Rzeczywiście, opowieść „Sąd Idzie” na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie wybuchu młodego talentu. W rodzaju Hłaski. Ale — w zamian: szkic Anonima o „Realizmie socjalistycznym”, również pióra Terca*) (jednakowe tezy, tu i ówdzie te same zdania), jest świadectwem długiej refleksji i solidnego przygotowania humanistycznego. Ale skądinąd pamiętamy, że jest to czas i obszar życiowy Wunderkindów, co tak pięknie okazali, nazajutrz po ruszeniu lodów, młodzi polscy humaniści.

Za młodością Terca przemawiałyby: eklektyzm i byle-jakość środków stylistycznych, język z różnych parafii, który niedość się zmelanżował w styl i pismo osobiste — ale może to też być ceną kamuflażu, pisania lewą ręką; pewien zamecik wyobraźni i labiryntowość wątku myślowego i fabularnego — ale bywa to czasem cechą konstytucji autorskiej niezależną od wieku; zająkliwość mowy — niekiedy świadoma to przecież maniera; młokosowskie wreszcie wygłupy — ale i one należą do repertuaru pewnej rosyjskiej tradycji pisarskiej (i nie tylko pisarskiej: Suworow — Chruszczow), której Terc jest świadomym kontynuatorem, o czym obszerniej dalej. Więc może — niemłody?

Ale — Terc nie był ani na froncie, ani w lagrze, są to bowiem przeżycia i tematy nieodparcie natrętne, a nie ma ich w jego utworach. Za to jest tam wyborne obycie z manierami i stylem enkawudzystów, z ich sloganami⁴; celne obrazki ich „popojek”, kapitalny portret enkawudowskiego dygnitarza średniej rangi, pułkownika Tarasowa z noweli „Gołoledź”, godny stanąć w rzędzie szczedrynowskich gradonaczalników miasta Głupowa.

Przesiedziałbyś się tedy Abram Terc w „wewnętrznej tiurnie NKWD”? Albo — bywał-że ciągniony na doprosy, za Kultu Jednostki? Podważyłoby to tezę Herlinga o młodości Terca.

Nie jest więc młody? — za tym przemawiałyby nie tylko ciężka suma doświadczeń, znajomość życia, środowisk — bo tę wstępny bojem zdobywają cudowne dzieci, ale parcie długo tajonej odrady, *nakipiewszaja złoba*, która tu

*) Dziś możemy autorytatywnie stwierdzić, że A. Terc jest autorem „Realizmu socjalistycznego” (przyp. wyd.).

i ówddie rozsadza wątłą niekiedy strukturę utworów Terca.

Zatem — młody czy niemłody? Teksty, jak wyrocznie, dają odpowiedź dwuznaczną.



Czy za pseudonimem Terca kryje się pisarz znany, w każdym razie publikowany w swoim kraju, czy debiutant?

Wspomniałem o niewybredności i eklektyzmie środków i chwytów artystycznych, o typowym tremolo żółto-dzioba itd. — które to znamiona świadczyłyby za tezą, że Terc jest debiutantem. I podważyłem tę argumentację, wskazując na mus zacierania śladów, naginanie się do obcego „pisma”; na domniemywane cechy konstytucyjne; na pewne tradycje rosyjskiej literatury — od „łubocznego” piśmiennictwa, poprzez Dostojewskiego i Leskova do Sołoguba.

Co ważniejsza — u Terca bok o bok z niezdarnością i prymitywizmem znajdujemy kartki literacko świetne. Na przykład — sen w opowiadaniu „Gołoledź” (str. 159). Terc niewątpliwie czytał Poego, zapewne i Kafkę. Ale nad rzeszę ich naśladowców i post-freudycznych wymyślicieli snów wynosi go tutaj swoista prostota i nieodwołalność sennego autentyku oraz najściślejsze wwiązanie w plecionkę życia sowieckiego.

Wspomniałem już o kapitalnym portrecie pułkownika Tarasowa. Albo — prokuratora Głobowa (z „Sąd Idzie”) — zamazane wydają się wobec nich sylwetki czekistów pióra wytrawnego bądź co bądź pisarza Iwanowa Razumnika („Tiurmy i Zsyłki”). Znajdziemy u Terca obok bezsprzecznego kiczu — kompozycje jednolite („Lokatorzy”, „Ty i Ja”); wysoką sztukę kontrapunktu — w noweli — najlepszej — „Ty i Ja” itd. itd.

Naturalnie, tego rodzaju przeplatanka mielisz ze wzlotami, kiczu z natchnieniem bywa znamieniem rozpisanego i utalentowanego, ale bądź co bądź amatora, który jeszcze nie terminował w dyscyplinie druku. Bywa — ale nie musi.

Opowiadanie „Grafomani”, daje wgląd w te sprawy oraz w zapoznaną stronę egzystencji pisarskiej w ZSSR.

Na wszystkich „spotkaniach” literaci sowieccy oszalałają zachodnich kolegów milionowymi cyframi nakładów, daczami, Zisami: Periedelkino — ni to edenem Starca z

Gór, ni to opactwem Telemu. W zasadzie, wiadomo, członkowie Związku Pisarzy Sowieckich są na utrzymaniu państwa — jak niegdyś w Bizancjum — w dość luźnym związku z ilością i jakością swojej produkcji. Ale na jakie z górą 10.000 (chyba?) członków Związku ilu jest użytkowników nieograniczonego konta w banku? — kilku zapewne. Ilu posiadaczy dacz? — kilkuset? A reszta?

W opowiadaniu „Lokatorzy” zapijaczony literat, nasz-kicowany z dyskretną i ciepłą intymnością autoportretu — prawdziwego czy udanego — zajmuje ubogą *żyłpłoszczad'* we wspólnym mieszkaniu i żyje w zapuszczeniu i gorzkiej samotności. Ciekawszą rzecz rewelują „Grafomani”: rzesze aspirantów do sławy i bajońskich zarobków, obijające progi redakcji i wydawnictw: obwieszeni medalami wysłużeni pułkownicy, „stare kobiety w pince-nez à la Czechow, piszące na tematy hodowli świń, młodzi neofici z lokami à la Puszkina, tworzący pod Jesienina” itd. Niektórzy są pewno utalentowani, a zważywszy redakcyjną selekcję („Czechowa studiujcie! Turgieniewa! Tołstoja, Lwa Nikołajewicza!”) — może i więcej: „Szekspir był też grafomanem... tylko że jemu się powiodło”.

O istnieniu w ZSSR masy grafomanów na ogół się nie słyszy — nie ma tam, bo być nie może, zmarnowanych losów i aspiracji, jak nie ma chybionych prób ze sputnikami. A przecież zjawisko to powszechne, a w Rosji naturalniejsze i zapewne bardziej rozpowszechnione niż gdzie indziej: reklama, czyniona wokół „inżynierów dusz”, zmitologizowała karierę literacką, jak gdzie indziej — filmową, jak we Włoszech np. — kościelną.

Gdzie zatem szukać Abrama Terca: wśród renomowanych luminarzy, chudych literatów, czy „grafomanów”?

Snop światła, zresztą też dwuznaczny, rzuca opowiadanie „W cyrku”. Pierwsze to z sekretnych utworów Terca, napisane w przełomowym roku śmierci Stalina. Historia o wesołym, zadziornym złodzieju-przecherze, jakich wiele w rosyjskiej literaturze, poczynając od XVIII-wiecznego Wańki Kaina; *genre*, w którym króluje Babel — uprawiany przez Kawierina, Erenburga, nawet pisarza młodzieżowego Gajdara. Z wyjątkiem dwóch przygodnych zdań, przykrych dla patriotycznego ucha, opowiadanie-felieton „W cyrku” mogłoby się ukazać na przykład w „Krokodylu”. Czemu Terc nie skorzystał z legalnych możliwości druku?

Utwór to zdecydowanie konwencjonalny, przecież nie jest to na ogół wadą w ZSSR, raczej na odwrót. Terc nie chciał drukować w ZSSR? W takim razie nie jest owym „grafomanem” szturmującym do wrót gabinetów redaktorskich. A może — jak wielu innych — ze śmiercią Wodza raptownie się zbudził z kataleptycznego — czy oportunistycznego — letargu i zdjęty wstrętem do siebie i świata skazał się na wewnętrzną emigrację? Ale po cóżby autor zjadliwego pamfletu na socrealizm zaczynał swoją szufladową działalność od rzeczy obojętnej, polityczne niewinnej?

Może już był tak pełen obrzydzenia do własnego legalnego pisarstwa, że mu się ręka przestała układać do pisania? Ale jeżeli zdawał sobie sprawę ze słabości tej neo-pierwociny, po co ją przekazał za granicę? Może w minionym swoim życiu literackim pisał w taki właśnie sposób, konwencjonalnie, z sowieckim zadziorem — i odnosił sukcesy? — wystarczyłoby zatem policzyć, kto z renomowanych socrealistów w tym czasie zamilkł? A może i nie zamilkł, może pisze w dalszym ciągu na dwie ręce? Może to sam Kożewnikow?

Zarty na bok. Wydziela się z tej książki dojmujący i zapewne niepodrobiony odór resentymentu, doznanych zawodów, upokorzeń, zawiści — piekła zdeklasowanego inteligenta i najniezszczęśliwszej jego odmiany — literata zmarnowanego czy zawiedzionego. Teksty Terca mogłyby posłużyć za materiał do „Zapisek iz podpolia” dnia dzisiejszego.

Z rozważań naszych wypada zatem świetne plemię ordienonosców, ale stoimy nadal przed alternatywą: literat aktywny (tzn. członek Związku Pisarzy), drukowany — czy debiutant?

Odwróćmy, skoro już o tym mowa, bieg rozumowania.

Rzecz to znana, że niewłaściwie odczytuje się na Zachodzie literaturę sowiecką. Dla przykładu dwie książki. Pierwsza — z okresu względnej swobody (przed r. 1928-9), napisana przez pisarza starszej generacji, zatem przez człowieka zastraszonego, ale jeszcze nie złamanego i nie odmienionego: powieść Weresajewa „Dwie siostry”. Odczytano ją w swoim czasie jako usprawiedliwienie kolektywizacji — zachodnich czytelników zmyliły zapewne papierowe monologi komunistów, gdy w istocie jest to tragiczne *j'accuse*, tylko wypowiedziane głosem cichym, pod surdynką. Nie

zwrócono nawet uwagi na szydercze nawiązanie w samym tytule do czechowowskich „Trzech siostr”.

Druga pozycja jest o wiele ciekawsza: Erenburga „Drugi Dzień Stworzenia”.

Uznano ją współcześnie w ZSSR za przełomową w twórczości wolteriańskiego autora „Julia Jurenity”, który koło tego czasu ostatecznie wybrał wolność w Związku Sowieckim. Schemat który posłużył już do „Obłomowa”: szlachetny dekadent, nieprzystosowany do życia, relikwyt kojarzący klasę i kulturę — i ten, który mu zadał cios ostateczny, dynamiczny i konstruktywny bohater pozytywny, żywa hipostaza „wschodzącej klasy”. Robię to wpływołogiczne zestawienie, mimo niechęci do takowych, bo wskazuje ono naocześnie, jak tandetnie — wobec gonczarowskiego Stolza — nieszczerzy i papierowy jest pozytywny bohater Erenburga.

Konsekwentny marksista winienby tu pośpieszyć z wyjaśnieniem, że dzieje się tak dlatego, że jego klasa (robotnicza) bynajmniej nie jest — w ZSSR — „wschodzącą”. Erenburg wyposażył nostalgicznie swego młodego dekadenta we wszystkie uroki wysokiego umysłu, wyrafinowanej kultury — ku skazańcowi ciągnie serce pisarza! — mimo to wpłtuje go w przygodę „subiektywnie” niechcianej, ale „obiektywnie” nieuniknionej zмовy z nikczemnikiem (Iwan Karamazow i Smierdiakow — sam autor sufleruje nam ten wzór). Z masochizmem kającego się inteligenta pcha zatem ulubieńca w zbrodniczy sabotaż, spowiedź publiczną i zaśłużoną karę (znów Dostojewski); odbiera mu naturalnie wspaniątą dziewczynę i rzuca ją w objęcia młodego proletaria, którego przystroił we wszystkie socrealistyczne cnoty. Erenburg nigdy nie był wulgarnym socrealistą, posiada bogatą paletę odcieni, aluzji, półsłówek — jest schematycznie antyschematyczny, jest po prostu funkcjonalny, czyli instrumentalny.

Tej oto — z jednej strony skomplikowanie szczerzej, a z drugiej — ambiwalentnie podstępnej i negatywnej apologii budownictwa socjalistycznego Zachód ze swoim brakiem wrażliwości na obce obyczaje, rytury i kultury, nie zrozumiał. Czy zrozumieli cenzorzy partyjni? Zapewne tak, skoro wkrótce wycofano książkę z obiegu. Zresztą, z ostatecznym zapanowaniem marcepanowego sowieckiego „ampiru”, jakże musiała kłuć w oczy — ujawniona przez Eren-

burga jako odskocznia do „rewolucyjnego patosu budownictwa” — rzeczowa prawda o kosztach pięciolatki: wszy, alkoholizm, zdziczenie, poniewierka mas spędzonych ze swoich siedzib na ziemię nieludzką, fanaberie i samowola moc dzierżących. Faktem jest, że władze, skwitowawszy akces autora, zesłały powieść na indeks, i wydano ją ponownie dopiero w r. 1954, w zbiorowym wydaniu dzieł.

Gdy po długim — daj mu Boże — życiu, smutny ten człowiek, przez swoją nazbyt szpicfinderską inteligencję wciągnięty w tryby piekielnej maszyny, gdy Ilia zatem Erenburg stanie przed Stwórcą, będzie mógł wskazać na ten swój utwór: „Ty, Który zgłębiasz serca... przecież już samym tytułem mówiłem ludziom: patrzcie, co *oni* zrobili ze *swoim* dniem stworzenia, jak szkaradnie przedrzeźniali Twoje dzieło! Nie moja wina, że ślepi — nie widzieli, głusi — nie słyszeli”.

Ba, byle który Kozewnikow — w ów *dies irae, dies ille* — będzie mógł wskazać palcem: „tu i tu dałem tyradę anty. Włożyłem ją w usta niegodziwca? Dla niepoznaki. Co miałem robić? Milczeć? — Akmeista Narbut milczał i zginął w lagrze, z partią niezdolnych do pracy zatopiony w jeziorze. Musiałem”.

Istotnie, na pytanie „co miałem robić” istniała tam jeszcze jedna tylko odpowiedź — odpowiedź szekspirowska: umrzeć.

(Mówię to do ucha chełpliwym polskim literatom: aby nie wynosili się nad swoich sowieckich kolegów, w Polsce bowiem nikt „nie musiał”).



Zatem — po tej długiej i przyłatanej dygresji wracając do Terca: amator czy znany literat?

Na to, jak i na żadne z licznych pytań, nie dostaliśmy odpowiedzi.

Zresztą, gdyby mogło być inaczej, przedmówca, ze zrozumiałych względów, nie powierzyłby swoich inwestycji zadrukowanemu papierowi.

„Na co więc te bałamuctwa — zdenerwuje się czytelnik, — skoro do niczego nie prowadzą!” — Czy naprawdę do niczego?

Określiłem Terca jako rzecznika sowieckiej literatury szufladowej, tzn. jako typowy wolny głos z tamtej strony, przy czym typowość nie dotyczy stylu, temperamentu itp., ale najogólniejszej postawy umysłowej i emocjonalnej.

W inteligentnym i bolesnym szkicu „Co to jest realizm socjalistyczny”*) Terc daje zwarty na pozór zespół poglądów nie tylko na socrealizm, ale i na doktrynę i praktykę komunizmu. Warto przyjrzeć się im z bliska.

Najpierw parę omówień.

Terc jest nie tylko analitykiem szczególnej sytuacji swego kraju, ale i jej wytworem — zaś programowe wykończenie w ZSSR wszelkiej kultury semantycznej stawia go poza zasięgiem narzędzi autokontroli oraz techniki poprawek. W poglądach jego, obok bystrych obserwacji i sformułowań, dają o sobie znać liczne i ważne deformacje środowiskowe. Nieświadomie przejął od ideologów marksizmu nieprecyzyjność i wieloznaczność podstawowych pojęć i założeń, którą tamci uprawiają intencjonalnie, pozwala im ona wyciągać wnioski stosowne do każdorazowej potrzeby i zadań chwili bieżącej, na co wskazywano już niejednokrotnie. Stosuje przeróżne paralogiczne procedery i modele myślowe z bogatego arsenału „oreża ideologicznego” komunistów (bądź progresistów), o czym obszernie — dalej. Przejmuje, albo też biegunowo odwraca znane sowieckie sztampy, jest zaś fatalnością sztampy, że kto się zbliża, zostaje wciągnięty w błędne koło, jak to przytrafiło się polskim literatom w pierwszej połowie 50-tych lat: walcząc z tzw. schematyzmem, wpłątywali się w schematyzm swoich antyschematów. Ulega wreszcie silnemu naciskowi emocji na orientację myślową — w jego wypadku są to emocje ambiwalentne, o czym również dalej. Jako literat bywa nadto ofiarą własnych metafor.

Przedmówca, bez pretensji na besserwisserstwo, (ale koniec końców, nie wszystko widać lepiej „od wewnątrz”) zajmie się krytycznym rozbiorem poglądów Terca w sposób nużąco małostkowy. Wychodzi bowiem z założenia, że w dobie obecnej nie ma dla obserwatora spraw ludzkich

*) Abram Terc. *Sąd Idzie*, Instytut Literacki, Biblioteka „Kultur” Tom XLVI, Paryż 1959.

pilniejszego zadania, aniżeli: wnieść trochę światła w półmrok problematyki komunizmu.

Po drugie: niełatwo jest odcyfrować poglądy Terca, zwłaszcza te, które wyraził *expressis verbis*. Jak wszelki autoironista, umieścił się na styku ironii i „serio”, co nadaje jego własnemu *prise de conscience* stałą migawkowość (efekt artystycznie opłacalny, ale intelektualnie zdradziecki), a egalitarną z przyrodzenia ironią zamazuje granicę między sobą a „nie-sobą”. Gombrowicz np. jest pozornym ironistą: monstualna megalomania, nieodłączna zresztą od jego rzeczywistej wielkości, czyni go pisarzem patetycznym.

Sam Terc nie zawsze mógłby ustalić, gdzie sztydzi, a gdzie aprobuje, a przyparty do muru przez pedanta, mógłby z dobrą wiarą wykręcić się: „sztydziłem”.

Ale dość omówień.



Według Terca: cel jest przyczyną sprawczą wszelkich ludzkich poczynañ, a wszystkie cele poszczególne podporządkowane są jednemu Celowi generalnemu.

„W historii zdarzają się okresy, kiedy obecność Celu staje się oczywista... Tak powstała cywilizacja chrześcijańska... Następnie epoka indywidualizmu ogłosiła swobodę jednostki i zaczęła ją uwielbiać jako Cel... Obecnie wstąpiliśmy w erę nowego wszechświatowego systemu — celowości socjalistycznej”. („Sąd Idzie” str. 98). „Cel — to komunizm, znany w swej młodości pod nazwą socjalizmu”.

„Teleologiczna specyfika marksistowskiego sposobu myślenia zmusza do tego, by wszystkie bez wyjątku pojęcia i rzeczy sprowadzić do Celu, połączyć z Celem, określić przez Cel”. (str. 102).

„Zachodni liberal-indywidualista, albo rosyjski inteligent-sceptyk znajdują się w stosunku do socjalizmu na takiej samej pozycji, jaką zajmował w stosunku do zwyciężającego chrześcijaństwa mądry rzymski patrycjusz. Nazywał on nową wiarę w ukrzyżowanego Boga barbarzyńską. Ale nie czuł się na siłach wysunąć... poważnych argumentów przeciwko istocie chrystusowego i d e a ł u”. (str. 99).

„I tak oto wstał przed nami jedyny Cel wszechświata, piękny jak wieczyste życie i zobowiązujący jak śmierć. Rzuciliśmy się ku niemu... pozbawiając się po drodze wszystkiego, co mogłoby opóźnić nasz niepowstrzymany bieg... Bez żalu uwalnialiśmy się od miłości bliźniego, od swobody jednostki i innych przesądów dostatecznie już przegniłych i jakże żalosnych w porównaniu z ideałem, który

nam się objawił. W imieniu nowej religii oddały życie tysiące wielkich męczenników rewolucji. (str. 102)... Ale nie tylko... naszą krew i ciało oddawaliśmy nowemu Bogu. Przynieśliśmy mu w ofierze nasze śnieżnobiałe dusze i zachlapaliśmy je brudem, zebrany z całego świata. Jak to przyjemnie być dobrym, pić herbatę z konfiturą, hodować kwiaty, miłość, pokorę... Kogo uratowali? — co zmienili w świecie? — ci humanistyczni egoiści... A my nie dla siebie pragnęliśmy zbawienia — dla całej ludzkości... To jeszcze nie komunizm, ale już bardzo blisko do komunizmu. I oto wstajemy, zataczając się ze zmęczenia, i obejmujemy ziemię krwią nalany mi oczami i nie znajdujemy dokoła siebie tego, cośmy spodziewali się znaleźć.

Aby na zawsze znikły więzienia, nabudowaliśmy nowych więzień. Aby padły granice między państwami, otoczyliśmy się chińskim murem. Aby praca stała się w przyszłości odpoczynkiem i przyjemnością, wprowadziliśmy ciężkie roboty. Aby nie polała się więcej ani jedna kropla krwi, zabijaliśmy, zabijaliśmy, zabijaliśmy". (str. 103).

„Dlaczego śmiejecie się, kanalie? Dlaczego wytykacie... pecyny z krwi, błota, które oblepiły nasze marynarki i mundury? Mówicie, że to nie komunizm, żeśmy zboczyli z drogi i znajdujemy się dalej od komunizmu niż na samym początku? Dobrze, a gdzie jest wasze Królestwo Boże?... Gdzie jest swobodna osobowość obiecanego przez was nadczłowieka?

„...Osiągnięcia nigdy nie są identyczne z Celem w jego pierwotnym ujęciu. Środki i wysiłki, zużyte dla osiągnięcia Celu, tak zmieniają jego rzeczywiste oblicze, że już trudno go poznać. Stosy inkwizycyjne pomogły do utrwalenia Ewangelii, ale co po nich z tej Ewangelii zostało? A przecież — i stosy Inkwizycji, i Ewangelia... — wszystko stanowi jedną wielką cywilizację chrześcijańską.

Tak, żyjemy w komunizmie. Jest tak samo podobny do celu naszych dążeń, jak średniowiecze — do Chrystusa, współczesny człowiek Zachodu — do wyzwolonego nadczłowieka... A jednak jakieś podobieństwo istnieje. To podobieństwo tkwi w podporządkowaniu wszystkich naszych działań, myśli i odruchów temu jedynej Celowi, który, być może, dawno już stał się nic nie znaczącym frazesem, ale nie przestaje wywierać hipnotycznego wpływu i popychać nas naprzód i naprzód — nie wiadomo dokąd. I sztuka, i literatura musiały znaleźć się w trybach tego systemu i przekształcić się, jak przepowiadał Lenin, w „kółko i śrubkę” olbrzymiej państwowej maszyny”... (str. 104).

Teleologizm (finalizm) sowiecki tak boleśnie opisany przez Terca, wycisnął też piętno na jego własnym myśleniu.

Nie miejsce tu na ogólną krytykę finalistycznego myślenia, bardziej powołani przeprowadzali ją zresztą nie raz*)

*) Rzeczą jasną, żaden komunista nie przyzna się do teleologii. Wręcz przeciwnie. W obowiązującej w swoim czasie każdego początkującego komunistę książce Bucharina, na wstępie utożsamia się teleologiczne myślenie z idealizmem i odpowiednio potępia. Finalistyczny charakter Doktryny uznawała większość jej poważnych krytyków. Jak często w takich kontrowersjach, trzeba tu odróżnić samą wypowiedź od reguły jej stosowania.

Żadna nb. krytyka nie jest go w stanie egzorcyzmować, należy bowiem do najstarszych, imperatywnych nałogów ludzkości i niewiele dba o współczesne — „naukową poprawność”. Tu idzie tylko o to, aby zdemistyfikować pewne sprawy, i tak już w umysłach współczesnych ponad miarę mistyfikowane, i odsiać trafne obserwacje od bałamutnych a szeroko rozpowszechnionych interpretacji oraz błędnych wniosków.

Mistyfikacja Nr 1

Jej postać najpośledniejsza i najbardziej rozpowszechniona: cel piękny, ale realizacja wypaczona. W tej najprostszej redukcji kursuje ona przeważnie w kołach tzw. wstecznictwa.

Inaczej wariant tercowski. Opiera się na tym samym nadużyciu semantycznym, ale ma wysoki polot i wzięcie wśród lewicy, zarówno rozczarowanej, jak i „progresywnej”. Wypaczenia (realizacji) dostępują tu rangi fatalnego „prawa historii”, nieodłącznego od kondycji ludzkiej. Streśćmy ten wariant w dwu słowach: Środki zastosowane do osiągnięcia Celu (ostatecznego) w przebiegu realizacji przekształcają ów cel w jego przeciwieństwo, i tak a nie inaczej stają się wszystkie wielkie cywilizacje.

U podstaw jest tu słuszna obserwacja, że w toku walki gubi się jej przyczyny i cele i mistyfikuje cele zastępcze. Ale nadużycie semantyczne Terca polega na tym, że w ślad za marksistami, wyrazem „Cel” pokrywa różne i niekiedy kontradykcyjne znaczenia: cel — intencję i cel — ideał, „cel ostateczny” i zadania, programowe zawołania i wektory historyczne (to, co Ruth Benedict nazywa „trendem” cywilizacji); punkt wyjścia i punkt dojścia; cel „na wabia” i praktyczny cel planu strategicznego. Tragiczna tyrada Terca: „Aby na zawsze zniknęły więzienia, nabudowaliśmy nowych więzień” itd. poprawnie wyrażona powinna brzmieć: „Bolszewicy nabudowali nowych więzień, pomimo że obiecali znieść więzienia” itd., z czego wynikałby tylko wniosek o przewrotności bolszewików, albo o tym, że obiektywne warunki zmusiły ich do rezygnacji z celów pierwotnych. Ale w żadnym razie nie wynika z niego uogół-

nienie tercowskie na temat diabelskiej dialektyki dziejów ludzkich.

Nie jest to spór o słowa. Z błędnego rozumowania Terca wynikają bowiem jego tezy: o nieuchronności w skali światowej zjawiska bolszewizmu, który przyszedł na zmianę cywilizacji zużytych;

o dobrym i słusznym (konieczność, dobro, słusność są w świecie sowieckim po hegeliańsku utożsamione) jego początku i starcie (Rewolucja Październikowa i pierwsze lata porewolucyjne), który musiał ulec degradacji, bo takie jest ogólne prawo historii;

wreszcie — teza o młodości nowej sowieckiej cywilizacji, która jak każda inna, musi przejść przez fazę męki, krwi i „błota” (osławione „koszta postępu społecznego”), niemniej jest nowa i twórcza.

Wynika dalej z tej tercowskiej teorii bezradność rozpoznawcza („Cel stał się nic nie znaczącym frazesem, ale nie przestaje... popychać nas naprzód i naprzód — nie wiadomo dokąd”), oraz — mimo licznych westchnień na intencję drugiej rewolucji — podstawowe zwątpienie w możliwość zrealizowania kiedykolwiek jakichkolwiek uniwersalnych aspiracji i ideałów, zatem i socjalistycznych.

Są podstawy do przypuszczenia, że taki jest mniej więcej krąg i kształt myśli „typowego” intelektualisty sowieckiego, gdy uwalnia się z obieży Doktryny. Oficjalnemu „katastroficznemu optymizmowi”⁵, podanemu „wsiem, wsiem, wsiem” do wiary — odpowiada pesymistyczny fatalizm Terców.

Wszystkie powyżej sformułowane tezy są zdaniem przedmówcy, w wysokim stopniu bałamutne. Zamiast odpierać je „punkt po punkcie”, autor niniejszego podaje swoje własne poglądy na fenomen ZSSR. Oczywiście, w tym miejscu — bardzo luźno, szkicowo, brulionowo, w najogólniejszym zarysie, bez wyczerpujących i rygorystycznych argumentacji.



Fundamentalna trudność w rozumieniu zjawisk Bolszewizmu odpada, w niemałym przynajmniej stopniu, skoro się przyjmie założenie, że obiektywnie jego celem-intencją, już we wczesnym okresie, nie była instauracja ideałów

socjalizmu, ale stworzenie na gruzach przegniłego caratu państwa plebejskiego, zdobycie i zachowanie władzy i utrzymanie jedności rozpryskującego się centryfugowo Imperium. Zasadniczy rozbrat Lenina z Marksem zaczął się chyba, gdzieś tu właśnie⁶: Marks mówiąc „proletariat” miał na myśli klasę proletariatu przemysłowego i jego rewolucję, Lenin natomiast jak wiadomo operował — i w warunkach zastanych nie mógł inaczej — masą plebejską, raczej żołniersko-chłopską i jej buntem. Przy tym jest rzeczą obojętną, czy Lenin, Stalin, dziś Chruszczow, wierzyli czy nie wierzyli, że budują socjalizm — przy schizofrenicznej świadomości totalitarnej wiara i niewiara przybiera kontrapunktową migotliwość, wręcz lucyferyczną, wierzy się i nie wierzy równocześnie, poza zasięgiem zasady wyłączonego środka, orwellowski *double think* zaledwie to ciemne zagadnienie musnął.

[Rzecz inna, że Stalin miał prawo z najlepszą wiarą uważać siebie za inkarnację Mojżesza, który czterdzieści bitych lat wodził swój naród po „głodnych stepach” do Ziemi Obiecanej, a nie zobaczy jej ani on, ani jego rówieśnicy. Miał i on swoje tablice przykazań, swoje cuda i plagi, i lewitów, i kremłowską górę Tabor, i węża miedzianego, i wielbicieli Baala i Złotego Cielca, i trujące dla nich przepiórki. Znany referat ekonomiczny na XIX zjazd, wymierzony w ferment niecierpliwych, żałujących łatwego chleba i mięsa niewoli egipskiej — musiała już wówczas liczba ich w Partii potężnie wzrosnąć — świadczyłby, że Stalin był tej analogii mniej lub więcej świadom⁷. Jego następca odsuwa ingres na Ziemię Obiecaną na lat jak strzelił 20, tym zaś czasem i on, niczym Jozue atakuje ciała niebieskie].

W rozpatrywaniu zjawisk komunizmu, Doktryny oraz Systemu, autor niniejszego wypracował sobie na własny użytek swoistą metodykę analizy. Mianowicie, każde tu zjawisko rozpatruje w odniesieniu do sześciu odrębnych i różnorodnie korelacyjnie sprzężonych ze sobą porządków. Oto one, z grubsza sformułowane:

1) Porządek czy plan *motywacji*: ideologie, „nadbudowa” w języku marksistów, „cel ostateczny” (scholastyczna *causa finalis* w liberii państwowej) — zatem ideały, programy i „cele na wabia” — stanowiące teren działania Propagitu w najszerszym tego słowa znaczeniu;

2) plan celów (*mobile* — *Triebfeder*) — wektorów działania, więc celów realnych, pragmatycznych, o których przywódcy Systemu i kapłani Doktryny nie mówią wcale, przez nieświadomość, albo dla taktyki, względnie mówią w postaci zawoalowanej, w kategorii tzw. celów przejściowych (*finis proximus*), które mają być tylko środkami do dalszych celów.

3) plan prakseologiczny, dobór środków — mechanizmów modeli, procedur, operacji, wedle i za pomocą których formuje się obywatela, wykorzystując m.in. techniki pawłowowskiej domestykacji. Jako też zdobywa świat — wg. przeważnie wypróbowanych od dawna, ale doprowadzonych do perfekcji technik, od konia trojańskiego po jezuickie „odwrócenie intencji”⁸. Przy tym należy stwierdzić, że przy przyjętych założeniach Doktryna (a w mniejszym stopniu i System) ma, co tam wiele gadać, ograniczoną swobodę wyboru środków;

4) plan zastanej rzeczywistości: uwarunkowanie historyczne, geopolityczne, demograficzne, tradycje, kultura, religia, psychologia narodowa, archetypy instytucjonalne itd.;

5) „trend” społeczny, najogólniejsza kierunkowa czy tendencja społeczeństwa, cywilizacji, epoki — aktualizującego się biegu dziejów, który to „trend” w moim rozumieniu tym się różni od marksistowskiej konieczności dziejowej, że w stawianiu się daje się ustalić tylko dwuznacznie, jak najluźniej, aproksymatywnie, bez konturów, i pozbawiony jest na liniach swego przebiegu sankcji konieczności;

6) wreszcie — rzeczywistość rzeczywista — wypadkowa wszystkich czynników.

Czytelnik zauważy, że pominąłem tu aspekt marksowej „bazy” — ekonomiki. Ale w zjawisku Bolszewizm prymat polityki nad ekonomiką jest tak przytłaczający, że tę ostatnią można zaliczyć prawie bez reszty do mechanizmów realizacji celów politycznych (plan 3-ci).

Z kolei — dla ilustracji — kilka luźno sformułowanych uwag:

Ad 1) Gdy mówię „cele na wabia” nie przypisuję „władcom Kremla” obłądy (tzn. obłądni swoją drogą są!). Fenomen obłądy, wierzenia i niewierzenia jest, jak wspom-

niałem, w tych szczególnych warunkach schizofrenicznie „migotliwy” i trzeba na to patrzeć z wyższego belwederu.

W zakresie „motywacji” puszczoło w ruch imponujący cykl mirażów społecznych, zagrano na odwiecznych aspiracjach, nostalgii, impulsach i mitach („opium dla ludu”) ludzkości. Nawiasem mówiąc, wielki mętnik wprowadzają w rozumienie tych zjawisk uczeni w marksizmie — zarówno renegaci, jak heretycy, tłumacząc za ortodoksami System Doktryną, zamiast postępować odwrotnie.

Ad 2) Na zmianę poprzedniej formuły (państwo plebejskie) — przynajmniej *od epoki Stalina*, który z genialną konsekwencją i odwagą, ratując System i Imperium, poniósł sztafetę dalej, od miejsca, gdzie Lenin zatrzymał się bezradnie — proponowałbym z kolei inną formułę: — Maksymalna koncentracja maksymalnej władzy nad maksymalną ilością ludzi na maksymalnie dużym obszarze. Tłumaczyłaby ona sowieckie *Machtpolitik* w sprawach międzynarodowych; na wewnątrz — mechanikę Totalnego Terroru (czy też — jak to się dzieje dzisiaj — konserwacji jego najgłębiej utrwalonych czy choćby refulowanych odruchów warunkowych, co na Zachodzie nazywają liberalizmem); dalej i dalej — opłakany w skutkach gospodarczych system kołchozów, których uporczywe utrzymywanie najlepiej uwypukla wspomnianą decydującą przewagę polityki nad ekonomiką, czyli — jeden z paradoksów tej filozofii — „nadbudowy” nad „bazą”⁹ — itd., itd.

Można by zarzucić, że powyższa formuła jest za szeroka: obejmuje także nazizm. W rzeczy samej, nie obejdzie się bez pewnych klauzul i dystynkcji. Różnice bowiem są gruntowne, wbrew kursującej w krajach demokracji ludowej opinii, która łączy obydwa systemy wspólną nazwą totalizmu. Po pierwsze, hitleryzm miał naiwne uroszczenia totalitarne, co mu nadawało szczególną upiorność i w końcu doprowadziło do ludobójstwa, gdy bolszewizm jest realnie maksymalistyczny, i daje mu to ogromną przewagę giętkości; po drugie — hitleryzm odpowiadał na impulsy, rewindykacje i mity lokalne, prowincjonalno-szczepowe, gdy bolszewizm miał od początku rozmach globalny; po trzecie — doktryna hitlerowska była prostacka, uboga w *distinguo* i kazuistyki, wypracowana przez ubogich duchem demagogów, a nadto obwieszczana z chamskim werydyz-

mem. Oczywiście, są też podobieństwa wcale istotne. Wyszarczy dziś np. czytać przedwojenną pracę Adorna, by zdumieć się, w jakim stopniu *the authoritarian personality*, odwzorowany na hitlerowcach — szkieletem swoim, nie kształtem widomym — pasuje do typologii „człowieka radzieckiego”. Tamten (hitlerowiec) jest jakby bękarcim pomiotem tego samego ojca. Franz Moor wobec Karola Moora.

Ad 4) Jak ważne to czynniki, można się przekonać czytając wydane temu sto dwadzieścia lat „Listy z Rosji” markiza Custine’a. W przedmowie do niedawnego wydania angielskiego Bedell Smith, amerykański ambasador w ZSSR z czasu wojny, zapewnia, że gdyby był znał Custine’a, z niego by zrzynał swoje raporty dyplomatyczne. Pasjonujący to temat, jedyna w swoim rodzaju symbioza idei importowanego z Zachodu komunizmu z duchem „wieczystej Rosji”, temat do osobnego studium.

Ad 5) Oszłamiająca kariera bolszewizmu tłumaczy się w niedużym tylko stopniu tym, że marksizm-leninizm-stalinizm daje sprawną metodykę rachunku sił społecznych i akcji historycznych oraz instrumenty ich eksploatawania. Rzecz najistotniejsza, że w jakichś najszerszych ramach i wymiarach o najrozleglejszej amplitudzie idzie rzeczywiście z prądem dziejowym, z wspomnianym wyżej „trendem”, przynajmniej tak jak się ów „trend” na bieżąco zarysowuje. „Idzie z prądem” to nie znaczy, że go określa. Może poprawniej byłoby powiedzieć „idzie w prądzie”. Według niżej podpisanego ma to niewiele wspólnego — powtórzmy to — z marksowską koniecznością i prawami historii. Kształt ostateczny trendu, jego mutacje i przyszły kierunek są nieobliczalne w trakcie jego trwania. Określają go zaś obecnie podstawowe determinanty naszej krytycznej (kryzysowej) epoki. Rzeczy to stokrotnie przetrząsane. Ale dla jasności wywodów rzućmy na nie okiem. Zatem:

A. Rewolucja przemysłowa, czynnik demograficzny (miliard w 1843, trzy miliardy obecnie, siedem — koło 2000), galopujący akces do oświaty europejskiej klas i narodów zacofanych i cywilizacyjnie inowierczych itp, itp. rozsądza ustabilizowane formy współżycia społecznego i zmusza do szukania, mniej lub więcej dedukcyjnie, mniej lub więcej instynktownie, gwałtownymi skokami wprzód

oraz regresami (rewolucyjnie zatem) — nowych form i sposobów organizowania zbiorowości;

B. W miarę komplikowania się struktur społecznych, ekonomicznych, kulturowych — wzrastają wszelkiego rodzaju alienacje, a także, prawem reakcji i kompensaty — próby ich przezwycięzania;

C. W miarę dorobku — promocji ekonomicznej, społecznej i kulturowej upowszechnia się osobowe i ogólne poczucie zmarnowania, wzrasta napięcie rewindykacji, liczba niezadowolonych, żądnych błyskawicznego awansu. Mówiąc nawiasem, jest to najbezpośredniej woda na młyn dyktatur, przy czym komunizm przemawia *obecnie* raczej do mas na dorobku, do ambitnych, gdy faszyzm w szerszej skali zdobywał swoją klientelę wśród głodnych, bezrobotnych, zdekurazowanych, i stąd też m.in. o wiele bardziej niehumanitarne oblicze jego odwetów.

D. Przodownicza rola nauki postępuje przy równoczesnej jej ezoteryzacji, przy specjalistycznym rozdrobnieniu, wzrastającej złożoności, przy coraz większym zaniku ogładowości, przy utracie (wg. Oppenheimera już na zawsze) jedności, jednolitego obrazu świata oraz funkcji kulturotwórczej — przy zasadniczej dehumanizacji. Co z kolei — prawem niezaspokojonych potrzeb i kompensaty — monstrualnie rozszerza margines dla racji pseudo-naukowych, dla uproszczonych syntez, dla księgi jedynej „biblii”, (np. „Historia WKPb”), która będzie wyjaśnieniem świata i historii, ich teodyceją¹⁰ i zarazem drogowskazem. Nieposkromiony jest bowiem głód monistycznego i łatwego (dostępnego dla leninowskiej „kucharki”) rozumienia świata oraz potrzeba moralnego przewodnika.

E. Wzrasta rozdarcie między kruchą, łatwo przechylającą się w stronę dekadansu kulturą elit Zachodu a rozkiełznaną we frenetycznej ekspansji plebejską *mass-culture*. W ZSSR przezwycięzono (*aufgehoben*) ową polaryzację w prosty sposób: państwo plebejuszy na dorobku wytworzyło kulturę typowo parwieniuszowską (określenie to ze wszystkimi jego znanymi implikacjami tłumaczy np. osobliwe gusta i rytuały w obyczaju, sztuce, dekoracji sowieckiej) — zaś poza kręgiem tej parwieniuszowskiej kultury stoi wielomilionowa „ciemna masa”, „niekulturalna”, albo niedokulturalna, nosząca w swoim łonie relikta zanikających kultur — chłopskiej, prawosławnej, eurazyjskiej.



Na tym to tle kariera ideologiczno-propagandowa komunizmu wykreśla się i tłumaczy w sposób względnie naturalny choć potężnie skomplikowany. Dochodzą tu jeszcze inne cykle uwarunkowań i czynników, już świadomie zaplanowanych a co najmniej kontrolowanych.

Rzecz w tym, że Doktryna Bolszewizmu (marksizmu-leninizmu-stalinizmu), mimo że pretenduje do rangi teorii poznawczej, jest na wskroś i nieprzerwanie doktryną instrumentalną, teorią działania, i sama owa pretensja poznawcza jest jak najbardziej pragmatyczna (poznać świat w tym celu, aby go przerobić) wynika właśnie z najdalej posuniętego instrumentalizmu. (Stwierdzenie to jest oczywiście, niemniej nieustannie się o nim zapomina). Wynikające z tego stanu sprzeczności marksiści kwitują formułą jedności teorii i praktyki.

Podobnie zresztą kwitują („kłajstrują”) quasi-naukowymi pewnikami i postulatami wszelkie inne wewnętrzne sprzeczności logiczne, jakże tam liczne, jako też przeciwieństwa między teorią-propagandą a praktyką-faktami („nabudowaliśmy więzień”), co nota bene świadczy o subtelny wyczuciu magicznego działania wyrażen i formuł. (Marksiści często ignorują różnicę między logiczną sprzecznością, a przeciwieństwem).

Polscy marksiści, zarówno ortodoksyjni, jak tzw. rewizjoniści nie poznali się (albo udają?) na tej wyższej podwójnej buchalterii Doktryny. Opierając się na kilku zdaniach samego Marksa o podstawowo krytycznym charakterze jego teorii, usiłują przyszyć Doktrynie rygory naukowo-poznawczego, racjonalistycznego myślenia. Ponadto mają za złe Doktrynie sowieckiej, że zignorowała podstawowe egzystencjalne i transcendentne niepokoje i pytania człowieka. Pierwsze jest nonsensem, drugie — grubą pomyłką. Wynikła z tego, że Polacy, z racji cywilizacyjnej przynależności do Zachodu, oglądają się na zachodnie elity intelektualne, które bolszewicy w swoim globalnym rachunku wielkich liczb na ogół lekceważą, a to tym słuszniej, że niemałoważna część owych elit, zmęczona potęgującą się komplikacją zachodniej kultury, a także pod impulsami „poczucia winy”, masochizmu i autodestrukcji, właściwymi zapewne starym elitom (które to schorzenia mówiąc nawia-

sem freudyzm ujawnił i skodyfikował, ale przez to upowszechnił i ujadowicił) rzuca się na flukta najwulgarniejszych uproszczeń i w konsekwencji — szczyt komizmu! — z niesmakiem odwraca się od mędrkujących Polaczków, obnażających wstydlive miejsce sowieckiego ojca Noego.

A naprawdę Doktryna w istocie nic innego nie robi, tylko furt odpowiada na odwieczne pytania ludzkości! Co więcej, w tym naszym świecie wszelakich zwątpień i wątpliwości daje najprostszą busolę nie tylko na „co myśleć”, ale i „co robić?” (To ostatnie „przekłête pytanie” jest obsesją rosyjskich inteligentów, ileż to razy wystąpiło w tytułach książek).

Trzeba raz na zawsze zrozumieć, że prymitywizm, dyktantyzm, paralogiczność, przestarzałość szczególnych doktryn (ekonomicznej, estetycznej, filozoficznej itd.) nie hamuje siły nośnej i atrakcyjności Doktryny generalnej, a najczęściej jej służą.

Wypunktujmy kilka pożytków prymitywizmu:

dla niezadowolonych, których liczba na świecie, jak stwierdziliśmy, musi wzrastać, Doktryna przeprowadza doszczętną, przemawiającą do masowej wyobraźni i racji krytykę zastanego stanu rzeczy;

dla dynamicznych i aktywnych, tzn. dla wzrastającej mniejszości „budzących się do życia” jednostek, klas, narodów rewolucyjnych — mobilizuje sprawnie i skutecznie do miłej im walki „o”, „za” i „przeciw”;

wzrastającej liczbie ambitnych wskazuje łatwe i szybkie drogi awansu życiowego, narodowego, kulturalnego;

daje Obietnicę spełnienia odwiecznych tęsknot ludzkości: nostalgii raju na ziemi, eldorada, arkadii (vide: arka-dyjski charakter socrealizmu), Miasta Doskonałego i Sprawiedliwego;

daje Obietnicę spełnienia odwiecznych aspiracji socjalistycznych: powszechne braterstwo, bezklasowe społeczeństwo, pokój powszechny („lew obok jagnięcia”), zniesienie wyzysku, przymusu, alienacji;

zaspokaja głód poznawczy, elementarną potrzebę rozumienia i wytłumaczenia świata, potrzebę prostego wytrycha do tajemnic i zagadek bytu oraz do piekielnie powikłanej rzeczywistości bieżącej;

rozpala marzenie o powszechnej sprawiedliwości, prawdzie i glorii, głęboko zakorzenione w ludzie rosyjskim

(„Kitież gorod”), a osiągnęte drogą wyrzeczeń i ascezy, ofiarnictwa („podwizniki”);

syci zepchnięte do piwnic duszy głody religijne, potrzebę idolu, ojcowskiej autokracji, uniwersalizmu („jedna trzoda i jeden pasterz... z żelazną laską”: H. Heine z przedmowy do „Lutecji”); potrzebę adoracji, rytuału, spowiedzi, kultu świętych, autorytetu osób oraz instytucji uświęconych charyzmatami.

Nawet uderzające w sztuce, poezji, architekturze sowieckiej połączenie gigantomanii z miałąką treścią zaspokaja zbiorową potrzebę monstrualności, groteski, „hybris”, występującą w pewnych epokach, na pewno — w naszej¹¹.

Odbywa się to paradoksalnie w polu działania postępującej mimo wszystko laicyzacji i racjonalizacji mas (rozgłośny irracjonalizm XX-wieczny jest przywilejem czy obciążeniem intelektualnych elit Zachodu, co pogłębia wyobcowanie tychże i w konsekwencji skłania etycznie cenniejsze ich elementy do poślubienia, jak napomknąłem — z zamkniętymi oczyma, najbardziej naiwnego półinteligentckiego racjonalizmu).

Generalizując aforystycznie: Doktryna żywi się głodami, które chrześcijaństwo bądź tłumiło (refulowało) — np. Królestwo Boże na ziemi, prawo talionu, bądź spełniało niedostatecznie, bądź nie potrafi już spełniać w społeczeństwach, gdzie wiara obumiera.

W ten oto sposób w ZSSR spreparowano owo *ragout* zajęcze bez zająca, które — najprzenikliwszy dotąd ekspert komunizmu — autor „Biesów” uważał za nieziszczalne.

Uproszczenia komunistycznego racjonalizmu datują, nawiasem mówiąc, nie od dzisiaj. Mają swoją genezę dyletancką, popularyzatorską u Engelsa, Feuerbacha, Plechanowa. Skrzyżowało się z *bouvard-pecuchet*’owskim racjonalizmem, (przy błyskach genialności, której zresztą nie brakło obu bohaterom Flauberta) — Czernyszewskiego, Pisariewa; z racjonalizmem seminarzystów i popowiczów, „raznoczyńców”. Naturalnie, na Hegla napuścił Lenina arcytrzeźwy Marks, ale trafiło to na koleiny wyłożone w świadomości przez rosyjskich — z pierwszej połowy XIX w. heglistów z drugiej ręki¹². Znana metryka intelektualna, podana przez samego Lenina, jak zwykle w tych wypadkach, jest bałamucąca. Stalin-ideolog nadał

leninizmowi pragmatycznie konsekwentną na żelazo-beton architekturę, komunikatywność i operatywność wręcz genialną, a praktyk Chruszczow jest jego wirtuozem-managerem, w zmienionych warunkach. Diabłoż zdolni (do wszystkiego) są Rosjanie.

Uproszczoną i prostą teorią i takimiż przepisami jej użycia manipuluje się z subtelnością wielkiego gracza w szachy, a gra się przy tym poszczególnymi figurami na dwóch szachownicach jednocześnie: inaczej — w obrębie własnego Lebensraumu, inaczej — poza nim. Wiąże się to z osobliwą gnoseologicznie-społeczną sytuacją myśli komunistycznej, którą wiele lat temu zauważył socjaldemokrata Karl Korsch w „Marxismus und Philosophie” (cytuje z drugiej ręki): „jest ona (myśl komunistyczna) równocześnie wyrazem klasy rewolucyjnej na Zachodzie oraz warstwy uprzywilejowanej, więc częściowo konserwatywnej na Wschodzie”. Gdy tam zatem stosuje się głównie środki oddziaływania perswazyjne i hipnotyczne, tu działają mechanizmy i techniki sprawowania władzy bezwzględnej, operacje zatem represyjne, i na drugim w istocie miejscu motywacje, środki propagandy narkotycznej i podniecającej.

Mędrcy zatem, którzy plują z „wysokiego piętra” na chamstwo Doktryny są naiwnymi ofiarami własnych finezji.



Za swoją praktyczną sprawność System płaci drogo. M.in. impasem i stagnacją swojej teorii, szczególnie zaś filozofii. Niemożliwość jako-tako nowoczesnej myślowo (w sensie sumiennego odpowiadania na *quid est*) filozofii, wynika z właściwości konstytutywnych Doktryny (kryzys strukturalny), a nie tylko, jak to się często twierdzi, z zespołów obowiązujących na zmianę, koniunkturalnych tabu. Wynika mianowicie z pierwiastkowych sprzeczności wewnętrznych i przeciwieństw. Nietrudno wyrysować drzewo genealogiczne sprzeczności immanentnych Doktrynie. Mówiłem już o sprzeczności między uroszczeniami poznawczymi a instrumentalną „operatywnością”. U podstaw owego drzewa znalazłaby się nadto sprzeczność między wypowiedzią *explicite* duszającą racjonalistycznych treści a na wskroś fideistycznym charakterem ich postulowania, fideistycznym

sposobem użycia oraz klimatem („aureolą”, dosłownie i w znaczeniu stosowanym przez lingwistów).

U schyłku fazy październikowej w Polsce spokojny racjonalista Adam Schaff, w miarodajnych artykułach w „Nowej Kulturze”, upatrzył ratunek dla ideologii, Gwiazdę Przewodnią dla Zbłąkanych... w wierze. Wiara i tylko wiara (w Partię) będzie panaceum na wszystkie bolączki ideologiczne, trapiące zderutowanych przez lawinę wypadków wiernych członków partii. Uwierzcie, a wszystko inne będzie wam dane. Naturalnie, tylko że chrystianizm jest programowo, legalnie i od wieków zadomowiony w fideizmie, i w jego granicach utrambował sobie niemałą swobodę ruchu pomiędzy na przykład *credo quia absurdum*, a scholastycznym racjonalizmem św. Tomasza, w którym zadziwiająco wyważona została harmonia między wiarą a rozumem. Czego Doktryna harmonii diamatycznej, gdzie w dodatku jedno kłamie drugiemu, nie osiągnie. Bo osiągnąć nie może.

Inna ważna przeszkoda do zaistnienia filozofii Systemu to bezwzględnie i z konieczności tam obowiązujące zaprzeczenie nieprzewycięzalnego przecież antagonizmu pomiędzy esencją a egzystencją człowieka¹³. Zaś przeczy się temu antagonizmowi, ponieważ wymaga tego programowy optymizm. A optymizm jest imperatywny — bo bez niego nie zdobędzie się władzy nad światem, czyli Celu. („Jak straszną rzeczą być człowiekiem” — dekadenta Słowackiego — i „Człowiek to brzmi dumnie” — Maksyma Gorkiego).

I tak oto od łyżeczka do stryczka Cel implikuje Doktrynę.



Trzeba przyznać, że w swoim rachunku wielkich liczb, System z wielkomocarstwowym zaiste gestem umie inkasować straty. Gdzie las rąbią, tam drzazgi lecą... Tak na przykład, na innym planie, spektakularność (dla *otstraski*) masakry Budapesztu procentuje jeszcze dzisiaj (Berlin, ptasie zafascynowanie *tiers-monde'u*, stan kataleptyczny w demokracjach ludowych), straty natomiast były bagatelne: odpadnięcie garstki „miękkociących” inteligentów. Dla mas bowiem świata coś znaczy masakra jednego, obcego

miasta, gdzie może nawet i nie było — kto wie? — dieśięciu sprawiedliwych — wobec obietnicy spełnienia najdroższych im, od wieków hołubionych marzeń!

Poza tym wszystkim — przy okazji warto w tej *causerie* wspomnieć: Doktryna z zasady nie cofa się przed sprzecznościami wewnętrznymi. Świadoma jest, za Nietzschem („Poza dobrem i złem”¹⁴), że „odmawiając znaczenia fikcjom logicznym, człowiek nie mógłby żyć”. A także, żeby sparafrazować Pascala: *Ne pouvant fortifier la justesse, on justifie la force.*

6.

Mistyfikacja Nr 2

Komuniści doprowadzili do doskonałości sztukę pozornych analogii, przemienną grę absolutyzowania i relatywizacji tych samych pojęć — stosownie do potrzeb i okoliczności, oraz proceder tzw. „fałszywych utożsamień”.

Terc i w tym zakresie jest mimowolnym ich uczniem.

O cywilizacjach, o ich dekadencji oraz ich następstwie powypisywano tomy. Terc pewno czytał popularnego w Rosji Buckle’a, ale chyba nie zna z pierwszej ręki Gibbona, na pewno nie — J.B. Vico, Gobineau, Spenglera. Poglądy Terca trącą pewną naiwnością, niemniej (oraz „a przeto”) są bardzo rozpowszechnione.

Na marginesie i mimochodem warto wskazać, że istnieją zapewne jakieś wzory stopniowego przekształcania się idei w miarę ich schodzenia „na rynek”. Zaczyna się to przekształcenie gdzieś u fachowych popularyzatorów, przechodzi do „powietrza czasów”, i z tego to powietrza inspiruje bystre ale upraszczające wszystko inteligencje, te mianowicie, które rozumieją wszystko z „dwu słów” (więc np. literaci). Niezależnie od tego, ale w jakimś współdziałaniu i z dużym zawsze opóźnieniem, odbywa się przekształcanie owych idei nałapywanych z „powietrza czasów” na szczeblu szerokich mas — w niemałej mierze właśnie za pośrednictwem tychże literatów, i na tym polega przyuważana przez Stalina doniosłość wpływu ich na życie. Przy czym na mozolnej i ciemnej drodze przekazów i przemian odsiewa się to, co jest masom do czegoś tam po-

trzebne, coś co wyraża lub wiąże świadomość społeczną mas, od kłakoli mędrkowania. Podkreślam, że nie mówię tu o degradacjach i karykaturach półinteligentkich, ale o postaci, w jakiej idee przyjmują się społecznie. Widzieliśmy to za naszego życia na przykładzie bergsonizmu, relatywizmu, freudyizmu, i oczywiście marksizmu¹⁵.

Wróćmy do Terca.

Opiera on swoje rozumowanie na bardzo popularnej skądinąd analogii między przełomem cywilizacji antyčno-chrześcijańskim, a obecnym indywidualistyczno-kolektywnym; dalej — rozumuje Terc — jak wszystkie wielkie cywilizacje i ta nowa kolektywna, komunistyczna musi przejść przez etap ciemnoty, wypaczeń i ofiar. I wyciąga konkluzję, że jak chrystianizm mimo wszystko (Inkwizycji itp.) stworzył cywilizację mimo wszystko chrześcijańską, podobnie komunizm mimo wszystko (stalinizm, socrealizm itd.) jest w trakcie tworzenia nowej cywilizacji, mimo wszystko komunistycznej.

Analogia między początkami chrystianizmu a bieżącym komunizmem jest pozorna, to jest oparta na zbieżnościach i podobieństwach nie decydujących. Ale zanim zajmujemy się tym obszerniej, zwróćmy „drobnoskop” na inną sprawę: na wspomnianą dialektyczną grę absolutyzowania i relatywizacji. Tu sztukmistrzostwo leninistów-stalinistów wyraża się w tym szczególnie, że hipostazując i absolutyzując pewną grupę pojęć (podstawowe pojęcia ontologii diamentu; pojęcie Partii jako hipostazy proletariatu i postępu dziejowego itp.) — inne za to grupy pojęć (jako to; sprawiedliwość społeczna, pokój, wolność, braterstwo itp. — słowem pojęcia, które odpowiadają najdawniejszej inspiracji socjalistycznej) to absolutyzują, to na przemian skrajnie relatywizują. Łączy się to z rozumowaniem typu „Wszystko — albo nic”. Dla ilustracji: Lenin gdzieś chyba w roku 1919 pisał: „mówią, że u nas nie ma wolności prasy. A czy istnieje ona w świecie kapitalistycznym? Myśmy dali prasie wolność od kapitalistycznej niewoli” (cytuje z pamięci). Wolność jest tu na przemian to absolutyzowana, to relatywizowana. Przykładów o wiele zresztą lepszych — do licha i trochę¹⁶. Ileż brutalniej brzmi butada głośnego w swoim czasie ultramontanina L. Veuillota: „Domagamy się dla nas wolności prasy, ponieważ wynika to z *waszych*

zasad, a gdy będziemy u władzy, zlikwidujemy wolność prasy, ponieważ wynika to z *naszych* zasad” — komuniści formułują ostrożniej, delikatniej — gdy trzeba¹⁷. *Pas-sons*.

Jaki z tego pożytek? Absolutyzuje się pojęcie np. wolności, potem stwierdza się, że takiej wolności absolutnej nigdzie nie ma i nie było, i w najgorszym dla Sprawy wypadku woła się, jak Terc: „Dlaczego śmiejecie się kanalie... gdzie jest swobodna osobowość?” itd. W konkluzji za sprawą ponadto usłużnego proceduru „fałszywego utożsamiania”, stawia się — w najgorszym, powtarzam, razie, tzn. u jeszcze powątpiewających albo już rozczarowanych — etyczny znak równości między chrześcijaństwem na przykład a komunizmem, z tym, że za tym ostatnim stoi nadto Łaska Skuteczna „konieczności historycznej”. Co tam Terc, nie inaczej piszą zblazowani literaci polscy, serdecznie rozczarowani po wojażach na Zachód.

Dla dystrykcji czytelnika, przytoczę zasłyszany fakt czy anegdotę o białogwardziście, który postanowił wrócić z Francji do ZSSR: *tut g... i tam g..., tak łuczsze mnie na rodzinie pomirat'*. Z „fałszywym utożsamieniem” starego białogwardzisty — polemizuje cytat z Sałtykowa-Szczedryna: *Wsie oni siekut obywatieliej no pierwyje siekut absolutno*.

Nieskończenie zaś piękniej i mądrzej wyraził to Hamlet:

Hamlet: *Denmark's a prison.*

Rosenkrantz: *Then is the world one.*

H.: *A godly one, in which there are many confines, wards and dungeons; Denmark being one o'th'worst.* — I dalej —
wspaniałe:

R.: *We think not so, my lord.*

H.: *Why, then 'tis none to you; for there is nothing, either good or bad, but thinking makes it so: to me it is a prison.*

To me it is a prison.



Zastanowimy się obszerniej nad podobieństwami oraz różnicami cywilizacji chrześcijańskiej a komunistycznej, a następnie — w przewrotnej kolejności — pytaniem, czy w ogóle może być mowa o cywilizacji komunistycznej? tj. czy Doktryna i System jest kulturotwórczy?

A. W odwiecznym podstawowym dla człowieka zagadnieniu cierpienia (mówiąc nawiasem wiadomo, jak uczulone było sumienie inteligencji rosyjskiej na fakt cierpienia — stąd wziął swój wzlot geniusz Tolstoja i Dostojewskiego. Jego Iwan Karamazow odmawia zgody na hośannę, odrzuca przyszłą powszechną szczęśliwość, skoro jest okupiona łzami jednego skrzywdzonego dziecka. Potomkowie Iwana, paradoksalną logiką Istnienia, sprawiają najkrwawsze w dziejach hekatomby w imię domniemanego szczęścia domniemanego Przyszłego Człowieka) Owóż, w tym podstawowym zagadnieniu Doktryna eksploatauje hedonistyczne ciągoty ludzkości: wynalazła jakoby uniwersalne na wszystkie „bólaczki” *pharmakon nephtes*.

Na odmianę posłuchajmy, co mówi o tym Simone Weil: *L'extrême grandeur du christianisme vient de ce qu'il na recherche pas un remède surnaturel contre la souffrance, mais un usage surnaturel de la souffrance*.

A że Byt ludzki nieodłączny jest od cierpienia i że System, na razie przynajmniej, uwielokrotnił sumę cierpienia na świecie (w przedstawieniu tego tkwi sens „Doktora Żiwago”), stawiamy tu znak zapytania nad trwałością na dłuższą metę neo-milenarystycznej Doktryny, w przeciwstawieniu do cywilizacji chrześcijańskiej.

B. Celem chrystianizmu jest Chrystus, który jest początkiem, drogą i końcem. „Jezus będzie konał aż do końca świata” (Pascal), Królestwo Jego jest nie z tego świata. — Ideał tedy i cel jest tu wyniesiony poza czasem i przebiegiem dziejów, one nie są zatem jego kamieniem probierczym, i jak trwa od 2000 lat, tak trwać może dalej, i dalej jest czy może być twórczy. (Można o tym wątpić, wątpienie do samego gorzkiego końca jest podstawowym prawem i powołaniem człowieka, ale tutaj trzeba udowodnić, że tak *nie* jest).

„Jezus będzie konał aż do końca świata, aż do końca zatem świata nie wolno spać”. Walka ze złem odbywa się nieustannie i w każdym, i nie ma w tym Postępu.

Jest i w Doktrynie komunizmu czas czuwania („czujności”) zredukowany do czasu istnienia „otoczenia kapitalistycznego”. Jest i walka ze złem, ale upostaciowana w osobach jednostek i grup społecznych. Mizerne redukcje, ubo-

gie hipostazy! Podobnie zresztą jak mizernym — i kontradycyjnym w pewnym sensie — odbiciem chrystianizmu jest sama Doktryna. *L'absolu ne pouvant être extirpé, il est seulement susceptible de dégradation* (Mircea Eliade, „*Traité historique des religions*”).

Zatem, gdyby nawet, jak mówi Terc, historia cywilizacji chrześcijańskiej była zaprzeczeniem jej ideału i celu, co nie jest całą prawdą, to i to nie podważyłoby jej twórczej siły i prawdziwości.

I gdyby nawet, na odmianę, rzeczywistym celem Systemu były, jak twierdzi Terc, ideały socjalistyczne, co wcale nie jest prawdą, to i to nie uchroniłoby go od sprawdzianu dziejowego urzeczywistnienia (dziania się) — od normy: po owocach sędzicie je — zatem, ze stanowiska tychże ideałów, od moralnego potępienia i moralnej klęski.

I gdyby nawet osądzać System poza kategoriami dobra i zła miarą sprawności, to i to nie wystarczyłoby do przyświadczenia, że jest cywilizacyjnie twórczy. Tutaj trzeba udowodnić, że jest. A tyle dowodów, że nie jest.

C. Wartości ideałów i zaleceń chrześcijaństwa są nieograniczenie rozszerzające, komunizmu — zawężające.

Gdy tam — miłość bliźniego, miłosierdzie, wzajemne odpuszczenie sobie grzechów, pokój ludzi dobrej woli — tu: trybalna w swoich korzeniach, eksterminacyjna wrogość względem *out-group*; egzaltacja potęgi; odwet społeczny, polityczny; walka zawsze, we wszystkim, wszędzie („Bijmy się o lepszy zbiór pomidorów” — z gazet przedodwilżowych. *Passons*). Tam — wolna wola, osobowość jako cel sam w sobie, łaska uświęcająca, królestwo nie z tego świata. Tu — wola z zewnątrz najściślej zdeterminowana, manicheistyczna kategoryzacja jednostek i grup przez wzgląd na wybiórczo określone cechy, jednostka — instrument, miraże „lepszego Jutra”.

L'incarnation du christianisme implique une solution harmonieuse du problème des relations entre individu et collectivité. Harmonie au sens pythagorien: juste équilibre des contraires. (Simone Weil „*Attente de Dieu*”) — w przeciwieństwie do hegeliańsko-marksistowskiej harmonii nieograniczenia antytetycznego łańcucha.

Warto tu jeszcze wtrącić: rozpowszechniony jest pogląd, że słownik i sądy wartościujące komunistów należy

odczytywać antynomicznie. Np. ustrój równości jako reżym przywileju (orwellowski „więcej równy”), dobro — jako zło, wolność — niewola. Niewątpliwa wulgaryzacja. Niecyniczny komunista przez słowo „wolność” rzeczywiście oznacza wolność — przy tym jako wartość z kręgu najważniejszych, tylko że pojętą (przy skromniutkim *reservatio mentalis*) jako „uświadomioną konieczność”. — Zaś Simone Weil: „Nieskończony dystans dzieli dobro od konieczności”.

D. Wielka kariera chrześcijaństwa zaczęła się również od garstki wyznawców i jak ogień objęła masy poniżonych i upośledzonych. „Religia niewolników” (ale nie spartakusów) zdobywała masy barbarzyńskich zdobywców, ale na ogół, „w ostatecznym rachunku” pacyfikowała zdobywcze ich impulsy. A oni wierzyli w nią bezinteresownie (wbrew własnym interesom) i totalnie.

Komunizm w Rosji, jak wiadomo, wypłynął na fali zbuntowanych, a głęboko od stuleci poniżonych i jakże upośledzonych mas. Atoli, świadom, że łatwiej wsiąść na tygrysa niż zsiąść z niego, zmuszony był na mocy rozpętanego piekielnego *kto kawo*, (a nie przez sadyzm autokraty i jego wulgarną żądzę władzy) likwidować własnych wyznawców i sprzymierzeńców, po kolei — anarchistów, lewych eserów, kronsztackich marynarzy, bohaterów — partyzantów wojny domowej, najszerze masy chłopskie aż po podkułaczników — biedniaków (o tym wszystkim Chruszczow na XX Zjeździe nie mówił) — wreszcie kominternowców z ducha i formacji (m.in. przywódcy KPP), „starych bolszewików” oraz dalsze, i dalsze ofiary wielkich hekatomb. Zaś doły społeczne jak były, tak znów się w oka mgnieniu stały „obiektem historii”, odwiecznie rosyjskim „wielkim niemową”.

Komunizm uwielokrotnił i zorganizował zdobywcze impulsy stepowych gromad — poetyckim instynktem wy-czuł to i egzaltował Aleksander Błok w „Scytach” („*Skify z razkosymi, żadnymi oczami*”), w „Dwunastu”, wcześniej w „Wiest’ o sztygajuszczom Christie”¹⁸. Impulsy te bez przerwy są pielęgnowane i to prześwitują *en filigrane*, to utwierdzają się jawnie w poczynaniach Systemu.

Jak mało natomiast zdobywcze były inspiracje chrześcijańskie, świadczą choćby naiwne losy wypraw krzyżo-

wych. Chyba, że przez „zdobywczość” będzie się rozumiało prozelityzm. Dla jaskrawszego uświadomienia sobie różnic, wyobraźmy sobie np. z całym ryzykiem „gdybowania”, że Tyberiusz uwierzył, po czym — rozwalił apostołów, zbudował Kościół na gwardii pretoriańskiej, w imię wiary a nie Imperium „wyzwalał” wszystkich wokoło, trzymał masy wiernych w postrachu, kontrolował doktrynę, ideologię, sztukę itp. Albo dla odmiany, że Konstantyn przyjął mitraizm i totalnym terrorem narzucał go masom. Nie byłoby w tym wypadku chrześcijaństwa (względnie mitraizmu), ani cywilizacji chrześcijańskiej, ani cywilizacji w ogóle.

E. Z tym często cytowanym przełomem cywilizacji antyczno-chrześcijańskiej i ciemnotą protochrześcijaństwa sprawa na pewno nie jest tak prosta, jak to się wydaje czytelnikom popularnych broszur. Rzeczy to już w historiografii szeroko znane, poprzestaśmy tu na paru tylko uwagach.

Bezsprzecznie, zmianie cywilizacji towarzyszyły stulecia wandalizmu i ciemnoty, ale w jakiej mierze wynikało to z nowej wiary i cywilizacji, w jakiej z przedchrześcijańskiego barbarzyństwa nawróconych mas, a w jakiej wreszcie było ich wypadkową? — na to autor niniejszego nie jest władny (kompetentny) odpowiedzieć. (Czy w ogóle mogą tu być jakie rygorystyczne odpowiedzi? Historiozof podobny jest do fantasty, który w ślepej choć jakoś tam uwarunkowanej grze chmur usiłuje zobaczyć kształty ludzkie: batalie, sceny arkadyjskie itp.).

Mimo wszystko (wandalizm, obskurancji) wczesne chrześcijaństwo było również katalizatorem stopienia dwóch wielkich grup kulturowych, wschodnio-judejskiej i greckorzymskiej. Mimo wszystko, było też — rzeczy to znane — ich kontynuacją.

Z przełomem cywilizacji doby obecnej i nieuniknionym przy tym powszechnym kultury upadkiem (ale jakoby nie zmierzchem jej w ogóle, — owszem, przedświtem nowej) wiążą się od lat marzenia i uroszczenia wielu lewicowych intelektualistów: odegrania na terenie komunistycznego Imperium roli Greków w Rzymie, lub hellenistów wczesnego chrześcijaństwa¹⁹, Boecjusza przy Teodoryku. Żłudne uroszczenia. Zresztą opisał to Miłosz — piórem wielkiego naturalisty — w „Tygrysie” („Rodzinna Euro-

pa"). Ów Tygrys to także — np. pisarze z dawnej „Kuźnicy”? może i Sartre, może i Brecht? może skądinąd — paxowcy? — być może niejeden uczony z Polskiej i Rosyjskiej Akademii? Płonne marzenia, skazane na klęskę. Stokrotnie widziało się, że w Systemie nie ma miejsca na „hellenistów”, a i nie ma ich potrzeby — nieuchronny bieg jego dziejów wiedzie ku zupełnie innym światom.

F. Inkwizycja, którą Terc umieścił w ognisku swojego pamfletu. Ba, nie tylko Inkwizycja, i nie tylko masakra Albignów, karzący bowiem miecz Kościoła wzniósł się wiele wieków wcześniej, już za Teodozjusza, czyli — zaraz po dojściu do władzy, a sporadycznie siekł aż po próg nowożytnych czasów. Jeżeli nawet skreślić z rachunku to, co było cesarskie, oraz wszelakie demoralizacje, wpływające z faktu dzierżenia władzy, zostaje jeszcze cezaryzm samych papieży wieku XII, XIII. Zostaje jeszcze tyle! Odpowiedzialność historyczna Kościoła za te zbrodnie (co więcej, a dla nas co gorzej — za przeróżne a mnogie obmierzłości społeczeństw chrześcijańskich) jest bezsprzeczna, i żaden chrześcijanin zapierać się jej nie może (nie powinien).

Ale (o ile godziwie tu jest wyrzec słówko „ale”) ale primo nie podważają one założeń i nie gaszą blasku samej doktryny chrześcijańskiej, bo ona jest z istoty swojej, z ducha i litery transcendentna względem dziejów (p. punkt A.). Zbrodnie Inkwizycji nie były zawarte *implicite* w samej doktrynie i nie wynikają bynajmniej z zastosowania w praktyce jej założeń i podstawowych dyrektyw — najlepszy dowód, że chrześcijaństwo od stuleci dobrze się bez nich obchodzi, mimo „wrogiego otoczenia” zdobywa prozelitów bez środków przymusu i korupcji, czasem — odwrotnie. Natomiast w Systemie, tj. w obrębie jego panowania! (Nota bene, przy bardzo wielkim złagodzeniu w samym ZSSR, polityczne siły, warunkujące terror, wynajdują sobie od czasu do czasu derywacje, i w tym sensie Budapeszt spełnił także funkcję kataplazmy). Secundo, historia Kościoła nie jest historią chrześcijaństwa, tym mniej — historią cywilizacji chrześcijańskiej, nie dlatego, że istnieją inne poza katolicyzmem obrządki, ale że idee cywilizacji chrześcijańskiej owocowały wśród społeczeństw *extra muros* Kościoła — w ogromnym urozmaiceniu i pięknej bujności, o czym dalej. W dodatku Kościół przystosowywał w roz-

ległej skali ryty, obyczaje, mentalność, instytucje nawet, do kultur i psychologii poszczególnych narodów (np. odmienne losy tejże Inkwizycji w różnych krajach), wiele asymilował, często poddawał się, by opanować — znane to rzeczy. Był rzeczywiście chrześcijański w treści i narodowy w formie.

Utożsamianie Inkwizycji z katolicyzmem, a jak u Terca z chrześcijaństwem ma w naszych czasach swój prototyp: to „Wielki Inkwizytor” Dostojewskiego. Przypomnijmy genialną jego wizję w paru nieudolnych kreskach: w Sewilli płoną stopy Inkwizycji, Wielki Inkwizytor wytacza proces sam na sam w celi więziennej pojmanemu Jezusowi, który zapragnął przyjść do swojej udręczonej trzody. Inkwizytor nakazuje Mu odejść, na zawsze, by nie burzył heroicznego dzieła Kościoła rzymsko-katolickiego: naprawy krzywdy śmiertelnej, zamierzonej przez Jezusa przeciw ludzkości. Albowiem człowiek jednego nie zniesie: wolności, którą mu Syn Człowieczy przyniósł. Kościół z miłości do człowieka odebrał kreaturze ludzkiej niepotrzebną i feralną dla niej wolność, a dał jej w zamian to, czego gromada ludzka łaknie najwięcej i potrzebuje, a co księżę tego świata daremnie ofiarował był Jezusowi: chleba, władzy i cudów...

Zaślepiiony nienawiścią do katolicyzmu, rozdzierany odgłębnym wątpleniem, tym żarliwiej przeto prawosławny — prawosławny z racji politycznych (p. pracę o nim W. Lednickiego)* Fiodor Dostojewski dał formułę i metaforę, która pasuje — do komunizmu, oczywiście w najbardziej uwznioślonej projekcji, w jakiej go można przedstawić. Sam Dostojewski zresztą, w „Dzienniku Pisarza”, tu i ówdzie skojarzył wstrętny mu katolicyzm z równie obrzydłym socjalizmem, a przewidując proroczo komunistyczne tegoż implikacje, widział je urzeczywistnione we Francji, zaś obrócone w niwecz — przez prawosławną Ruś. Takie bywają pomyłki wieszczów.

Ta metafora-równanie (*Gleichnis*) przyświecała Jerzemu Andrzejewskiemu („Ciemności kryją ziemię”), ale zepsuł rzecz sentymentalizmem, przerzucił ciężar intelektualny zagadnienia na erosowy stosunek ucznia-mistrza,

*) Tezę Lednickiego wpisałbym w ograniczony wycinek ogromnego zjawiska „Dostojewski”²⁰.

tutaj kompletnie nierewelacyjny. Nie zignorował przy tym (co w pewnych warunkach wolno pisarzowi), ale po prostu nie zauważył zasadniczych różnic między stalinizmem kościelnym a tymże *tout court*. Na przykład (mówię to też do słuchu Tercowi): w zasadzie Inkwizycja likwidowała heretyków (głównie w Hiszpanii i w Niemczech rozszerzyła swoje dobrodziejstwa na Żydów, czarownice itd.), kat, a najczęściej i ofiara wierzyli integralnie, ślepo w słuszność represji, zaś ogromne masy wierzących żyły poza zasięgiem terroru i ochoczo przyświadczały widowiskom represyjnym. Zestawmy to z Totalnym Terrorem Systemu, z jego powszechnością — „grozą i drżeniem” wszystkich, włącznie z katami, a z równania niewiele co zostanie. To tak, jakby działalność represyjną Systemu ograniczyć do starych bolszewików, jak to zresztą uczynił był konsekwentnie Chruszczow, — albo sytuację Polaków wiadomego czasu — do tzw. „tragedii komunistów”.

Zwraca się często uwagę na inne analogie i podobieństwa między obu kościołami: zatem na zasadę bezwzględnego posłuszeństwa oraz hierarchiczną organizację. Ale w Systemie jedno i drugie wywodzi się bynajmniej nie z inspiracji chrześcijańskiej, czy prainspiracji wspólnej, ale — o czym już nie raz pisano — z dobrego przemyślenia podstawowej struktury wojska, każdego wojska, wszystkich czasów.

G. Wciąż w kwestii przełomu cywilizacji: Malraux trafnie zwrócił uwagę, że nieudolność, ubóstwo formy pierwszych artystów chrześcijaństwa nie wynikało z nieumiejętności (nie brak było — wokoło i na zawołanie — świetnych jeszcze wirtuozów wielkiej tradycji antycznej), — ale z najostrejszego skrętu dążeń i zainteresowań, z przerzutu ogniska życia duchowego na rewelacyjnie nowoodkryte tereny. Wtedy to opanowane już środki techniczne okazują się nieprzydatne, i zaczyna się piękna praca wypracowywania nowej formy. Wystarczy obejrzyć np. zbiory portretów z Faium w Sztokholmie, aby wśród paru dziesiątków stereotypowych, banalnych stanąć, w zdumieniu i olśnieniu, przed paru dziełami anonimowych geniuszy, przecież tak samo stereotypowymi, przecież — jakże nieporadnymi, jakże mizernymi w zestawieniu np. z freskami pompejańskimi. Wystarczy zobaczyć źle zachowane freski np. w Santa

Maria Antiqua, aby być wstrząśniętym nieosiągalną ich czystością i wzniosłością.

Żebyż to sztuka, literatura, produkty duchowe socieckie były tylko ubogie, żebyż — tylko prymitywne!²¹. Najbardziej przygnębia ich miałość, trywialność, ich pełzające imitatorstwo. Ta literatura „najbardziej nowatorska” przerzuciła swoje nowe zainteresowania — wyłącznie tematyczne, na nie-nowe (p. P. Hamp, nasz Gruszecki) tereny, naprawdę po nowemu tylko orientując je wedle dyrektyw wydziału kultury przy KC WKPb; plastyka zajmowała miernych XIX-wiecznych pieredwizników, architektura — monstrialnie oszpecony rosyjski ampir. Rzeczy to znane. *Passons*.

Tam, u świtu cywilizacji chrześcijańskiej — jaka rozmaitość interpretacji uchwalonych przez Synody dogmatów, jakie spory frakcyjne w obrębie doktryny, nawet w okresie stalinowskim Kościoła i pomimo programowej nietolerancji — wszelakich nominalistów, realistów, konceptualistów, triteistów; albo tutiorystów, probabiliorystów, probabilistów — polecam te ostatnie dystynkcje uwadze kazuistów partyjnych. Jaka rozpiętość inspiracji duchowej między św. Teresą z Aquili a św. Tomaszem, św. Franciszkiem a nieomal równoczesnym Bernardem z Clairvaux. Jaka przepaścista odmienność postawy życiowej np. między „Naśladowaniem Chrystusa” a równoczesną nieomal kroniką Froissarta, z jej gobelinowym obrazem średniowiecznego *dolce vita*; między *amour courtois* a kultem Madonny (p. genialny „Rycerz Ubogi” Puszkina), między klasztorami przeróżnej inspiracji, pustelniami itd. W obrębie jednej totalitarnej w on czas doktryny i jednego programowo fanatycznego systemu. Jaka fantastyczna zaiste rozmaitość w zestawieniu ze stepową monotonią i jedyną totalną sztafpą życia codziennego i duchowego — od Kamczatki do Szprewy.

Naturalnie, *wsie siekut obywatielej. No pierwyje siekut absoliutno.*

To me it is a prison.

Tak więc starałem się wykazać niewłaściwość ustalania jakichkolwiek powinowactw serio między chrześcijaństwem a komunizmem, a szczególnie ich mocy kulturotwórczych.

W toku wywodów, w sposób co prawda pośredni, odpowiedziałem też na podstawowe pytanie, czy w ogóle mamy do czynienia z początkiem nowej cywilizacji, komunistycznej? W materii tej dorzucę jeszcze jeden krąg argumentów — nieco poniżej. W tym miejscu muszę jednak stwierdzić, z niemalym zakłopotaniem, że pragnąc dać możliwie bezstronną konfrontację obu światów, w zapale polemiki wykierowałem się mimochcąc w stronę nieomalże apologii jednego z nich. A przecież — z natury, formacji i wewnętrzznego przeświadczenia, niech mi czytelnik daruje to zbyt osobiste wyznanie — mam nieprzepartą niechęć do wszelkich w ogóle kościołów i dogmatów. Coś tu zatem nie jest w porządku, ale co? Marksista z uśmiechem wszechwiedzy pospieszy z wyjaśnieniem. Znam je, to wyjaśnienie, i nie przyjmuję.

Może jednak częściowo uciekałem się, niechcący, do wypróbowanej przez komunizm metody porównań optymo-pejoratywnych (np. sytuacji kalabryjskiego wyrobnika z kołchoźnikiem — „milionerem”)?

Może — z innej beczki — lat czterdzieści to zaledwie dzień w Historii! i możemy wszyscy pocieszać się wizją kabalistycznego *gilgul hametin*: że ciała nasze — po wiekach — przeczolągają się pod ziemią, pod mnogimi warstwami mierzwy ludzkiej — do Ziemi Obiecanej?

Mówiłem o niezaprzeczalnej miślkości i trywialności sowieckich produktów duchowych: literatury, sztuki, stylu życia. Później postaram się wykazać, że inaczej być nie może — przy tej Doktrynie, przy tym Systemie.

Mówiłem o impasie i stagnacji dyscyplin humanistycznych. Biorąc rzecz głębiej, Doktryna a za nią System (którego mówiąc pleonastycznie jest nieodłącznym kręgosłupem, wszystko się w nim przedziwnie ze sobą splata, jedyna to zresztą — w matematycznym tego słowa znaczeniu — jego uroda) Doktryna zatem nie ma możliwości ewolucji! — i to jest prawdziwym nieszczęściem nie tylko jej własnym, ale świata. A gdy ewoluuje, to wbrew sobie, za cenę pryncypialnych ustępstw i kompromisów, mniej lub więcej zręcznie maskowanych przez kazuistykę, kosztem samozaparcia i pod presją musów praktycznych (np. w fizyce teoretycznej). Zarazę wnosi to w mury Doktryny! a

nie są to już kontrolowane i manipulowane sprzeczności logiczne, ani z łatwością tłumione wpływy „obcej ideologii”, ale istotne zaprzęgnięcia, narzucone przez mus życia. Idźmy dalej.

Wstąpmy na chwilę do środka, przypatrzmy się np. funkcjonowaniu diamentu. Na przykład, „prawo negacji negacji”? Zwrócono już na ten problem nie raz uwagę. Z grubszą mówiąc: trzeba — albo za sowieckimi ideologami zadekretować, że to uniwersalne, kosmo-socjo-epistemologiczne „prawo” przestało raptem działać w listopadzie 1917, a najpóźniej — z momentem zbudowania socjalizmu, gdzieś w trzydziestych, względnie pięćdziesiątych latach b.st., po miliardach lat rządzenia się w kosmosie i w „prehistorii ludzkości” — co jest jawnym „majaczeniem kurzej duszyczki”. Albo — wypadnie przewidzieć drugą Rewolucję, którą też i przewidują i do której do *izstuplenia* tęsknią Terc oraz — nie od dziś — myślący odłam sowieckiej młodzieży.

Umyślnie przedstawiłem dylemat w wulgarnej postaci, znam niektóre finesy na ten temat sowieckich heglistów, ale każdy krok tutaj wikła diament coraz beznadziejniej. Najrozsądniej tedy „poprzestać na tym, co Stalin poucza w IV rozdziale Historii WKPb. I kwita” — jak mawiano w Związku Literatów Polskich.

Obracamy się ciągle w kręgu humanistyki, bez której ostatecznie człowiek na Rusi żyć może. A sputniki, a fantastyczny w istocie rozkwit technik i tylu nauk ścisłych? Zawrotne bezsprzecznie tempo rozwoju nauki sowieckiej i jej wzrastająca waga w państwie?

Otóż — wypada tu poczynić rozróżnienie między organizacją nauki, która w istocie w tym stopniu, w takim tempie i w takiej sprawności, w takiej jakości — możliwa jest jedynie *przy* tym Systemie — a samą merytoryczną treścią owych nauk, przeważnie oraz w części swojej najbardziej twórczej przejętej od Zachodu i z rosyjskim super-talentem asymilowanej. Po drugie, owe twórcze pryncypia i nasiona, a nawet całe dyscypliny bywały dotąd przejęte na ogół wbrew fundamentalnym założeniom Doktryny. Dla przykładu: podstawowe pojęcia i twierdzenia teorii względności, zasada nieoznaczoności itp.; logistyka, cybernetyka, socjologia naukowa, które to teorie, metody i dyscypliny

rygorysta Stalin zsyłał na Sybir*) względnie tolerował wyłączenie u nielicznych zaufanych (Kapica), oraz u lokatorów Łubianki (inżynierowie z „procesu Partii Przemysłowej”, którzy pracowali naukowo w swoich złotych klatkach).

Publicyści zachodni za I. Deutscherem („ZSRR po Stalinie”) dopatrują się rękojmi stopniowej liberalizacji i w ogóle dobroczynnej ewolucji Systemu — w upowszechnieniu oświaty. Nie wdają się w analizę, jaką ta oświata jest (*kako wierujesz*), i pozapominali najświeższych lekcji historii: np. względnie wysokiego poziomu oświaty mas niemieckich za hitleryzmu. Anachroniczne to i uporczywe złudzenia z czasów *siècle des lumières*.



Nie mówiło się dotąd o aspekcie ekonomicznym. Dla pełni obrazu — dwa słowa.

Płonne są obawy zachodnich ekonomistów, że w konkurencji „współzycia pokojowego” System może wreszcie, tym razem, „dogonić i prześcignąć”. Istnieje tam fatalny próg sprawności produkcji cywilnej, a nade wszystko stopy życiowej (konsumpcji) najszerszych mas, do którego jest już niepokojąco *blisko*. (Oszłamiający rozpęd techniki może go odsunąć, ale nie za daleko). Jakiś mówiąc przenośnie, *marginal value* ogólnej ekonomiki sowieckiej, po którego przekroczeniu grozi paraliż gospodarczy i (albo) śmierć polityczna.

Nie będę tu nawet obstawał przy zahamowaniach i śmiertelnej ciężkości (*pesanteur*) aparatu państwowego (kto nie przystaje co najmniej na istotny sens tego terminu, z tym nie ma rozmowy). Powodują one chroniczną niesprawność produkcji niepreferencyjnej, współistnienie o miedzę ZSSR — A, B... X, Y, Z: obok błyszczących kombinatów dawna *niszcząca Rassija* (A. Błok), obok sputników — brakoróbstwo zapalczane itd. itd. Znane to rzeczy. Cena to m.in. imponującej, monstrualnie skoncentrowanej polityki preferencji gospodarczych. Słowem,

*) *Pieriechwat — Zalichwatskij, Archistratycz Stratilatowicz, major. Wjechał w Głupow na białom konie, szóg gimnazyj i uprazdnił nauki* (Sałtykow-Szczedryn).

istny „kaftan Triszki” z bajki Kryłowa, daje się tylko łątać, mimo postępu techniki i technologii, mimo czystek, reorganizacji, mimo wzrostu ogólnej ilości wytwarzanych dóbr, w lepszym czy raczej gorszym gatunku.

Ale tu wtrąca się czynnik o ileż ważniejszy: polityczny! System zastąpił tradycyjne bodźce naturalne ludzkiej działalności — poza najelementarniejszymi, niewiele co ponad biologicznymi (dobrze się najeść, jakoś po ludzku mieszkać itd.) — bodźcami sztucznymi, administracyjno-policyjnymi i społecznymi (awans). Ale te wieloklawiszowo grające elementarne bodźce (nie tylko ze względów gospodarczych), muszą być za wszelką cenę utrzymane, i to, niestety, na optymalnie niskim poziomie i w optymalnie masowej skali.

Małe omówienie: stalinizm mógł funkcjonować wyłącznie przy głodowej sytuacji mas. Chruszczowizm natomiast tzn. osłabienie i degradacja mocy i presji policyjnej, nieuniknione już u schyłku życia Stalina, (ale o tym kiedy indziej) wymaga jakiegoś współdziałania mas, jakiegoś minimum obojętności (nie konieczne konsensu), a co za tym idzie jakiegoś stopnia podniesienia ich stopy życiowej.

Można doskonale rządzić na sposób sowiecki przy powszechnej dziesięciolatce i masowej politechnizacji — ba, na pewno nawet łatwiej, doświadczenie polskie wykazało, że najmniej wierzgającą (przeciw ościeniowi) warstwą ludności jest inteligencja zawodowa. Można doskonale rządzić po sowiecku przy tamtejszej formie demokratyzacji — przy dopuszczeniu coraz większej liczby ludzi do udziału w lokalnej administracji: wobec ścisłej hierarchizacji władzy, nie grozi to żadnym niebezpieczeństwem, na odwrót, odświeża krew, daje świeży dopływ, stosowany dobór i — jak w systemie zwierciadeł, pozornie uwielokrotnia i tak już szybkością krążenia elit, przynętę zatem awansu, dla ustroju niezmiernie ważną.

Nierówność jest bazą funkcjonowania Systemu. Nierówność brutalna, elementarna, z optymalnie niskiej podstawy i do optymalnie wysokiego regulowanego pułapu. Nierówność spartańska. Uprzywilejowani i uboga, ponieważ wierana masa. Tyle że w sowieckim systemie kastowym przejście a raczej przeskok z jednej do drugiej, często do znacznie wyższej, jest na wszelki sposób ułatwiany.

Wystarczy np. szczególna gorliwość i frenezja (aktywność) polityczna czy policyjno-polityczna, albo i same wyjątkowe zdolności profesjonalne, widoczna energia, pracowitość. Wytwarza to quasi naturalny dobór jednostek energicznych, obrotowych i raczej pozbawionych skrupułów w dążeniu do kariery (ale i tu jest limit: nadmiar energii zwiększa ryzyko upadku).

System daje zatem najłatwiejsze możliwości awansu jednostek i to w coraz większej liczbie. Ale pod warunkiem! Pod warunkiem, że jednocześnie zwiększa się ogólna masa nieuprzywilejowanych, na optymalnie niskim poziomie egzystencji. Coś w rodzaju Totolotka. To był sens walki Stalina z proto-socialistyczną *urawniówką*.

Nie jest z tym w żadnej sprzeczności fakt, że elitom wiedzie się coraz lepiej. Na odwrót. Beneficjenci tych elit wiedzą, czemu to właściwie zawdzięczają swoje wyniesienie i jak łatwo jest upaść, a ciągle mają przed oczyma (przed nimi się tego nie ukrywa, przeciwnie — był to między innymi poboczny motyw wysyłania pisarzy w teren), jak nisko, jak bardzo nisko się pada, niskość zatem tego ruchomego dna musi być dostatecznie niska. Ta wiedza utrzymuje ich niegorzej w ryzach, jak groźby policyjne, jak to wykazało doświadczenie literatów polskich, dla których te groźby była na ogół nieduże, nawet w okresie B i W. Przy tym oni sami, uprzywilejowani, są słupem (namydłonym) z kielbasą dla ogromu mas, patrzących z głębokiego dołu. Tu wtrąć osobiste wyznanie autora tych słów: rozczarowały go do końca (jako socjalistę od urodzenia nieomal) nie tyle więzienia, a było ich niemało i to jakich! — ale nade wszystko współzycie i przyglądanie się poniewierce, upośledzeniu i nędzy najszerszych mas pracujących. Zastrzegam się, było to za Stalina, odtąd bezsprzecznie zmieniło się bardzo wiele, *stało łuczsze żyć*, na pewno *mnogo łuczsze*, ale podstawowa mechanika musiała pozostać, bowiem bez niej System by się rozwalił.

Wyobraźmy sobie bowiem sowieckie *welfare state*, z powszechnym posiadaniem domków rodzinnych, czy pełnych mieszkań z bezpieczeństwem osobistym *sans peur et sans reproche*, z rzeczywistym zabezpieczeniem na starość itd., z łatwością, dostępnością, obfitością i ciągłością masowej konsumpcji. Wtedy znów wyłoni się groźne wid-

mo *Kto kawo*, które ongi Stalina zmusiło do hekatomb kolektywizacji, do wygłodzenia na śmierć Ukrainy i tylu innych ofiar! A kto w dodatku jeszcze zna komercyjne ciągoty sowieckich ludzi, chyba dorównujące lewantyńskim, ich głód posiadania byle czego, byle więcej... Dobrobyt, jak wiadomo było już naszym ojcom, demoralizuje.

Jest jeszcze inny aspekt sprawy. Dobrobyt wybija kiel agresywności, postawienia wszystkiego na jedną kartę, chętki do wojaczki, bojowości (bez której nie ma komunisty). Widziało się to już tak często w historii. A gdy się stwierdza, że rząd sowiecki nie pyta o wolę mas, nie znaczy to bynajmniej — przy chruszczowizmie zwłaszcza, że nie liczy się z jej nastrojami. Przy rozluźnieniu bowiem i szybkim krążeniu elit istnieje jakaś nie poddająca się wyraźnej kontroli osmoza poprzez przegródki kastowe, aż do najniższych włącznie, władza jest bądź co bądź pochodzenia ludowego, ten i ów wysoki dygnitarz ma matkę na wsi, jak to się dzieje w jakiejś noweli z czasów odwilży, przyjeżdża na jej pogrzeb i raptem jest oblężony przez wszystkie miejscowe biedy.

W tych warunkach: zbrojenia są prawdziwym zbawieniem dla Systemu: bez nich demonicznie potęgający się rozstęp między możliwościami techniki, produkcji a polityczną koniecznością utrzymywania najszerzych mas na jakimś nieprzekraczalnie niskim poziomie egzystencji musiałby koniec końców rozsadzić System. Są zaś one (zbrojenia) nieporównanie mniej potrzebne kapitalizmowi, jak wykazały różne i względnie łatwe rekonwersje — długo jeszcze będzie tu działać szaleńczy zaiste wyścig potrzeb z produkcją. Zbrojenia zatem są w ZSSR potężnym derywatywem, przy czym dodatkowo i dorywczo dają inne korzyści: więc lodówki, zegarki, aparaty, telewizory z pobocznej produkcji przemysłu wojennego: więc — realną wizją sputników rozpalają nowy mit lotów w kosmos, mit — jak twierdzi sam C.G. Jung — jakoś potrzebny współczesnej ludzkości. A znów mity, jak to już dawno stwierdził Albert Sorel w *Sur la Violence* — pożyteczna dla badaczy komunizmu lektura — są motorem historii.

Rzeczywiste rozbrojenie oznaczałoby zatem krach Systemu w bliskiej przypuszczalnie przyszłości. To chyba tłumaczy wiele zagadkowych obrotów sowieckiej polityki²².

I tu więc margines ewolucji jest ograniczony.

Ponadto, jak z powyższego i poprzedniego wynika, System jest zasadniczo niezdolny do stworzenia społeczeństwa bezklasowego, do przezwyciężenia swojej fundamentalnej dychotomii: swoi — nieswoi, uprzywilejowani — upośledzeni.

Łatwiej wsiąść na tygrysa...



Poza tym wszystkim zachodzi pytanie, czy przy wszystkich swoich olśniewających zaiste osiągnięciach naukowych, System idzie — jak sądzą liczni sowietologowie — ku scjentyzmowi w jego technokratycznej, czy jakiegokolwiek innej przyszłej postaci.

I — pytanie bardziej podstawowe: czy scjentyzm w ogóle może się stać wiodącym agensem kulturotwórczym? czy istotnie może dać początek nowej cywilizacji?

Co prawda, wytworzyła się w świecie sytuacja, która — jeśli nie zmusza (czy coś w ogóle do czegoś zmusza?), to przynajmniej pobudza, lub zachęca do gruntownej odmiany cywilizacji: Mianowicie, nieodwracalna (czy coś bywa nieodwracalne?) i postępująca dekadencja (czy rzeczywiście aż dekadencja?) zachodniej cywilizacji, oraz zmasowanie barbarzyńców u wrót tegoż.

Warto pomedytować tu nad słowami starego Renana zastanawiającego się nad losem cywilizacji: *Vous me direz que nous avons des barbares parmi nous; mais ce sont des barbares vieux, plus usés que nous* — mówi Euthyprion (Gobineau?) w „Dialogach Filozoficznych”.

Tyle, że już sam wewnętrzny antagonizm między beznadziejnością zbizantyzowanej z musu Doktryny a dynamiką rosyjskiego żywiołu („*stichii*”), stopowym niepokojem, ruchliwością, pędem (Rosja jako rozpędzona trójka N. Gogola) — nie po raz pierwszy zresztą w dziejach Rosji — dialektycznie potęguje zdobywcą ekspansywność Systemu:

„Nu dwigajsja, brat, dwigajsja. Eto swiatomu tak prostojat' nipočzom, a naszemu bratu nielzja, zaniesiet wjuga. Mało li naroda ona ukaczala, ubajukała”.

(A. Błok „Piesnia Sud'by”).

Z kolei przejdźmy do właściwego tematu rozprawy Terca „Co to jest realizm socjalistyczny?”:

„Wyborem bohatera, treścią, duchem realizm socjalistyczny jest bardziej zbliżony do XVIII w. w Rosji, niż do XIX ...Spokrewniliśmy się z XVIII w. ideą państwowej celowości, poczuciem własnej wyższości, jasną świadomością tego, że „Z nami Bóg”. („Sąd Idzie” str. 122).

Piśmiennictwo XVIII w. stworzyło bohatera pozytywnego, który pod wielu względami podobny jest do bohatera naszej literatury (str. 125)... Ta literatura nie знаła zbędnych ludzi. Nie był jej udziałem ów niszczący śmiech, który stał się chroniczną chorobą kultury rosyjskiej od Puszkina do Błoka...

...Socrealizm wziął za punkt wyjścia idealny wzorzec, do którego upodabnia realną rzeczywistość... Przedstawiamy życie tak... jakim powinno się stać, podporządkowane logice marksizmu, i w tym sensie realizm socjalistyczny należałoby zapewne nazywać socjalistycznym klasycyzmem”. (str. 124).

„Sztuka nie boi się dyktatury, ani represji, ani nawet konserwatyizmu i sztampy. Jeśli trzeba, sztuka bywa ciasno-religijna, tępo-państwowa, nie indywidualna, a mimo to wielka. (Egipt, rosyjska ikonografia). Jednego nie znosi — eklektyzmu”. (str. 132).

...wbrew klasycystycznej naturze naszej sztuki, pisarze wciąż uważają ją za realizm, orientując się nadto na literackie wzory XIX w., najdalej od nas i najbardziej nam wrogie. Zamiast iść po drodze umownych form, czystego wymysłu, fantazji, po drodze wszystkich wielkich kultur religijnych, dążą do kompromisu, kłamią... próbując połączyć niepołączalne: pozytywnego bohatera, słusznie ciężącego ku schematowi i alegorii — i psychologiczną analizę charakteru; góry styl, deklamatorstwo — i prozaiczne opisy powszedniości; wzniosły ideał — i życiowe prawdopodobieństwo. Powstaje potworna mieszanka... To nie klasycyzm i nie realizm. To pseudo-klasyczna pseudo-sztuka nie całkiem socjalistycznego zupełnie nie realizmu.

Śmierć Stalina zadała niepowetowaną stratę naszemu religijno-estetycznemu systemowi... sztuka nie ma siły, by wlecieć ku ideałowi i z dawną napuszoną szczerością sławić nasze szczęśliwe życie, podając to, co być powinno, za rzeczywistość. W panegirycznych utworach z coraz większą otwartością daje o sobie znać nikczemność i świętoszkostwo, a powodzeniem cieszą się obecnie pisarze, których stać na względnie prawdopodobne uwydatnienie naszych osiągnięć i na względnie łagodne, delikatne przedstawienie naszych niedociągnięć”. (str. 135).

„Najwidoczniej w samej nazwie — „realizm socjalistyczny” — zawarta jest sprzeczność nie do pokonania. Socjalistycznej, to znaczy kierowanej do celu, religijnej sztuki nie można tworzyć środkami literackimi XIX wieku, nazwanymi „realizmem”. ...Socjalistyczny realizm, jeśli istotnie pragnie osiągnąć poziom wielkich kultur świata, ma tylko jedno wyjście — skończyć z „realizmem”, zrezygnować z... bezpłodnych wysiłków stworzenia socjalistycznej „Anny Kareniny”

i socjalistycznego „Wiśniowego Sadu”. Gdy soc-realizm odrzuci nieistotne dla niego prawdopodobieństwo, potrafi przekazać majestatyczny i nieprawdopodobny sens naszej epoki”. (str. 133-4).

... „pokładam nadzieję w artystycznej fantasmagorii, w sztuce rzutującej hipotezy zamiast Celu, w grotescie, zamiast obyczajowego opisu... Niech obrazy Hofmana, Dostojewskiego, Goyi, Chagalla... Majakowskiego... nauczą nas, jak dochodzić prawdy poprzez irracjonalne fantazje” (str. 135)²³.

Uderzająco trafne obserwacje, ładne sformułowania, o włos od sedna rzeczy, ale ten to włos stanowi o błędności wniosków („Socrealizm ma jedno wyjście”... „Gdy odrzuci”... „jak dochodzić prawdy...).

Aby dojść do źródła błędu, zastanówmy się nad funkcją, do której socrealizm — „oręż w walce ideologicznej”, „instrument przekształcania świadomości mas” oraz „transmisja Partii” — został powołany.

Śluszne ale nadmiernie zawężające przyrównanie soc-realizmu do rosyjskiego XVIII-wiecznego klasycyzmu²⁴, do Dzierżawina należy rozszerzyć, a zarazem cofnąć w czasie: do w. XV-XVI w. Analogie są tu gruntowniejsze i bogatsze, chociaż mniej widoczne na samej powierzchni zjawiska artystycznego. Oto jak ten okres przedstawia akademik. Sakulin, wybitny uczony sowiecki („Die Russische Literatur” w monumentalnej Walzelowskiej serii, r. 1927):

„Das Moskauer Reich ist bereits gegründet. Die Hauptstadt ist der Mittelpunkt des kulturelles Leben. Man geht energisch an die Kodifizierung der religiösen, staatlichen, gesellschaftlichen und häuslichen Regeln. Der Stoglawy Sobor wird berufen, die grossen Lese-Mennaen werden zusammengestellt, der Domostroj wird geschrieben u.s.w. Es ist nach prof. A.Š. Orłows geschickter Formulierung eine stattliche und schöne Epoche, die reich an erhabenen stolzen Gedanken... an prunkvollen und rhetorischen Ausdrücken. Es entsteht ein Stil, der die ganze Mannigfaltigkeit der literarischen Ausdrucksmöglichkeiten unter einem buntem Gewand, das dem erhabenem Gedanken eines Dritten Roms und dem Pomp der russischen Autokratie angemessen war, vereinigt”.

Piękna kartka rzetelnego dziejopisarstwa! Albo — nieświadomego lub zakomuflowanego jasnowidztwa — jest dopiero bowiem r. 1927, już-już przełomowy w sowieckim życiu literackim. Wszystko tu zostało uwzględnione: i wypadowa baza sytuacji państwa, i kodyfikacja reguł determinujących całość życia społecznego i jednostkowego, (jak i w co wierzyć, myśleć, mówić, postępować) i „kolektywny”

Sobór, i hagiograficzne lektury Czetii Miniei, i kodeks obyczaju — „Domostroj”; i styl: wzniosłe myśli, pyszna retoryka, ornamentyka; Trzeci Rzym, i pompa rosyjskiej autokracji. Wypisz, wymaluj, nic tu ująć, ani dodać, z jednym tylko wyjątkiem, że poddani temu porządkowi, oraz artyści, którzy mu dawali wyraz, świadectwo i glorię, wierzyli w niego — szczerze, bez rezerwacji, integralnie, po dawnemu.

I druga różnica: że za tamtymi stały wiekowe tradycje, autorytet transcendentu, oraz ideał sublimowany, podczas gdy tu robią pogodę ukazy dużych i małych funkcjonariuszy CK.

Otóż te właśnie różnice stanowią o tym, że tamta dawna sztuka, mimo ograniczeń, autokracji itd. była autentyczna, czasem wzniosła, zawsze gorąca i przemawiająca do mas, ta zaś jest bezbrzeżnie trywialna, sfabrykowana, oschła, zimna i jałowa.



Żeby się nie zgubić w galimatiasie powstałym dokoła socrealizmu, trzeba jak wspomniałem, mieć wzrok zawsze nakierowany na jego funkcje, z tej choćby racji, że jest to kierunek *par excellence* i *par force* funkcjonalny.

Na samym wstępie natrafiamy na dwa kapitalne i niedwuznaczne koncepty: określenie Stalina „inżynierowie dusz” (miał on bezsprzeczny talent do lotnych słówek). A także: „zamówienie społeczne” (raczej polityczne). Wmyślmy się, jakie są funkcje i metody postępowania inżyniera, i jakie są funkcje oraz wymogi „zamówienia”, a będzie to cenna nitką w labiryncie.

W świetle tych konceptów, trafnego opisu Sakulina, naszej analizy Doktryny i Systemu, i na tle ubiegłych doświadczeń — możemy bez większych wahań wypunktować najważniejsze momenty funkcji socrealizmu:

a) funkcja hagiograficzna: gloryfikacja Partii, narodu rosyjskiego, państwa sowieckiego, obozu socjalizmu i pokoju, i na odwrót — manichejskie obrzydzanie piekła kapitalistycznego, obrona mas przed rozkładowym wpływem jego ideologii w najszerszym zakresie; pobocznie: ojcowska

pedagogika, wyrozumiała w stosunku do możliwych, a surowa — do aktualnych „sprzymierzeńców”;

b) „Domostroj” w obrazach — reguły postępowania w życiu prywatnym, w pracy, w życiu publicznym, model i prototyp wzorowego obywatela (bohater pozytywny) — forsozna i mająca działać na zasadach raczej sugestii i magii, niż racjonalizmu pedagogika społeczna, mobilizująca „do” i „przeciw”.

c) „Opium dla ludu” — optymistyczne (nawet tragedia jest tu obowiązkowo „optymistyczna”) miraż, monumentalne w formie — „Trzeci Rzym”, pompa rosyjskiej autokracji” a populistyczne w treści.

W związku z tym najdalej idąca komunikatywność, prymitywizm hodowany, dostępność, czytelność dla najszerszych mas, aż po analfabetów włącznie (funkcja malarstwa)

Więc dostępność dla najszerszych mas, naturalnie, ale modelowana na parweniuszowskich gustach „zamawiającej” klasy rządzącej, typowo drobnomieszczańskich — morfologia ich jest dobrze znana.



Mylą się zatem pisarze zachodni (np. na spotkaniu w Wenecji w r. 1958), gdy zarzucają sowieckim kolegom zdradę rosyjskich tradycji literackich. Słuszne to, jeżeli je ograniczyć do XIX w. tzw. krytycznego realizmu, aliści niesłuszne, gdy sięgnąć do literatury klasycyzującej (jak wskazuje Terc) i XVI-wiecznej jak określa kompetentnie Sakulin, a choćby i dziewiętnastowiecznej, ale reakcyjnej, mniej na Zachodzie znanej.

Mylą się szczególnie i gorzko ci wszyscy, którzy składają szkaradziństwo socrealizmu na karb kaprysów i drobnomieszczańskiego gustu (niewątpliwie jakąś to tam rolę w szczegółach i odegrało) Żdanowa, Stalina. Formy i treści, oraz modalności są tu konsekwentnie związane z Systemem, jako też z pierwiastkowym charakterem narodowym. Podobne przyczyny w podobnych sytuacjach wytwarzają podobne skutki, jak to widzieliśmy. A więc, założenie teokratycznego w swych dążeniach państwa moskiewskiego, powstanie państwa nowocześnie imperialnego, zainstalowanie się imperium komunistycznego.

Z jaką dezynwolturą Stalin umiał tłumić własne gusta, wskazuje sławetna nominacja Majakowskiego na „czołowego poetę epoki socjalizmu”, bez której to nominacji poeta podzieliłby los swego świetnego kolegi Chlebnikowa. A przecież Majakowski bardziej Stalina brzydził, niż bądź co bądź wszechstronnie wykształconego Lenina, był mu też z pewnością bardziej niezrozumiały (zresztą po dziś dzień jest niezrozumiały dla ogółu inteligentów sowieckich, chociaż go uczą na pamięć w szkołach).

Podobnie, dla racji stanu, Stalin wybronił Szołochowa przed sędziami kolegami, przykładając na „Spokojnym Donie” okrągłą pieczęć socrealizmu, jakkolwiek powieść ta jest w istocie zaprzeczeniem zadań, określających socrealistyczny kierunek.

Wspomniany Majakowski włożył wiele pasji w zwalczanie drobnomieszczańskich gustów („Lef”), demaskował z równą furją płaskość późniejszego Gorkiego, jak szkaradne nalepki perfumeryjne, w jednym i drugim i w dziesiątym ponosząc klęskę, co przypieczętował samobójstwem.

Zatem, myli się Terc szukając „drog wyjścia i możliwości powstania autentycznej literatury” w ramach Systemu (a może ironizuje?).

Myli się Terc, że można bankructwo literackie zażegnać przez ujawnianie podstawowej sprzeczności między poznawczo-realistycznymi uroszczeniami (realizm), a socjalistyczną „teleologiczną” intencjonalnością („socjalistyczny”)²⁵. Identyczna sprzeczność, jak pokazaliśmy, tkwi u podstaw filozofii Systemu. Ale Moskwa sprzeczności się nie boi.

Myli się Terc sądząc, że główną przeszkodą do stworzenia wielkiej sztuki — w ogóle i w ramach Systemu — jest eklektyzm. Niewątpliwie eklektyzm nie przeszkodził barokowi, a nawet gotykowi (p. prace Baltrusajtisa) stawać się sztuką wielką.

Ma częściowo rację Terc, że sztuka nie boi się dyktatury, itd. Ale zależy: jakiej, kiedy i jaka sztuka. Wspominałem już o decydującej odmienności: gdy artysta wierzy integralnie, gdy najpierw jest wierzącym a potem artystą, gdy sam akceptuje i sam pragnie bezwzględного posłuszeństwa — z miłości (do Boga, Chrystusa, Buddy), bo takie posłuszeństwo możliwe jest jedynie z miłości.

Aby mogła powstać wielka sztuka religijna, do której wzdycha Terc, do której nawołują komunistyczni religianci, obojętną jest sprawa eklektyzmu czy czystości stylu, mistrzostwa czy naiwności, chwytów realistycznych czy groteskowo fantastycznych, paseistycznych czy nowatorskich. (Odróżnić nowatorstwo sztuki od nowatorstwa środków artystycznych — nb. źródło w Polsce ciągłych nieporozumień). Natomiast bezwarunkowo niezbędny jest pewien określony *état de disponibilité*. Taki, jaki u katolików idzie naprzeciw Łasce.

Jakie może być w Systemie *état de disponibilité* artysty? Kompozytor Glinka (opowiada o tym w swoich pamiętnikach) zdumiony, że Kukolnik, osławiony autor reakcyjnych ramot i donosiciel, wyrząsnął przed nim jak z rękawa wyczerpujące informacje na temat historii i geografii Litwy, — zapytał go, skąd tyle o tym wie? Na co Kukolnik: *prikażut, a zawutra że budu akuszerom*. Socrealiści nie stają się z dnia na dzień akuszerami, ale piszą jak felczerzy.

8.

Wróćmy do Terca — aby się już z nim nie rozstać.

„Romantyzm związał się... z pierwszym pięcioleciem rewolucji kiedy w życiu i sztuce panowała żywiołowość uczuć, kiedy zryw ku przyszłości i rozmach w światowej skali nie zostały jeszcze podane w pełni reglamentacji surowego państwowego ustroju... To nasza młodość, do której nie przestajemy tęsknić. To zachwyt rozwianych sztandarów, wybuchy namiętności i gniewu, to błysk szabel i rżenie koni, rozstrzeliwania bez śledztwa i sądu, to — „Dawaj Warszawę!”, życie, sen i śmierć pod otwartym niebem, rozjaśnianym przez ogniska pułków, koczujących jak zamierzchłe hordy.

W odróżnieniu od Partii, państwa, MGB., kolektywizacji, Stalina — rewolucja nie potrzebuje, by ją usprawiedliwiał komunistyczny raj, który nas oczekuje. Jest usprawiedliwiona sama przez się, usprawiedliwiona uczuciowo — jak miłość, jak natchnienie. ...Przecież to my dokonaliśmy rewolucji, więc jakże nam wypierać się jej i bluźnić?! Tkwimy w tym przejściowym okresie, jak w psychologicznej pułapce. A jeżeli mamy sobie wyobrazić, że wrogowie nas zwyciężą, zwracając ku przedrewolucyjnemu trybowi życia (albo przyłączą do zachodniej demokracji — na jedno wychodzi), — jestem przekonany, że zaczęlibyśmy od tego, od czego zaczęliśmy niegdyś. Od rewolucji”. (str. 127).

W tekstach Terca jedyny to akord gorącej aprobaty. I zarazem granica jego negacji. Rewolucja to emocjonalne tabu. Intelktualista, nawet działacz, sowiecki i zachodni, gdy swoją młodość strawił w fascynacjach Rewolucji i Doktryny, nie może już żyć po uszy w negacji, rozczarowaniu, obrzydzeniu. Jeśli się nie nawrócił sposobem Szawła, jeśli nie szcerstwił, nie zbrzydził i nie podgnił w fatalistycznym oportunizmie, to musi zachować w uświęceniu młodzieńcze zachwyty. To właśnie: „rozwinęte sztandary” — „rozstrzeliwania bez śledztwa i sądu”, „Dawaj Warszawę”, „życie, sen (na jawie) i śmierć przy ogniskach pułków koczujących jak zamierzchłe hordy”. — Nie szukajmy w tej namiętnej apostrofie literatury, późnych ech Majakowskiego, Babela, cygańszczyzny i scytolatrii Błoka. Kto sam nie przeżył, choćby w marzeniu, poezji rozpętanego rewolucyjnego żywiołu, ten nie zrozumie, jak niezmiernie trudno przekroczyć to uczuciowe tabu, poddać zjawisko trzeźwej analizie. Nawet Pasternak niebardzo sobie z tym radził.

A w Rosji — im beznadziejniej trywialne, sterorryzowane i nikczemne było życie codzienne, tym uporczywiej tliła — u młodych szczególnie, właśnie u nich, u tych, których nie stępił i nie wytępił System — potrzeba przeżywania ekstaz Rewolucji, które znali z dzieciństwa czy z przekazów. Tęsknota za dawną zmarnowaną Rewolucją zasilała w żywy prąd projekcję jej w przyszłość, mit rewolucyjnej Nike 1917 przepoczwarzył się w miraż Drugiej Rewolucji. Przed samą wojną odbywały się masowe aresztowania wśród młodzieży z tego właśnie paragrafu. Że ferment ten trwa dotąd, świadczy nie tylko Terc i jego opowiadanie („Sąd Idzie”), ale i prasa sowiecka.

Z drugiej przeciw strony, — i o tym również trzeba pamiętać: mit ekstatycznej Rewolucji („rozstrzeliwania bez śledztwa i sądu”) żywił krwią — dosłownie — legendy „najlepszych synów ojczyzny” — („Feliks Edmundowicz” Majakowskiego, hagiograficzne powiastki o tegoż „gołębiej dobroci”). Zaciąg młodzieży komsomolskiej do tajnej policji żył, i może dotąd żyje, z resztek tych romantycznych legend — nie trzeba sądzić, że wszyscy oni z góry i od razu byli nikczemni. Nawiasem mówiąc, monstrualne te legendy i magiczny werbalizm „Zbrojnego Ramienia Rewolucji”, „Żelaznej Miotły”, „najlepszych synów” w nie małym stopniu umożliwił ojcu Stalinowi zainstalować ge-

niałny system Totalnego Terroru — misterium tremendum Systemu. Chruszczow — z musu raczej niż dla osobistej kariery, podgryzał mit, desakralizował Instytucję, toteż niełatwo będzie, kiedy znów zajdzie potrzeba, przywrócić okres Kultu Jednostki w jego grozie i blasku. Na razie zresztą wcale znośnie — jak już mówiłem — funkcjonują głęboko założone w duszach odruchy warunkowe strachu, od czasu do czasu aktywizowane ostentacyjnymi bodźcami — jak casus Iwińskiej, deportacje studentów, ostatnie dekrety. *Passons*.

Łączą się z tym u Terca hasła nawrotu do literatury lat dwudziestych. Fermenty te są zapewne bardzo silne i atrakcyjne, skoro tyle było o to hałasu na Plenum Związku Pisarzy w r. 1958, i skoro na młodych „rewizjonistów” i starych „odwilżowców” napuszcza się ponurych Rastignaców z podłego sowieckiego powiatu (jak w swoim czasie w Polsce „pryszczatych” — ale z nich to właśnie powstałi najzjadliwsi i najinteligentniejsi mściciele — memento dla Surkowa).

Nie mam serca dekurazować tej świetnej a tragicznej młodzieży, ale „amicus Plato”...

Z ogłoszonej niedawno interesującej kroniki wydarzeń literackich („Istoria Russkoj Sowietsoj Litieratury” t. I, Moskwa, 1958) widać, jak śmiertelnie byli izolowani wśród społeczności intelektualnej współpracujący z rewolucją i partią, tak nieliczni: Serafimowicz, Demian Biedny — Majakowski, zabłąkany w mistycznych spekulacjach Błok, i przygodne figury z Proletkultu, które szybko zapadły w zasłużoną niepamięć. Nawet „przyjaciół Lenina” — Gorki, wierzgła. Dopiero później doszłusowała prymitywna literatura „Kuźnicy” i „Pieriewału” — Gładkow, Sejfulina, Panfierow itd. — ale nie na nich ogląda się dziś młodzież literacka. Złoty okres literatury sowieckiej to błyszcząca ekipa „poputczików”. Atoli wystarczy dziś odczytać trzęswo, bez autosugestii, Pilniaka, nawet Babela, Wsiewołoda Iwanowa, Zoszczenkę, młodego Leonowa i Erenburga itd., itd., aby nieoczekiwanie wynurzyły się trapiące dziś Terca zmyślenia — („otoczą was zewsząd Mordy, Koczkodany, Upiory”, z noweli „Lokatorzy”) — Noc Walpurgii owych bohaterskich lat, którą skrył z oczu współczesnych i późniejszych futurystyczny patos i rewolucyjna retoryka Majakowskiego. Oraz — przepotężne *wishfull thinking* samych

czytelników. Odczytana dziś na nowo, literatura ta przynosi świadectwo, jedno z tylu, że zło było u źródła.

Cała ta literatura lat dwudziestych, w najlepszej swej części jest prefiguracją „Doktora Żiwago”, z jego rzetelnością i przenikliwością. I z jego zbłąkaniami.



Teraz możemy odpowiedzieć na pytanie, któregośmy nie zadali w rozdziale 2-gim: kogo reprezentuje Abram Terc?

Bezsprzecznie, nie jest głosem mas: ani mniejszości zadowolonych, ani większości niezadowolonych. Te ostatnie nie znają kultu Rewolucji — wręcz przeciwnie są uporczywymi chwalcami niegdysiejszych czasów, a jeżeli w coś wierzą, to w powołanie świętej Rusi, co pojął i przechwycił w latach wojny Stalin, i co dziś tak bezbłędnie wygrywa Chruszczow.

Wyraża natomiast Terc poglądy i nastroje samodzielnie myślącego — chyba niemałego odłamu młodzieży sowieckiej (i w tym sensie Herling miał rację). Jego widzenie sowieckiej rzeczywistości jest ich widzeniem, jego postawa ich postawą, wyraża ich niewyklarowaną świadomość własnej sytuacji. Ich uwięznięcie w sofistycznych procederach myślowych Doktryny. Ich tabu uczuciowe i cofanie się przed rewizją do gorzkiego końca, do źródeł. Łatwoż to powiedzieć — rewizja do końca, ale jak boleśnie i przepaściście uczciwemu Rosjaninowi zawyrokować, że wszystko było bezużyteczne, na nic się nigdy nie zda, donikąd nie prowadzi — trzeba siebie spalić na popiół, a bez wiary, że jak Feniks powstanie się z popiołów! Ich fatalizm jako wyjście z pułapki. Ich integralne zaangażowanie — jedyni to może w ZSSR ludzie duchowo zaangażowani, we właściwym tego słowa sensie. Ich zatem awersja do zachodniego cerebralnego nihilizmu na zimno, ich ambiwalentny stosunek odwiecznie rosyjski do Zachodu i wszystkiego, co jego jest. Ich potrzeba elementarnej, ludzkiej, niedialektycznej moralności. Ich purytańska rezerwa wobec zachodniego *roman charogne* i zdehumanizowanej abstrakcji, a zarazem ich alergja na styl życia i sztuki sowieckiej i zachłanna potrzeba wolności — nie wolności zachodniej,

mózgowej i samotniczej, wartości w istocie swojej prywatnej, — ale wolności społecznie powszechnej i pozytywnej — dotykanej.

Tyle podobieństw z polskimi rewizjonistami — *ci-devant* „pryszczatymi”.

I dziecinne pocieszenie dla pisarza (program witkiewiczowskiego katastrofizmu): zadaniem jego ma być rewelowanie

„majestatycznego i nieprawdopodobnego sensu naszej epoki — odbywających się na naszych oczach metamorfoz Boga, gigantycznych skurczów jego zwojów mózgowych”.

Stan zawieszenia między rezygnacją z rozpacz i biciem głową o mur wyrywa z duszy krzyk dzikiej i fatalistycznie wschodniej egzasperacji (*izstuplenia*):

„Nasze życie jest piękne nie tylko dlatego, że tego chcemy, ale i dlatego, że powinno być piękne. Bo innego wyjścia nie ma”.

Elementarne uczucie ludzkości każe na to przystać milczeniem.

9.

Zagubiony w swoim światopoglądzie Terc daje za to w opowiadaniach precyzyjną morfologię sowieckiego życia.

Program artystyczny Terca został wykonany w sposób bezwiednie paradoksalny. „Pokładam swe nadzieje... w sztuce, kultywującej groteskę *zamiast* opisu obyczajowego”. Groteska — bezsprzecznie, ale jest ona u Terca skutecznym środkiem *właśnie* do opisu obyczajowego, do „dokumentu życia”. W tym sensie opowiadania Terca spełniają cenną rolę. Bo próżno by szukać zwykłej ludzkiej prawdy o życiu sowieckim w całej jego literaturze od roku 1929, chyba żeby ją odczytywać między wierszami, w podtekstach, podstępnie albo na wywiertkę, jak to sporadycznie czynił Boy.

W opowiadaniach zatem Terca znajdujemy sytuacje, życie obywatelskie i rodzinne, marzenia i strachy, dystrakcje i nudy, mentalność i „socjobiologię” ludzi sowieckich. Zdarto grube warstwy nieprzezroczystego socrealistycznego

lakieru i oto odślania się twarz *des barbares plus vieux et plus usés que nous*.

Wynotujmy tu kilka co udatniej przez Terca uchwyconych rysów.

Jak słusznie Terc zauważył (w swoim szkicu „Co to jest socrealizm”): w wielkiej literaturze XIX w., kobieta rosyjska stała się probierzem życiowej i społecznej niepełnowartościowości Rosjanina, nieprzydatności (*lisznij czetowiek*), frustracji — mówiąc w żargonie socjologów. Nic tu przecież z kobiety fatalnej, Meduzy czy też „*la belle dame sans merci*” rycerskiego Zachodu (cytowana z lubością przez Dostojewskiego „Rękawiczka” Schillera). Wręcz przeciwnie, należy ona do kręgu „ideału Madonny” jest piękna, dobra, czysta. Wyraża się to ładnie nawet w imiennictwie rosyjskim: Wiera, Nadieżda, Lubow. Od Tatiany Puszkiną, poprzez bohaterki turgieniewowskie (Rudin), Gonczarowa, częściowo nawet Dostojewskiego (Sonia Mar-mieladowa, a nawet wbrew pozorom — fatalna Gruszeńska), Tołstoja. Dopiero Czechow pogrążył swoje „Trzy siostry” i czarujące egoistki, na równi z ich partnerami, we wspólnym grzechawisku rosyjskiej rzeczywistości. Ale i u niego są ciągle dobre, piękne i czyste. Nawet fatalna dla poety „Piękna Dama” Błoka — poprzez odległość czasu i przestrzeni podaje rękę Delii XVI-wiecznego petrarkisty z Lyonu, wielkiego poety Maurice’a Sceve’a.

Toutes proportions gardées — jak zordynarniała kobieta u Terca: bezosobowa, nijaka puszczalska Natasza z „Gołoledzi”; urzędniczka w wyliniałym zajęczym futerku — sentymentalna Lidia, trzepana przez wszystkich *sosłuzyców*, („Ty i Ja”); zaharowana do otępienia żona „Grafomana”, megiera z „Lokatorów”, a przede wszystkim Ninoczka, dopiero co uroczą „ptaszyną”, która w strasz-nym sowieckim mieszkaniu ze straszną wspólną kuchnią:

„K tomu wriemieni už była nie takoj. Wołosiki poriedieli, glazki wpali’ a żiwotik — naoborot, wypucziłsja. Ot wnutriennoj zloby. I zad u niejo toże, znajetie, zamiętno zamatieriel. Słowom, po wkušu przisłaś i naczałiś promiežu nimi swidania, szczypki, capcarapki nieżnyje i wsio takoje. Sowsiem wied’ moej sdiełałś”...



◆

Biedy życia powszedniego, powszechny i permanentny niedostatek rzeczy, wikt, kwatery; brzydota, szybkie starzenie się ludzi (*plus usés*), wszystkiego; namiastki, buble — ogólniej mówiąc zdumiewająca teratogeniczna cecha Systemu:

„Rozglądałem się po moim służbowym lokalu (luksusowa cela, w której zamknięto bohatera opowiadania „Gołoledź”), który niedawno wydawał mi się urządzone z takim przepychem, a teraz zmatowieł i zbudniał. Powszędy wylazły szpary, śmiecie, ślady butów, zbieranina z różnych rekwizycji — wata szafeczka z dykty (*tumboczka* — kto cię nie zna z bywalców sowieckich więzień — wstawka moja)... cały ten mikrobrud człeczki egzystencji, który mówi o długoletnim niedostatku”

Marsowy dotąd pułkownik MGB Tarasow

„oklapł, ...postarzał...: stary zmęczony człowiek w zatłuszczonym mundurze, ze strzępiącymi się wylogami podreperowanymi nieumiejętną igłą”

„Gołoledź” to historia sowieckiego półinteligenta, który nagle zaczyna odkrywać w sobie dar jasnowidzenia w czasie i przestrzeni. Zaczyna od prób wróżenia na prywatnej zabawie sylwestrowej, a wobec nieufności współbiesiadników, wymagających natychmiastowego dowodu, przeowiada:

„Dokładnie za minutę na tej ścianie pojawi się pluskwa. Tam, widzicie tę reprodukcję — zdaje się, Giorgione. Pluskwa zakreśli koło i popelźnie w lewo, pod najbliższą ramkę... I rzeczywiście” — i dalej: „Sceptyk-Gruzin odezwał się: — Wielkie mi rzeczy — pluskwa! Przewidzieć pluskwę nie trudno. Drobnie stworzenie. Niech nam lepiej towarzysz wywróży, kiedy na całym świecie nastąpi komunizm?”

„...Gruzin był prowokatorem”.

(...mierzost, tarakany i nado wsiom chaziajski knut)

◆

Skutki oraz kompensacje chronicznego niedostatku: głód posiadania rzeczy, podziw dla *machins* cywilizacji; i na odmiannę: hedonizm sowiecki, „donżuirstwo” (wrażonko Terca), lękliwa troska o *savoir-vivre* („kulturnost’), snobizm i feinschmeckerstwo sowieckie:

„Jaka to laba, bracie — rozmyśla bohater „Gołoledzi” w po-
ciągu — pożywasz się, a tymczasem wożą cię w dal. Patrzysz w
okno i jedziesz... dłubiesz w zębach i ciągle jedziesz. A te miłe
kolejowe cudenka, te spluwaczki, przysrubowane do podłogi”...

W „złotej klatce”, w której zamknięto jasnovidza,
aby przyczyniał się do obrony Ojczyzny:

„Dano mi najlepsze warunki... wyścielane fotele, abażur z
frendzlą. Osobista łazienka... A wikt, jak w najlepszej restauracji!
Obiady bezwarunkowo z trzech dań”...

„Mario Pawłowna, skosztujcie brzoskwinie. Słodkie wina zaz-
wyczaj zagryza się owocami” str. 28 („Sąd Idzie”).



Ple-ple szkolenia ideologicznego, natręctwo propagitu:
Półinteligencka *kulturnost*, popisywanie się nią no-
wej inteligencji sowieckiej (nb. stara była na szczytach wy-
rafinowania, znane to rzeczy):

Skokarzenia werbalnoerudycyjne, glossolalie sowieckiej
retoryki, dogadującej się do absurdu.

„...,Karliński, który udowodnił wszystko, jak 2x2 (kacja-macja,
logia-mogia”)” ... „A obok, ni stąd ni zowąd, ukraińskie kontralto,
przemyte bornym kwasem, opowiadało o osiągnięciach przodującego
tokarza Nalewajki, który ku dniu święta wykonał roczny plan”.

Wspomniany pułkownik MGB, Tarasow:

„A ty się, bracie wysil. Przecież to Macierz — Ojczyzna na
ciebie patrzy. Oczekuje! Ufa! Żywi, odziewa! Bezpłatne nauczanie!
Żłobki, dziecińce! Świetlice, biblioteki! Dla Matki-Ojczyzny, nie
dla kogoś tam! Skoro rozkazuje Matka-Ojczyzna, ojczyzna twoja
mać! Wszystkich by was, ech, samego by siebie — pod łufę!”.

„A pozdrówce ode mnie Clovisa i Leonarda da Vinci” („Go-
łoledź”).

„Poryw namiętności, zew przodków, walka o kobietę, Sigiz-
mund Frejd i Stiefan Cwejg” („Ty i Ja”).

Na spotkaniu w Wenecji, opisanym w powieści St.
Spendera, sowieccy pisarze rozwodzili się szeroko nad zgnił-
kowatością Joyce’a, Kafki, których książek, jak się okazało
z ichże wyznań, nigdy na oczy nie widzieli, zaś pytani o

największych ich zdaniem pisarzy Zachodu odpowiadali — już nie: André Stil, ale: Graham Greene i André Maurois.

Mój pierwszy śledczy: „*Eto wasza achillesowa piata!*”, i nagle zaniepokojony, czy aby chwyciłem efekt erudycyjny: „*Wy znajecie czto takoje achillesowa piata?*”. Inny, przy innej okazji, z profesjonalnym samozadowoleniem erudyty: „*Wy, Biergolc, nastojaszczyj Sawanarola*”.



Potrzeba romantyki, ewazji, urody życia:

„Projekty te (tj. wykrywanie przez jasnowidza dywersantów) nie zanadto mnie nęciły. Nie dlatego, bym sprzyjał dywersantom. Po prostu, za bardzo zakorzeniły się we mnie nałogi inteligenckie... Zawsze uważałem, że w robocie demaskowania przestępców powinien występować element romantyki i sportowego że tak rzeknę współzawodnictwa. W przeciwnym wypadku tropienia i nagonka na ludzi nabierają cech gospodarskiej, że tak rzeknę akcji i tracą cały swój blask i atrakcyjność dla młodzieży”.



Typy: „Babcia rewolucji”:

„Wcale nie jestem przeciw — mówi rozczarowany Serjoża z „Sąd Idzie”. I życie oddam, i wszystko, co tylko babcia chce”.

Babcia: „My w twoim wieku po więzieniach-żeśmy siedzieli. Rewolucję robiliśmy. Być może, więcej złego widzę niż ty. Ale, Sierioża, trzeba wierzyć, koniecznie trzeba wierzyć... Przecież to nasz Cel, przecież jemu oddane całe nasze życie...”.



Pułkownik MGB Tarasow — czyli „o mesjanizmie w dziegciowych butach”, czyli „kompleks wyzwalania”.

W luksusowej, wiadomej już celi, przy sowieckim koniaku, pułkownik za pośrednictwem naszego jasnowidza usiłuje na mapie wywróżyć przyszłość komunizmu („rozwiłkłać sytuację międzynarodową”):

„Z łatwością forsował rzeki, przeprawiał się przez łańcuchy górskie i paznokciem na mapie wytyczał szlaki światowej Historii — na ileś tam dziesięcioleci naprzód. Z początku wszystko szło jak

po masle. Europę-śmy unieszkodliwili. Ale pułkownika ciągnęło, nie wiedzieć czemu, wciąż na południe i na południe... Było to już gdzieś za równikiem, za lat pięćdziesiąt. Pułkownik, licząc na muryńską piątą kolumnę, zamierzył wysadzić desant w Australii...

...— Dokąd? Tam nie można! Dostaniemy w skórę!

Obrzucił mnie łzawym spojrzeniem i wyskrzypiał:

— A z Australią — co?

— Co z Australią?

— To my Australię — psu pod ogon?!

— Ano, wicie, nie wszystko od razu. Kiedyś przy innej koniunkturze... Na wyższym etapie dziejowego rozwoju...

...— Serce, a czy nie można jej przyspieszyć, choćby troszki... Tak długo się ceckać! Wysił się, no, zrób to dla kumpla. Proszę cię po naszymu, jak towarzysz towarzysza, bądź człowiekiem, pomóż Australii...

..— No, dobra — rzekł pułkownik, kiedy się przyznałem, że nie mam wpływu na bieg wypadków — nie chcesz dać Australii, to dawaj Nową Zelandię... Plunąć i już, Holandię-śmy wyzwolili, a Nową Zelandię — psu pod ogon?!

Długą zaiste drogę pątniczą przeszedł rosyjski mesjanizm! Od mistycznego Trzeciego Rzymu i Grodu Kitieża, przez imperialny mesjanizm Dzierżawina, sołdacki — Nikołaja I-go, ludowo fantastyczny N. Gogola, prawosławno-carski Dostojewskiego, bosiacko-bogoiskatielski Gorkiego, stepowo-„muzyczny” Błoka („ze starcia burżuazyjnej cywilizacji i bolszewickiej rewolucji wyłoni się nowa religia plebejskiego Chrystusa” — cytuję z pamięci jeden z jego ostatnich artykułów) — żeby wymienić tylko najbardziej znane etapy z najbardziej znoszonymi epitetami — poprzez czerwonoarmiejski mesjanizm Jabłoczk (,,Grenada, Grenada, Grenada moja”), „Dawaj Warszawę, dawaj Berlin” — tak jest, to nie tylko żądza podbojów i trofeów, to wyrodna postać uczuć iście chrześcijańskich, głęboko nurtujących lud rosyjski — doczołgać się (od „czołg”) aż do mesjanizmu, w uniformie policyjno-czynowniczym pułkownika MGB Tarasowa! Co za upadek!

Poczucie misji historycznej, potrzeba „wyzwalania” nie od dziś szumuje w dziejach rosyjskiego narodu²⁶. Odmienność to z gruntu inklinacja od germańskiej potrzeby dominowania, od *ferocité*, stwierdzonej już przez Tacyta. Dzika, turańsko-zdobycza i bezwzględna dla siebie i dla innych — mimo wszystko, przy innej „koniunkturze dziejowej” zdolna jest, być może, do sublimacji? Nikt w istocie przewidzieć nie może, jak się potoczą dzieje tego wielkiego narodu.

Zatrzymajmy się jeszcze chwilę przy kompleksie wyzwalań: Dostojewski w „Dzienniku Pisarza”, nadziwić się nie może, że wyzwoleni od Turków Serbowie, Bułgarzy itd. odpłacają żołnierzom rosyjskim czarną niewdzięcznością. (Podobnie Puszkina zżymała się na Polaków). Z goryczą przypisywał to plemiennej *wrażdzie* Słowian. My dziś możemy się domyślać, jak wyglądało tamto wyzwalać. Idźmy dalej. Wróćmy do Terca.



Dział w Systemie rozgałęziony i mądrze dyzlokowany system kłapek bezpieczeństwa, od ekonomicznych do logorejowych.

Idąc za Tercem, przypatrzmy się działaniu: wódki oraz obłąkania. Najpierw wódka:

„Zdarza się na przykład tak: przychodzi w gości człowiek starszy, poważny, kto wie, może nawet akademik, wypije kieliszek albo i dwa i ni stąd ni zowąd srebrną zastawę do kieszeni kładzie, albo deklamuje wierszyk o intymnej treści... Stosunek do działalności tego rodzaju jest u nas wyrozumiały. Cóż to — zrobią wymówkę, pośmieją się — ty, Waśka, suczy synu, dlaczego honor munduru na podłodze poniewierasz i swoim pijanym pyskiem rzucasz cię na ojczystą akademię? Ale z tym wszystkim, po ramieniu poklepią, otuchy dadzą i na duchu podtrzymają. Bo to od razu widać, swój chłop, do liceum nie chodził, a pod względem moralnym niewinny jak Jezus Chrystus. Taki wojskowej tajemnicy nie roztrąbi i Ojczyznę w decydującej chwili nie zdradzi”.

Śmiertelna nuda sowieckich popojek. Atmosferę ich podpatrzył na wiele lat naprzód Fiodor Sołogub („Mielkij Bies”). Popojka enkawudzystów w „Sąd Idzie”, sylwestrowego wieczoru w „Gołoledzi”, a szczególnie — kapitalne przyjęcie w „Ty i Ja”:

„Zdając sobie sprawę, że milczeć nie wolno, gdyż twoje milczenie mogłoby być uznane za zgodę, za nielegalny współudział w dywersyjnej akcji, powiedziałeś pewnym głosem: — Niesłusznie! niesłusznie, Wiera Iwanowna (nb. pani domu, która napomknęła, że kaczkę kupiła na targu, bo w sklepach trudno o dobre produkty — wtr. mój) nie doceniacie sprawności naszej sieci handlowej na miejskim i wiejskim sektorze. Kaczki, kury, nawet gęsi, nawet niezwykle rzadko w świecie spotykamy ptak-indyczka, zawsze znajdują się w potrzebnej ilości we wszystkich sklepach. Ile kto zapragnie!

Westchnienie zawodu, a jednocześnie jakby i ulgi przeleciało przez pokój, Graube poczerwieniał i powiedział, całkowicie rozprężony nerwowo:

Sud'ba — indziejka, żyzn — kapijka''.

„Odryknęło się pierwsze toasty, nawiązywaliśmy sobie wszelkich pomyślności z Nowym Rokiem, i naraz wszyscy zmęczeni się, osiwiali i oklapli. Każdy z współbiesiadników zapewne z niecierpliwością czekał na tę chwilę, szykował się do niej... może od miesiąca, a oto ledwieśmy zasiedli za świątecznym stołem okazało się, że nie mamy sobie nic do powiedzenia” („Gołoledź”).

Nie mówi się na tych zebraniach towarzyskich jak i w życiu, np. o polityce, o ile się nie chce być podejrzanym (Gruzin z „Gołoledzi”) o prowokację. Wbrew pozorom zresztą nie ma chyba na świecie społeczeństwa bardziej odpolitycznionego — at, czyta się „Prawdę”, lub z pierwszym przebudzeniem słucha radia, przyjmuje się wstępniak czy komentarz radiowy za artykuł wiary na dzień bieżący, i ma się spokój — sytuacja dla bardzo wielu nie pozbawiona satysfakcji. Reszta jest obowiązującą liturgią. A także — milczeniem.

Obłąkanie:

Spijaczony chudy literat z „Lokatorów” jest już za progiem delirium. Jego poprzednik na „żyłpłoszczadi” skończył w „żółtym domu”.

„Otoczą was zewsząd — mówi do literata skrzat domowy, były „uprawdom” — Mordy, Koczkodany, Upiory („strasznyje Chari, Kikimory, Upyri”) Ogarnie was zgroza. Zaczniecie pić więcej niż kiedykolwiek. Im więcej będziecie pić, tym większa groza, aż wam się w rozumie wszystko pomiesza”.

Nie należy sądzić, że odsetek wariatów w ZSSR dorównuje np. szwedzkiemu. Twardą mają głowę Rosjanie. Tu idzie o inną sprawę: o status „wariackich papierów”. Na to wskazuje już sam styl i ogólny ton „wariatuńcia” w „Gołoledzi”. Pewnie, Terc nawiązał do rosyjskiej tradycji literackiej, do przeróżnych „pamiętników wariatów”, ale pamiętajmy, że Terca inspirował — zawsze, nawet w wyborze tradycji literackich — otaczające go życie, jest to pisarz okolicznościowy, najściślej zaangażowany. Otóż każdy, kto się z tym stykał, wie dobrze, ile względnej wyrozumiałości okazywało nawet NKWD osobnikom, żyjącym na „wariackich papierach”. Nie są to wariaci sensu stricto, kliniczni

— raczej ludzie dziwaczący, „nieregularni”, o nieobliczalnych reakcjach i o myśli — w sposób ostentacyjny — fantastycznie-absurdalnie-chaotycznej („sumbur”) — ta ostatnia cecha jest konieczna, aby nie być posądzonym o krecią robotę. Przestroga to nawiasem mówiąc dla — na przykład — komunistów francuskich, naturalnie, na przyszłość: trzeba najoczywistszą absurdalnością grubo prześcignąć absurdy dochodzenia śledczego. Inaczej wpada się z deszczu pod rynnę. Zresztą, nauka ta poza Rosją nie posłuży. Jest to zjawisko rdzennie rosyjskie: sakralno-szamaniczny respekt dla „jurodiwych”. Jeżeli działało to również — dobroczynnie — w demokracjach ludowych, to na skutek ogólnego importu i mimikry, obowiązujących za Kultu Jednostki.



Najlepsze bezsprzecznie z opowiadań Terca — w istocie doskonałe — to „Ty i Ja”. Monografia strachu i manii prześladowczej w świecie komunistycznym. Prześladowca, który reprezentuje Moc i Majestat potęgi państwowej — i prześladowany obywatel, (w rosyjskim tego ostatniego słowa znaczeniu). Skądinąd — temat „Jeźdźca z Brązu”, „Szynela”, skrzyżowany z konceptem orwellowskiego Oka („wszechwidzącego, wszystkich śledzącego”). Ale — podkreślam raz jeszcze, Terca inspiruje przede wszystkim życie. Jak na bakteriologicznym bulionie wyrasta w sowieckim *univers hallucinatoire* — Strach, wypełniony, jak w koszmarach sennych — bzdurą, śmieciem, odpadkami. Oryginalnością szczególną, a zapewne i filmową tego opowiadania jest niezwykle zaiste pomysł: usidlony we własnej manii prześladowczej, zaszczuty obywatel nieustannie widzi na sobie orwellowskie „wszechśledzące Oko” — oko „księcia Majestatu, Strachu i Drżenia” — żeby użyć zaklęcia taumaturgów kabalistycznych — w istocie jest ono projekcją autora opowiadania, występującego w roli literackiego demiurga i obserwatora. („Już czwartą dobę znajduje się on w zasięgu mojej obserwacji — mówi autor od siebie. — Jestem dla niego jak pyton, który zimnym spojrzeniem odbiega królikowi przytomność”).

Katastroficzny przebieg ich wzajemnego na siebie oddziaływania przedstawiony jest wręcz wstrząsająco.

I tak oto do Nudy i Trywialności („*poszłość*”) przyłącza się Strach — trzy Charyty, które przewodzą korowodom w strasznym świecie Terca.



Czy można, po tym wszystkim, co się przytoczyło, zaprzeczyć, że Terc jest jednostronny? Że nie jest bezstronny, obiektywny? Ani jednej tu normalnej po ludzku sytuacji, ani jednej — wbrew prawdzie życia — miłej, po prostu ludzkiej postaci.

Ale nie wymagajmy obiektywizmu od „literatury szufladowej”, której jedynym dotąd wykładnikiem z ZSSR jest Abram Terc. Późne to i zwyrodniałe potomstwo wielkiej demaskatorskiej (*obliczytelnoy*) literatury rosyjskiej XIX w. Przemawia tu latami *nakipiewszaja złoba*. Gdyby sowieckim pisarzom dać raptem integralną wolność, gdyby — co ważniejsza — wykorzenie w nich odruchy warunkowe Terroru, gdyby zatem uwierzyli, w pełni, od podstaw, że nikt nie notuje biegnących do ogonka przed łufikiem, że wegetacja stu kwiatów nie jest trująca — jakąż falą żółci, ropy, womitów wylałaby się z ust dzisiejszych socrealistów!

Jeżeli Terc nie wzniósł się wysoko ponad satyrę obyczajową, to — pomijając sprawę geniuszu — chyba dlatego, że jest to ponad siłę ludzką: sowiecki Wój, gdy mu się podnosi żelazne powieki, oślepia.

10.

*Que sais — tu? L'ennui.
Que peut — tu? Songer.
Songer pour changer
Chaque jour en nuit.
Que sais — tu? Songer
Pour charger d'ennui.*

(P. Valéry)²⁷

Gogol opowiada, że w młodości leczył się z opresyjnej nudy zmyślaniem fantastycznych i groteskowych historii — i tak powstały „Wieczory na futorze”.

Piramidalnie musiał się nudzić wzorowy wicegubernator Wiatki — Sałtykow-Szczedry, zesłany tam za „liberalne poglądy”.

Songer pour charger d'ennui.

Literatura groteski na ogół powstawała chyba w okresach powszechnej społecznej nudy — trzeba by to jeszcze posprawdzać u historyków.

Fantastyka, deformacja, błazenada, sarkazm, szarża, groteska — „Otoczą was Mordy, Koczkodany, Upiory” — środkami tymi posłużył się Terc z całą świadomością. Mimo to dał nie utwór przynależny do „wielkiej ironicznej kultury” — jak sobie był zamierzył, ale dokument czasu, *roman de mœurs*. A owe trzy Charyty, które się tu wymieniło ze zgrozą, czynią go ciężkim, ordynarnym, płaskim.

„W swoich rysunkach i barwach nigdy nie cofał się przed najbardziej zdawałoby się fantastycznymi i nieprawdopodobnymi pomysłami i egzageracjami, a jednak wszystkim one, wcześniej czy później, znajdowały swoje opłakane uwiarogodnienie, a nawet bywały bezgranicznie dystansowane („*bezkonieczno posramleny*”) przez wynalazczą rzeczywistość rosyjskiego życia” — pisał wiele lat przed rewolucją Arcybaszew o Szczedrynie.

Wymieniając długi szereg swoich ojców literackich — Terc pominął właściwego.



Od niepamiętnych czasów krytycy i ideologowie Systemu wołają o radzieckiego Puszkina, Tołstoja itd.

„Czechowa izuczajtie, Turgeniewa, Tołstowo, Lwa Nikołajewicza” — upomina redaktor z „Grafomanów”.

Po wojnie dodano do tego spisu Sałtykowa Szczedryna. Jako satyryczny bicz na biednego w istocie kozła ofiarnego zarówno u ortodoksów, jak i u odstępców — pocztowego sowieckiego biurokratę. Sowieckiego Puszkina, Tołstoja, Czechowa — jak nie było, tak nie będzie. Ale Sałtykowa?

Chcieliście sowieckiego Sałtykowa? — No, to go macie.

◆

Gdybym był mógł, nie uchybiając wiedzy swojej i
sumieniu, pisać o tym wszystkim inaczej! Gdyby mi było
dane (za Georgem Herbertem):

You must sit down, sayes *Love*, and taste my meat;
So I do sit and eat.

Stefan BERGHOLZ

Montpellier, lipiec-sierpień 1961

PRZYPISY

1. *Je ne pouvais échapper ni à l'espionnage qui se faisait sur une grande échelle autour de moi, ni, si j'étais découvert, échapper à la mort la plus affreuse. Il n'était possible de compter même sur la discrétion des parents les plus proche* — tłumaczy się Prokop w słowie wstępnym do swej kroniki skandalicznej (cyt. wg. wyd. franc. „Anecdota ou Histoire Secrète de Justinien”, F. Didot, Paris, 1856).

W niewiele wcześniejszym dziele „O Architekturze” tenże Prokop deifikuje swoich protektorów; Justynian jest tu miłosiernym ojcem swoich poddanych; gdy architekci nie radzili sobie z kopułą św. Zofii, władca, boską natchniony mądrością, wskazał im rozwiązanie itd. itd. A już „Anecdota” całkiem na serio przypisują Justynianowi ojca diabła, oboje zresztą z Teodorą ciągle obcuja z demonami — istny referat na XX Zjazd onych czasów! *La vérité comprimée se venge par la calomnie* — orzeka w związku z tym wspaniałomyślny Ernest Renan. Sowieciolodzy, studiujcie dzieje Bizancjum.

2. Wypadek nie pierwszy. Nazwę „Anecdota” Cynceron stosuje do pism potajemnych, spisujących działania współczesnych oraz fakty, których ujawnić nie można. Nazwa przetrwała, a dziwną koleją losów, zmieniawszy formę i rozmiary, po tylu stuleciach anegdota znów się utwierdziła w swojej pierwotnej funkcji: prawdziwa literatura Polski lat 1949-55 wypowiadała się nieomal wyłącznie w anegdotach. Kto je zbierze i wyda?

3. Ilustruje to uderzająco „Czarodziejska Góra” T. Manna. We wstępie Mann podkreśla, że jego miły, łagodny bohater Hans Castorp, i jego niemniej sympatyczny kuzyn-oficer są „przeciętnymi” (typowymi) młodzieńcami niemieckimi tych czasów. A w kilka lat później widzieliśmy ich przy robocie! Za to półgrafoman Bronnen, czy utalentowany Ernst von Salamon („Die Geächteten”) potrafili wtedy odsłonić prawdziwe tej młodzieży oblicze.

4. M.in. „Zniszczyć wroga, gdy się nie poddaje” — aforyzm Gorkiego, nieodmiennie cytowany przez każdego śledowatiela, z nieodmiennym wstępem: „A co powiedział najhumanitarniejszy pisarz świata?”... Pisarze, ostrożnie z aforyzmami.

5. Wg. trafnego określenia Raymond Arona (*La société industrielle et la guerre*).

6. Czytelnik już zauważył obfitość tych „gdzieś tu”, „chyba”, „na ogół”, „raczej”, „koniec końców” — dalej będzie ich więcej. Bo jakże inaczej? Podstawowe pojęcia i założenia marksizmu, na przekór ich kategorycznej i zdogmatyzowanej formie, są w istocie wyrazami i zdaniami na wskroś aproksymatywnymi, ich dystynkcje są empiryczne, odpowiadają na określone zamówienia społeczne. Byłoby zatem naiwną pedanterią traktować je z rygorami naukowych definicji.

7. Jest rzeczą nie bez pewnego, nieprzesadnego zresztą znaczenia, że Stalin był wychowankiem prawosławnego seminarium, w kraju, poddanym wpływom Islamu. Z drugiej strony, w dawnych akademiach prawosławnych z admiracją studiowano retorykę i kazuistykę jezuicką, i coś z tej admiracji, może już z drugiej czy dziesiątej ręki, musiało w prawosławiu pozostać. Daleki jestem od imputowania Stalinowi synkretyzmu teologicznego, wręcz przeciwnie. Po prostu, mógł tam poznać zalety techniki fanatycznego myślenia oraz zdobyć jakąś swobodę wyboru wśród różnych metodyk teologicznych.

8. Znowu Jezuici! — nie wiem, czy zwrócono już uwagę na niektóre istotne podobieństwa (czy zbieżności?) między modelem demokracji ludowej, który został najpierw wypróbowany w Mongolii, a organizacją jezuicką i polityką Watykanu w przedrewolucyjnych Chinach. Nie należy przy tym zapominać, że nawet w najkrwawszych okresach Stalin na ogół oszczędzał kolegia anonimowych ekspertów, ludzi o najwyższych kwalifikacjach szczególnie w zakresie polityki międzynarodowej.

9. Memento dla polityków Zachodu, którzy ludzą się, że konieczności i obietnice gospodarcze zmuszą Chruszczowa itd. *Point de reveries*, nic nie zmusi.

10. Dla pamięci pełny tytuł dzieła Leibniza, tak trywialnie ośmieszonego przez Woltera, brzmi *Essais de Théodicée concernant la bonté de Dieu, la liberté de l'homme et l'origine du mal*. Polecam polskim marksistom, w ich kontrowersji z egzystencjalizmem, ażeby trzeźwym okiem odczytali polemikę z Hobbesem i Baylem. Kupa pociech!

Stare pytanie Hioba i Psalmisty, wciąż jeszcze tak aktualne w obozie państw niesocjalistycznych, w ZSSR zostało ostatecznie rozwiązane: cnotliwy jest stokroć nagrodzony już za życia, a niecnota smaży się w piekle, również za życia. Stąd, przez proste odwrócenie: komu się dobrze wiedzie, ten cnotliwy, komu źle — niecnota (albo: jeszcze niedość cnotliwy). Proste to i nieocenione jako wartość polityczno-wychowawcza: w cnotliwych wycelowane są potężne reflektory, i każdy śmiertelnik może się nauczyć, jak się dostępuje szczęśliwego życia.

11. Gigantomania rosyjska zresztą łączy się z ideałem męskości, siły. Podobnie zresztą u Niemców, z tą jednak ważną różnicą,

że to są raczej słabeusze. O tym zresztą pisał uderzająco — już półtora wieku temu — Novalis (Cytuję za T. Mannem „Nietzsches Philosophie“): *Das Ideal der Sittlichkeit hat keinen gefährlichsten Nebebühler als das Ideal der höchsten Stärke, des kräftigsten Lebens* (antycypacja faszystowskiego „życia niebezpiecznego”, jak zauważa Mann)... *Es ist das Maximum des Barbaren und hat leider in diesen Zeiten verwildender Kultur gerade unter den grössten Schwächlingen sehr viele Anhänger erhalten... Der Mensch wird durch dieses Ideal zum Tier-Geiste, eine Vermischung, deren brutaler Witz eben eine brutale Anziehungskraft für Schwächlinge hat.*

Jakby to dzisiaj było napisane!

12. Bielinskij np. podobno nie czytał Hegla, nie znał niemieckiego.

13. „Sprzeczności historyczne natury ludzkiej” u Dostojewskiego.

14. Skoro już o nim mowa, można by się zastanowić, czy samotnik z Sils Maria nie był Janem Chrzcicielem nie tyle nikczemnego nazizmu, ile wspaniałego Systemu? Nazwał bowiem i egzaltował Wolę Mocy biejącego ducha czasu, który to Duch, mówiąc błazeńsko, jest dziecięciem Czasów Pogardy. Rzecz inna, że Nietzsche przekreśliłby się w grobie. Ale taki jest los prekursorów, że ciągle przekraczają się w swoich grobach.

15. Kuszące dla socjologa i historyka myśli dzieło: „Krytyka idej kursujących w połowie XX w.”. Cóż, kiedy żaden szanujący się intelektualista nie zaprzętnie sobie dzisiaj głowy nikim poniżej Sartre’a. Pewien inteligentny i naiwny krytyk utrzymywał, że dziko zjeżdżani przez niego autorzy powinni się czuć zaszczytzeni: przecież on, krytyk najwyższej rangi, nie zniży się do autora drugorzędnego. O tyle to śmieszniejsze, że, na dobrą sprawę, krytyk rozsądny powinienby raczej powstrzymać się od pisania o wielkich pisarzach. Wszystko, co wymyśli, okaże się jalone i płaskie w zestawieniu z omawianymi tekstami, jak to zresztą hojnie demonstruje praktyka. I odwrotnie, pisarz drugo — i trzeciorzędny *byle nie konwencjonalny*, na ogół zapładnia umysł krytyka, bywa często odskocznią do urozmaiconych refleksji, bystrych zestawień, odkrywczych konfrontacji z doświadczeniem, daje też lepszy wgląd za kulisy twórczości artystycznej. I bywa postrzegany z beznamietnością, która koniec końców sprzyja słusznym sądom.

16. Znalazła tu również zastosowanie komunistyczna zasada dwóch miar w sądach wartościujących: np. więzienia kapitalistyczne — gwałtem i katogą, lagry sowieckie zakładami wychowawczymi; francuska „ma’a” bomba atomowa — aktem ludobójstwa, hekto-megatonowa sowiecka — dla paryskiej „Ludzkości” (*Humanité*) — bombą pokoju itd. itd. Z doświadczeń wewnętrznych własnej młodości wiem dobrze, że szczyry komunistą, a przynajmniej neofita, nie jest w ogóle w stanie dostrzec w tym jakiegokolwiek dwoistości! Sprawa to ważna. Wszelka bowiem inicjacja komunistyczna zaczyna się od intuicyjnego i pełnego przyjęcia *implicite* tej postawy. Odbywa się to zresztą bez trudności wewnętrznych — rzecz na

pozór tylko dziwna. Jakiś ciężki, oniryczny (*Dämmerungszustand*) akcent, który temu towarzyszy, wskazywałby — i on także — że mamy do czynienia z siłami pochodzenia archaicznego. I w istocie, to nic innego, jak postawa moralności trybalnej, którą XIX-wieczni liberałowie z rozrzewniającą dziś wyrozumiałością nazywali „moralnością hotentocką”.

17. Wybitny pisarz rewolucyjny, przyjaciel Majakowskiego i bardziej jeszcze wybitny bohater wojny domowej Furmanow opisyje, jak poskromił bunt Kozaków w Wiernym (dzisiejsza Alma Ata): Słowem honoru komunisty gwarantował im bezpieczeństwo i pardon. A kiedy złożyli broń — rozwalono ich, po prostu. Tego wymagał honor komunisty, tłumaczy sympatyczny skądinąd Furmanow.

Spróbujmy tę postawę zracjonalizować. Przyjęło się do wiary: że marksizm jest jedyną bezbłędną, naukową metodą przewidywania i kształtowania przyszłości,

że bieg Historii zdąża ku lepszemu, tj. ku dobru materialnemu i moralnemu,

że jedyną i bezbłędną inkarnacją marksizmu jest Partia i jej (kolegialne lub nie, wybrane sposobami demokratycznego centralizmu, czy demokracji partyjnej) Kierownictwo —

ergo, wszystko, co Bezbłędne Kierownictwo zadekretuje w danej chwili jako dobro, jest dobrem bezwzględny, jako zło — złem również bezwzględny.

Im łuczsze widno, tłumaczył pewien bywalec polskich więzień w okresie wielkich procesów.

18. W dzienniku swoim pisze Błok: „Spoglądaliśmy na was przychylnymi... oczyma, póki mieliście twarz. A na mordę waszą popatrzymy naszym chytrym wzrokiem z ukosa... Staniemy się Azjatami, i zaleje was Wschód.

...My — barbarzyńcy? Ano i dobrze, pokażemy wam, co to jest barbarzyńca. A okrutna odpowiedź nasza będzie jedyną, godną człowieka... Obrócimy ku wam naszą azjatycką głowę.

...Zaś ewolucja, postęp, *uczredilka* — stara sztuczka. Jad wasz pojęliśmy lepiej od was”. Zapis z dn. 11.1.1918.

Rzecz jasna, Błok nie wyrażał poglądów i postawy Partii. Ale — wielki poeta — przechwytuje jakieś podziemne nurty.

19. Nietzsche wyznaczał Europie rolę Grecji między dwiema przyszłymi potęgami: rosyjską i anglosaską. Wcześniej pisał o tym samym Heine, bardziej zresztą sceptycznie co do losów Europy.

20. Wydaje się, że prof. Lednicki może nie docenił promieniowania mistycyzmu prawosławia, zarówno ortodoksji, jak i licznych jego teozoficznych sekt i herezji. Mistyka wysoce nie atrakcyjna dla każdego rzymsko-katolickiego (nawet z formacji tyłko) Polaka: *tut ruskij duch, tut Rusju pachniet*.

21. No tak — muzyka sowiecka. Ale bez szukania dziury w całym, można stwierdzić, że muzyka przez swój język nierozumowy

nie może zaszkodzić Doktrynie, i tylko skrajni pryncypialiści komentują ją w równoważnikach żargonu politycznego. Nakładane na nią cugle i wędzidła tłumaczą się ogólnym postulatem dostępności (melodyjność) i ogólnym stylem smaku sowieckiego. W ogóle zaś muzyka romantyczna, a taką jest muzyka rosyjska, swoimi inkantacjami budzi i uskrzydla impulsy chthoniczne i dlatego zapewne bywa w łaskach u dyktatorów. Lenin uwielbiał Apasjonatę.

22. W tym kryje się najpoważniejsze dla Partii ryzyko, już raz z ledwością zażegnane (Żukow): wszystko bowiem pcha armię ku hegemonii. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, w jakim stopniu wodzowie armii są wierni Partii, jakie są ich konflikty, jaka jest siła i artykulacja kontroli, sprawowanej przez Partię. W obecnym stanie rzeczy, armia mogłaby zapewne z nocy na dzień stać się panem sytuacji — w ZSSR nie wymaga to przygotowań, rozbiegu. Wolno chyba zaryzykować taką na przykład hipotezę: wypadki, armia, dynamika wzrostu jej potęgi — pchają Chruszczowa do skrajnej wojny — zaś w chwili najostateczniejszej, generałowie — przeciw Partii lub biorąc ją w rzyzy uratują wdzięczny kraj i świat od zagłady. Kto jak kto, ale mądry generał w obecnej sytuacji nie zdecyduje się na wojnę — zaś w ZSSR drogą naturalnego doboru na górę pozostali wyłącznie mądrzy (czego o innych krajach powiedzieć się nie da). Czy Zachód wytrwa do owej przedostatniej chwili? — to najbardziej wątpliwe w tej wielce lekkomyślnej hipotezie.

23. Terc nawołuje do „sztuki umownych form, wymysłu, fantazji” — czyżby zapomniał, że Majakowski, którego stawia za wzór najwyższy i drogowskaz, zwalczał „wymysł”, „umowne formy”, a propagował wyłącznie faktografię?

24. Klasycyzm sowiecki: według Brunetière’a klasycyzuje „każda epoka, która osiągnęła postęp moralny, polityczny, intelektualny i wierzy, że jej styl życia jest bardziej ludzki, uniwersalny, naturalniejszy i mądrzejszy niż poprzednie” (cytuje wg. Griersona) zaś Goethe: *Klassisch ist das Gesunde, romantisch — das Kranke*. Jakż inny styl miałby zadekretować System?

25. Wielbiony przez Terca Majakowski zadaje mu cios w plecy. W przemówieniu na zebraniu Refu w 1929 r. (pół roku przed samobójstwem): „wszystkie dysputy nasze z wrogami i przyjaciółmi na temat, co jest ważniejsze: „jak robić?”, czy „co robić” — likwidujemy teraz naszym podstawowym hasłem literackim”: „w jakim celu robić”. Ustanowiliśmy prymat celu nad treścią i nad formą. Traktujemy sztukę jako oręż w walce klas... Powinniśmy w swojej pracy literackiej przede wszystkim jasno uprzytomnić sobie wspólny nasz cel i stojące konkretnie przed nami bojowe zadania budownictwa socjalistycznego” (cytat z „Istoria Russkoj Sowietsoj Litieratury”).

26. Mesjanizmowi rosyjskiemu przyświadcza — jedni ze zgrozą, inni z aplauzem, liczni myśliciele Zachodu. Jak sędzę, dopiero od czasów, gdy powiało na dobre zimnem hiperborejskim,

gdy na ulicach Paryża pokazali się kozacy generała Płatonowa. Niemcewicz załamywał ręce patrząc na frywolne tłumy w Rzymie, Paryżu, Londynie, nieświadome, że już-już zaleje ich nawała Kałmuków. Heine życzył późnym wnukom, by rodzili się z grubą skórą na tyłku. Aż po histeryczny krzyk Leona Bloy: „J'attends les Cosaques et le Saint Esprit”. Najzabawniej i z francuska bulwarowo widział to w latach osiemdziesiątych ub. st. Peladan (powieść „A coeur perdu”) Przytoczę dla dystrykcji:

Voilà les Slaves en scène... L'oeuvre politico économique de l'Occident reste russe. Cependant cet aigle pour deux têtes n'a qu'une seule couronne; il recevra l'autre au double gironnement romain et latin. Tout l'avenir de la civilisation est suspendu au lèvres de la femme slave. Aura — t-elle le baiser intelligent. Wyobraźmy sobie paroksyzm wściekłości Dostojewskiego, gdyby to był przeczął.

Dostojewski przewidział główne plagi komunizmu, ale zlokalizowane na Zachodzie. Heine widział ze smutną ironią groźbę knuta rosyjskiego. Ale nikomu chyba nie przyszło na myśl, że obydwa te nieszczęścia skojarzą się.



Czytam w Dzienniku Priszwina — pisarza tak wyjątkowo i szlachetnie łagodnego — zapis z 1948 r.: polemizując z jakimś Anciferowem, który zarzuca Turgeniewowi jego *priekłonienie* przed Szekspirem bo „*moł rodina bolsze Szekspira*”, autor „*Korzenia Życia*” pisze:

„Trzeba powiedzieć Anciferowi, że Turgeniew wielbiąc Szekspira, tym samym przyłączał go do ojczyzny. W tymże sensie i nasz kult Europy był jej przyswojeniem i zawojowaniem („*uswojeniem i zawojowaniem*”). W obronie Europy można powiedzieć, że jest już ona dawno nasza” (Priszwin, *Sobranije soczynienij*, t. V, str. 452).

Więc nawet najlepsi muszą się uciekać do takiej argumentacji, by bronić wartości ogólnoludzkiej przed dzikoludami, spadkobiercami zadawnionego dylematu rosyjskiej estetyki: „co ważniejsze — Madona Rafaela czy para butów?”. Naturalnego, niestety, w kraju bosych.

27. Zacytowałem Pawła Valéry przewrotnie w tym celu, aby poddać czytelnikowi aluzyjnie przepaściste różnice atmosfery duchowej Rosji a Francji. Podobnie w kilku innych wypadkach cytaty poza swą bezpośrednią treścią spełniają funkcję rozszerzającą, dystynkcyjną, bądź kontrastującą.

Przedmówca jest zażenowany, że potraktował Terca jako trampolinę do rozważań szerszych, a niekiedy dla autora marginesowych. Na usprawiedliwienie powoła się na to, że twórczość Terca, już świetna, nie osiągnęła jeszcze tego stopnia krystalizacji pisarskiej i stężenia talentu, kiedy dzieło narzuca się *an und für sich* i satelizuje, że tak powiem, zagadnienia i sprawy, zamiast być przedmiotem ich demonstracji: różnica jest taka, jak między procesem leczenia pacjenta a pokazową wiwisekcją w anatomicznym teatrze. Demonstrator w tym wypadku — co stwierdza ze szczerą skruchą, wciąga się w proceder nietaktowny, wręcz nieprzyzwoity, a nawet niemoralny, jako że traktuje żywą osobę (autora) jako środek, a nie jako cel sam w sobie.

GRAFOMANI

(Z opowiadań o moim życiu)

...W drodze do wydawnictwa spotkałem poetę Gałkina. Zamieniliśmy powściągliwe ukłony i już chciałem go wyminąć, ale dogonił mnie i zaproponował zjeść lody i wypić butelkę żurawinowego kwasu na jego rachunek.

Było gorąco i duszno. Puszkiniowski bulwar usychał. W powietrzu czuło się oddechy zbliżającej się burzy. To mi się spodobało. Trzeba utrwalić w pamięci, wykorzystać. „W powietrzu czuło się oddech zbliżającej się burzy”. O, właśnie tym zdaniem zakończę powieść „W poszukiwaniu radości”. Trzeba to koniecznie wstawić, chociażby już przy składaniu. Zbliżająca się burza ożywia krajobraz i dźwięczy do wtóru wydarzeń: lekka aluzja do rewolucji, do miłości mojego Wadima do Tadiany Kreczet...

Gałkin miał jedną słabość: gotów był czytać swoje utwory każdemu, nawet konduktorowi w autobusie. Tak się też i stało. Podczas gdy jadłem owocowe lody i chłodziłem się kwasem, zważył się na mnie jakimś tuzinem wierszy. Były w nich „włochate nogi”, „pilastry” i „chryzantemy”. Nic więcej w pamięci nie zostało: zwykły galimatias.

Nie lubię wierszy. Niedobrze wpływają na mój umysł, skierowując jego działanie w niepotrzebnym kierunku. Zaczyna się myśleć do rymu, mówić do rymu, a to szalenie przeszkadza, zwłaszcza w tworzeniu prozy. Wysiłałem się, żeby nie słuchać Gałkina, i, odcinając się od poezji, zacząłem przypatrywać się autorowi; obserwacja ludzkiej powierzchowności zawsze może się przydać.

Przedemną kiwał się na krześle typowy okaz pechowca. Z poczerwiałego kołnierza sterczała nieogolona szyja. Grube wargi i spłaszczony nos sprawiały, że było w nim coś z owcy. Czytał w nienaturalny sposób, rozciągając słowa, jakby je śpiewał, i wywracając w zachwycie białka oczu. Wpadł w rodzaj transu: twarz przestała pocić się, zapadła się w sobie, nabrała srebrzystego, metalicznego odbłasku.

Bałem się, że osoby, znajdujące się w kawiarni, zaczną zwracać na nas uwagę, i kaszlnąłem uprzedzająco. Gałkin nie zauważył i nie przestawał deklamować. Nagle potknął się w samym środku wiersza i cały posunął się do przodu, mlaskając pustymi ustami, chwytając słowo, które wyleciało z pamięci. Podobnie łapią powietrze tonący, zanim pójdą na dno. Zamiast dalszego ciągu, wyrwał się z niego jęk, wezbrany bólem i namiętnością: M-m-m-y-y! Nie potrafił zahamować głosu i znowu zameczał w zasmuceniu: M-m-m-m-y-y-y!

Na tym wszystko skończyło się... Po chwili Gałkin mówił z umyślną niedbałością:

— Jak ci się podobało, staruszkule? Jak ci się podoba moja grafomania?

Uśmiechał się sceptycznie. Ale widziałem, ale już zauważyłem: jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała, skronie gwałtownie pulsowały. Wystąpiły na nich świeże krople potu — dowód znużenia.

Roześmiałem się — ten spokojny śmiech trwał akurat tyle, ile było potrzeba — i powiedziałem:

— Wiesz, Siemion, że to bardzo dziwne — powiedziałem. — Bardzo, bardzo dziwne. Dlaczego swoje prace — z rozmysłem powiedziałem „prace” — uważasz za grafomanię?

— A tak! Uważam! Uważam, do stu diabłów!

— I zgadzasz się, żeby wszyscy, bez wyjątku nazywali ciebie grafomanem? Prosto w oczy: grafoman Gałkin! Jak się masz, grafomane, Siemionie Gałkin! Za nic nie uwierzę.

— Zupełnie niepotrzebnie! — wrzasnął, ucieszony, nie wiadomo dlaczego. Radośnie zerwał się i przytupywał na miejscu, tańcząc w podnieceniu.

— Zupełnie niepotrzebnie! Niepotrzebnie! Bo nie ma żadnej różnicy. Tak! Nie spieraj się, wiem lepiej! Grafo-

mania! Choroba — powiadają psychiatrzy. Nieuleczalny, szkodliwy pociąg do fabrykowania wierszy, sztuk teatralnych, powieści — na przekór całemu światu. Powiedz z łaski swojej, kto z genialnych, utalentowanych ludzi nie zaznał tej szlachetnej dolegliwości? Zwróć uwagę: każdy grafoman, najmniejszy nawet, najbardziej parszywe grafomaniszcze, w głębi swego serduszka jest przekonany o swej genialności. A kto ma pewność, kto może z góry powiedzieć? Przecież wszystkie Szekspiry i Puszkiny także były grafomanami, genialnymi grafomanami... Po prostu udało się im. A gdyby się nie udało, gdyby ich nie drukowali, to co?

Przysłuchiwałem się tym słownym wykrętasom Gałkina z niepojętym podnieceniem. Było w nich coś, co mnie przyciągało i jednocześnie odpychało. Nie mogłem zorientować się, — żartuje, jak zwykle, czy też rozprawia na serio.

Ale Gałkin już stracił cały zapal. Usiadł za stolikiem i zabrał się do lodów. W międzyczasie lody roztopiły się i zamieniły w śmietanę. Gałkin wyskrobywał, wylizywał rozmiękły kubeczek z tektury i pogadywał, nie przerywając jedzenia:

— Mimikra, Pawle Iwanowiczu. Sposób na samoobronę. Nie pcham się między geniuszy. Ale już mi obrzydło. Rozumiesz — obrzydło! Z wszystkich stron słyszysz jedno i to samo: grafomania, grafomania. Jednym słowem — beztalencie. A ja im odpowiadam, naturalnie, nie na głos, tylko sam do siebie, w tajnikach mej duszy mówię: — Idźcie wy wszyscy do stu diabłów! Istnieją, na przykład, pijacy, rozpustnicy, sadyści, morfiniści. A ja, ja jestem grafoman! Jak Puszkina, jak Lew Tołstoj! Więc zostawcie mnie w spokoju! Chcesz, staruszkule, przeczytam ci coś romantycznego... Z drugiego tomu wierszy. Znasz mój drugi tom?

Doskonale wiedziałem, że w całym swoim życiu Gałkin nie wydał żadnej książki — ani pierwszej, ani drugiej. Jakies przekłady, owszem, były, a także jakiś wierszyk rocznicowy w prowincjonalnym dzienniku, ale nic więcej. Znałem zwyczaj Gałkina — wyobrażać sobie, że jest prawdziwym pisarzem, posiadającym swoją własną literacką historię i chronologię. Druga książka, piąta książka — na każdy etap rozwojowy. Pyszałkowate kłamstwa grafomana.

Ale w owej chwili nie miałem chęci przywoływać go do porządku. Wyglądał tak nieszczęśliwie. Z litości byłem gotów wysłuchiwać ponownie jego wierszydła. Spieszyłem się jednak do wydawnictwa, więc odpowiedziałem mu łagodnie:

Umówmy się, Sioma, innym razem będziesz czytać. Na mnie czas. Oczekują mnie w wydawnictwie.

Nie afiszując się zbyt, opowiedziałem mu po krótko jak wyglądają moje sprawy, zapowiadające się bardzo po-myślnie.

Na Gałkinie ta nowina nie zrobiła wrażenia. Albo też z zadróżki udawał, że nie zrobiła.

— Ech! — powiedział, ziewając i przeciągając się w nieprzyzwoity sposób. — Od dwudziestu lat obiecują wydrukować i ani jednej książki nie wydali...

I znowu wlaźł na ulubionego konika.

— W nadzwyczajnym kraju żyjemy. Wszyscy piszą, nawet sztubacy i emeryci. Niedawno poznałem jednego młodzieńca. Morda — o, taka! Pięści — takie! Mówię mu: „Kochany towarzyszu, czy nie lepiej byłoby poświęcić się boksowi? Forsy jak lodu, sława, wielbicielki...” a on swoje: „Nie — powiada — ja mam — powiada — inne powołanie. Urodziłem się dla poezji”. Rozumiesz — urodził się! Wszyscy urodzili się! Powszechne zamiłowanie do wytwornego piśmiennictwa. A czy ty wiesz, komu to zawdzięczamy? Cenzurze! Tak, to ona, matka rodzona, wszystkich nas przyhołubiła. Zagranicą wszystko proste, bezli-tosne. Ogłosi jakiś tam lord książkę wierszy bez rytmu i rymu, i od razu widać — koprowina! Nikt nie czyta, nikt nie kupuje, więc przerzuca się nasz lord na pożyteczne jakie zajęcie — energetykę, albo stomatologię... A my żyjemy przez całe życie w przyjemnej nieświadomości, pieścimy się nadzieją... To pięknie! Niech to wszyscy diabli, samo państwo daje ci prawo — bezcenne prawo! — abyś uważał siebie za nieuznanego geniusza. Możesz tak całe życie, całe życie...

Podniosłem się.

— Zaczekaj! Zaczekaj! Jeszcze chwileczkę! Rozmawialiśmy tu ze sobą, spoglądali jeden na drugiego, a każdy myślał cały czas o jednym i tym samym. Każdy myślał: ty jesteś grafomanem, a ja — geniuszem. Ja jestem geniusz, a ty grafoman.

— Bardzo cię proszę, grafomanem mnie nie nazywaj — odpowiedziałem ostro. — Siebie możesz uważać za kogo chcesz, a mnie nie ruszaj!

— No, jakże by, no, naturalnie...

Ramiona Gałkina trzęsły się w bezgłośnym, histerycznym śmiechu.

Rozstaliśmy się dość cierpko, nie zamieniając uścisku dłoni, tak samo. jak przy powitaniu.



Młodziutka sekretarka uniosła w górę wypieszczoną brew.

— Straustin? Paweł Iwanowicz? — upewniła się, jak gdyby po raz pierwszy usłyszała moje nazwisko, i zaczęła przewracać w szufladzie.

Drzwi do gabinetu redaktora, obite sztuczną skórą, były ledwie uchylone. Wykastrowany redaktorski tenor, jakże dobrze mi znany, dobiegał z gabinetu, mieszając się z nudnym terkotem maszynistek.

...Z punktu widzenia kompozycji. Jeszcze mocniej niedomagacie z punktu widzenia języka. Słońce pociło się w chmurach! Czy to się zdarza? Czy słońce może pocić się? I do tego w chmurach? Proszę czytać Czechowa. Z punktu widzenia tematycznego — dlaczego ta wasza Nastka wychodzi za mąż za Pticyna? I dlaczego zginął porucznik, ten, no jakże się nazywał...?

Drugi głos zrzędził, oponując bez większego przekonania:

— Podporucznik Grebeń. Pod Wiaźmą. Tak właśnie stało się w rzeczywistości. Czysta prawda. Zginął ugodzony w brzuch. Nazwisko trochę zmieniłem. Szpilkin — nazywał się. Nastka także była. Istniała taka Nastka. Zinka miała na imię. Całżyciowe doświadczenie zgromadziłem. Sześćdziesiąt osiem lat. Emerytowany pułkownik. Trzy wojny, cztery rany, dwie kontuzje w głowę. Olbrzymi materiał. Ma przepaść niewykorzystany, czy jak?! Pożytek może przynieść w wolnych chwilach. Kompozycję można poprawić. Styl przerobić. Słusznieście to zauważyli. Co do słońca, zgadzam się wykreślić.

Jako człowiek obyty w wydawniczych sprawach, zrobiłem oko do sekretarki.

— Co to, Zinoczka? Jeszcze jeden grafoman? Biedny Sebastian Sebastianowicz! Pułkownicy, emerytowani kawalerzyści zabrali się do literatury...

Ale sekretarka nie raczyła nawet spojrzeć, nie chciała zrozumieć sytuacji, ani uśmiechnąć się w odpowiedzi na mój przyjacielski żarcik. Zinoczka zatrzasnęła drzwi, obite sztuczną skórą, i, pakując papiery do szuflady, oświadczyła oficjalnym tonem, że powieść „W poszukiwaniu radości” już nie jest w posiadaniu redakcji. Rzekomo została odrzucona przez wydawnictwo i przed tygodniem odesłana pod moim adresem, razem z krytyczną opinią. Świadczył o tym podpis w książce redakcyjnego gońca, w rubryce doręczonej korespondencji.

— Proszę popatrzeć. Poznajecie charakter pisma? To wasze nazwisko?

Poznałem pismo, gorycz rozczarowania i czarną żmiję przeniewierstwa, wpisaną zielonym atramentem w odpowiednią rubrykę. „Z. Straustina”. Zenaida! Moja żona! Ale w tej chwili nie mogłem się nią zajmować. Ważniejsze było natychmiast dać odczuć tej właśnie Zinoczce — lalkowatej sekretarce — gdzie jest jej właściwe miejsce w życiu, i wykazać swoją godność wewnętrzną.

Dziewczynina, którą mógł mieć byle korektor, a w dziennych godzinach redaktor, przyzwyczajony do poklepywania jej po plecach, ośmiela się mnie uczyć! Klepać po plecach... Jako ktoś oddany bez reszty wzniosłej sprawie sztuki, znajdowałem się całkowicie poza sferą tak pozioomych zainteresowań. Ale gdyby mi się udało wydrukować „W poszukiwaniu radości”, mógłbym poklepywać ją, ile wlezie, i nie tylko nie protestowałaby, ale czuła się zaszczycona. Tego bym jednak nie uczynił, lecz wymyśliłbym coś zupełnie innego. Na początek zaprosiłbym ją do Artystycznego Teatru, a następnie, w nieposzlakowanym, jasnoszarym garniturze, otoczony zgrają szastających się lokajów, rozkrochmaliłbym ją aż do utraty świadomości gruzińskim, wytrawnym winem. Potem, rozkrochmaloną, prowadzę ją pod rękę do hotelu, w którym dla wybitnego pisarza jest do dyspozycji, dniem i nocą, luksusowy apartament i tam, pod baldachimem, rozrabiam z nią najbardziej upokorzające procedury, jakie tylko można sobie wyobrazić. Nie dlatego, aby mi to było bardzo potrzebne, lecz dla wymiaru sprawiedliwości. Dopiero wtedy zrozumie,

z kim ma do czynienia. Wówczas nie będzie więcej znie-
ważać człowieka, który przewyższa ją jak olbrzym pigmeja,
a tylko na razie nie ma możliwości wykazać się swoją wyż-
szością...

Niespodziewanie rozwarły się drzwi, obite sztuczną
skórą. Wyleciał z nich emerytowany pułkownik. Miał siwego
jeża na brązowej czaszce i niepomierne rozwiniętą klatkę
piersiową. Wisiały na nim rozliczne odznaczenia: order
Bojowego Czerwonego Sztandaru, order Sławy i wiele
innych. Gdybyś spotkał takiego na ulicy, ani by ci przyszło
do głowy, że w wolnych chwilach uczy się sztuki powieścio-
pisarskiej. Teraz był spocony i sapał jak pancerny pociąg,
a z tyłu gonił go wykastrowany redaktorski tenorek:

— Czechowa studiujcie! Turgieniewa! Lwa Mikołaje-
wicza Tołstoja!

To była odpowiednia chwila.

Wylazłem z fotela i, gładząc pospiesznie włosy na kar-
ku, zacząłem skradać się ku wolnej luce, utworzonej przez
biegnącego pułkownika. Jeszcze jakieś pięć kroków, jeszcze
trochę zimnej decyzji, a dostałbym do rąk redaktora, sie-
dzącego w ukryciu. Już miałem przygotowane pierwsze
zdanie w humorystycznym stylu. W takich wypadkach naj-
ważniejsze nie okazywać bojaźliwości, zachowywać się swo-
bodnie, z godnością, z pewną przyjacielską poufałością...

Widocznie jednak ów dzień urodził się pod fatalną
gwiazdą. Cerber, śledzący moje ruchy, przeciął mi drogę.
Zanim zdążyłem dotrzeć do drzwi, obitych sztuczną skórą,
już znalazły się w posiadaniu Zinoczki. Postawne ciało
młodej sekretarki, aż proszące się by je pohańbić, stanęło
mi na przeszkodzie.

— Proszę puścić! — zawołałem w tej nadziei, że
usłyszysz mnie redaktor. — Powieści „W poszukiwaniu ra-
dości” nikt nie byłby w stanie odrzucić. Nikt mi nie zwracał
rękopisu. To nieporozumienie, śmieszne nieporozumie-
nie...

Nie ulega wątpliwości, że w końcu byłbym pokonał
głupią dziwkę. I potrzeba było, aby właśnie w tej chwili
do wydawnictwa wtoczył się we własnej osobie pisarz B.

Zaczynaliśmy razem w tej samej literackiej grupie. Jego
bełkot pobudzał wszystkich do śmiechu. Pisał gorzej niż
ktokolwiek, gorzej niż Gałkin. I proszę: po dwudziestu
latach grafoman B — stał się sławą, chociaż przez ten czas

wypisał się całkowicie, a ja nie wiedziałem do kogo go porównać, by wyrazić całe jego beztalencie.

Miał na sobie świetny, jasnopopielaty garnitur, łaskę z rękawicą z kości słoniowej i jego szeroki nażarty pysk, z wypukłym czołem i tłustymi policzkami, promieniał orzeźwiającym spokojem w rozgrzaną atmosferę. Ale ja wiedziałem co to za ptaszek, i nie mogłem obojętnie znieść jego obecności, która wypychała mnie z pokoju, podobnie jak światło słońca usuwa gwiazdy z nieba... Poczułem, że znikam, razem z moimi pomiętymi spodniami, że rozpuszczam się w przepoconych skarpetkach, topnieję w wyblakłym uśmiechu, który wbrew świadomemu zamierzeniu wylał na słone wargi.

Jeszcze trochę i — kto wie — B zacząłby pobłaźliwie wypytwać mnie o żonę i dzieci i, pomny na starą znajomość, zaproponowałby 50 rubli pożyczki. Aby nie upaść ostatecznie w jego oczach, wyczekujących cierpliwie, aż pierwszy zwrócę się, by go pozdrowić, wypadło wycofać się. Powiedziałem dyplomatycznie, jakbym sobie nagle coś przypomniał:

— Takie to sprawy — powiedziałem. — Zinoczka, powiedzcie waszemu szefowi, że nie mam czasu. Nie mam teraz czasu na rozmowę.

Sekretarka całym ciałem skierowała się ku pisarzowi B, kiwając do niego każdym kręconym loczkiem. Nie patrząc w tę stronę, nie odwracałem głowy...

Już na schodach usłyszałem podejrzany śmiech. Zinoczka tak wesoło popiskiwała, jakby ją kto łaskotał. Wtórowało jej lwie porykiwanie pewnego swego powodzenia grafomana. Wkrótce przyłączył się do nich trzeci głos. To zapewne redaktor wylał ze swojej fortecy i, poklepując Zinoczkę po plecach, zgiętych w napadzie śmiechu, wydawał ze siebie słabe dźwięki.

Zacisnąłem zęby na lewym przegubie, mszcząc się za zadawane mi upokorzenia. Ślady zębów wystąpiły na niebieskiej skórze jaskrawo, jak białe paciorki naszyjnika. W paru miejscach pokazała się krew.

Ostry ból przyniósł mi natychmiastową ulgę. Pomyślałem z westchnieniem, że kiedyś napiszę książkę, w której wyprowadzę całą trójkę w satyrycznym oświeceniu. Dopiero wtedy zrozumieją, z kim mieli do czynienia, ale już będzie za późno.

◆

Klasycy w XIX stuleciu, ci to żyli dobrze! Mieszkali w zacisznych dworach, mieli stałe dochody i w przerwach między balami i pojedynkami, siedząc na oszklonych werandach, pisali swoje powieści, które im natychmiast wydawano we wszystkich zakątkach świata. Od urodzenia znali obce języki, w liceum uczono ich różnych literackich chwytów i stylów, podróżowali zagranicą, gdzie uzupełniali swoje mózgownice świeżym materiałem, zaś dzieci, dzieci oddawali pod opiekę guwernantek i posyłali swoje żony na naukę tańca, albo do krawcowej, albo trzymali na wsi, tak, trzymali na wsi.

A tu proszę, spróbuj, rozbudź w sobie natchnienie, gdy organizm woła o żarcie, a głowa zagwożdżona wciąż tą samą myślą: jak tu trafić na właściwy pomysł, jak przebić się przez przeszkody, wzniesione na twojej drodze przez oszustów-grafomanów, którzy weszli do literatury dzięki ciemnym machlojkom i zamurowali za sobą wszystkie przejścia. Skąd wziąć na jedzenie trzy razy dziennie? A jeszcze — na gaz, na elektryczność, a to zelówki się zdarły, a znowu trzeba rozliczyć się z maszynistką za dwieście stron przepisane go tekstu, po rublu od strony...

O, nędzo istnienia!

Spoglądam sam na siebie i dziwię się. Jakże to możliwe, że taki genialny mózg, takie namiętne, nieposkromione serce wychowało się na zjełczałych kotletach? Nie przesadzam: zjełczałe kotlety przez całe życie i nic poza tym. Nie ma żadnej oszklonej werandy, nie ma najbardziej prymitywnego biurka, aby napisać na nim choćby to jedno zdanie, a gdy piszę, nad moim pochylonym karkiem trębacz dmie w trąbę na górnym piętrze, ćwiczcy wciąż tę samą idiotyczną melodię, od pięciu godzin, bez przerwy.

Podczas pisania powieści „W poszukiwaniu radości” zatykałem uszy watą i okręcałem głowę ręcznikiem, przykrywałem oczy dłonią i pisałem na ślepo, żeby nie widzieć przygnębiających śladów po pluskwach i tłustych plam na ścianie, i, wyczerpując całą siłę woli, wyłączałem się z zasięgu kuchennych zapachów i dźwięków trąby, przenikających do świadomości poprzez watę i ręcznik. Zestawiajcie mnie po tym wszystkim z Lwem Tołstojem, porównujcie z Iwanem Turgieniewym! Chciałbym wiedzieć, kto z nich, z tych kla-

syków, zgodziłby się na moją propozycję: niech mnie wydrukują, a potem mogę zachorować i umrzeć, nawet nie zaznawszy, jak należy, pośmiertnej sławy. Wydadźcie mi choćby jedną książkę (najlepiej, żeby to była powieść „W poszukiwaniu szczęścia”), a potem zabijcie mnie, albo zróbcie ze mną co chcecie — przyjmuję każde ultimatum, a kto z was przyjąłby, kto zgodziłby się na takie warunki?

...Żony nie było w domu, jeszcze nie wróciła z pracy, siedział tylko Pawełek, siedział na łóżku, ze zwieszonymi nóżkami, i rysował w swoim albumiku. Zapropnowałem Pawełkowi, żeby przeniósł się z rysunkami gdzie indziej, i położyłem się na łóżku. Musiałem odpocząć od gorąca i nieco uspokoić nerwy. Każdej chwili mogła przyjść Zenaida, więc chciałem zdać sobie sprawę, co i jak jej powiem, a przy tym niepokoiło mnie gdzie schowała paczkę, wysłaną pod moim adresem i zatajoną przez nią przed tygodniem. Przyjęła w mojej nieobecności, nie powiedziała ani słowa. Byłem niespokojny, bo nie miałem dokładnej kopii, a to był, że tak powiem, jedyny egzemplarz ostatecznej wersji i coś bym ja robił po jego stracie?

Wyprowadził mnie z zadumy Pawełek. Podbiegł do wezgłowia i w milczeniu położył mi na piersi swój albumik do rysowania. Tym razem było w nim coś napisane.

W ubiegłym miesiącu Zenaida nauczyła go trochę pisać, a ja nie sądziłem, że znajdę w albumie gotowy utwór, pierwsze, że się tak wyrażę, opowiadanie mego syna, wygryzmołone wzdłuż linii, ołówkiem, drukowanymi literami. Aby uniknąć niedomówień, przytaczam tekst w całości, nie zmieniając ani słowa, jedynie po poprawieniu najbardziej rażących błędów ortograficznych.

O p o w i a d a n i e

Pewnego słonecznego dnia. Przy leśnym bagnisku, gdzie trawa była bardzo gęsta, migwały małe plamki. To były krasnoludki duże jak palec. Chciały zrobić koło bagna swoje miasto. Najpierw ścinały i piłowały trawę. Krasnoludki były zawinięte w liście. Krasnoludki dzieliły się na brygady. Następnie zbierały trawę na kupki. Potem spletały trawy. Jednym słowem, one miały bardzo dużo roboty.

— Tyś to sam skomponował? — zapytałem surowo.

Pawełek stał, jak gdyby go przyśrubowano do żelaznej nogi łóżka, z uśmiechem winowajcy na ustach i milczał. Błade policzki palił ogień niedojrzałej żądz rozgłosu. Nie przyszło mi łatwo wbijać w młodzieńczą duszę zimny skalpel chirurga, ale znałem swój obowiązek przeprowadzenia natychmiastowej operacji, dopóki jest jeszcze dzieckiem i nie odczuje zbyt boleśnie.

— Bardzo się chwali, że umiesz pisać — powiedziałem po obejrzeniu jego bazgroł. — Przepisuj, ile zechcesz, tytuły gazet, tytuły książek, nazwy ptaków i zwierząt. To nieszkodliwe. Ale po co zapisujesz byle bzdurę, która włązi ci do głowy? Pawełku, daj mi słowo, że nigdy więcej tego nie zrobisz, że nie będziesz komponować żadnych bajek o jakichś tam krasnoludkach. Wstydz się, to bardzo głupie, wszyscy będą śmiać się i drażnić się z tobą, jeżeli się dowiedzą...

Wyrwałem kartkę z opowiadaniem, zmiąłem ją demonstracyjnie i wsunąłem do kieszeni spodni. Twarzyczkę Pawełka skurczył grymas; milcząc, tykał ślinę i zamierzał uderzyć w ryk.

— Pawełku, kiedy podrośniesz i przeczytasz grube książki, które napisał twój ojciec, zrozumiesz, że to nie taka prosta sprawa, że potrzebny jest talent, a może nawet geniusz. Pomyśl — co by się stało, gdyby tak wszyscy zajęli się pisaniem? Jeżeli dokoła będą sami pisarze, to kto będzie pracować i kto będzie ich czytać? Nie, to już lepiej podzielimy nasze zadania: ja będę pisać, a ty zostaniesz inżynierem, albo muzykantem. Tatuś — pisarz, a Pawełek — lotnik, Pawełek — znakomity wojskowy, albo marynarz... Wiesz, jak to wesoło — „z szumem fal, morzem gnam, dzisiaj tu, a jutro tam”...

Wstałem, pospacerowałem po pokoju i znowu położyłem się na łóżku. Jak wyjaśnić sześcioltniemu dzieciakowi, w wieku jeszcze przedszkolnym, tak skomplikowaną sytuację? Mam go wtajemniczać w teorię prawdopodobieństwa, albo w teorię dziedziczności?

Nie ukrywam: w pierwszej chwili było mi przyjemnie. Bądź co bądź, moja natura, moja krew literacka. A więc jestem coś wart, jeśli moje nasienie, rzucone na przypadek losu, wyrasta krzywymi literami na papierze dziecinnego albumu...

Ale wiedziałem zbyt dobrze, że pisarz nie rodzi się z pisarza, że geniusze nie zostawiają potomstwa. Dzieci Lwa Tołstoja nie miały prawa do pisarstwa. Dumasa nie można brać w rachubę: obydwaj nic nie warci, zwłaszcza Dumas-syn. Zenaida popełniła głupstwo, nazywając syna Pawłem. Ta kobieta nigdy mnie nie kochała. Paweł Straustin — na grzbietach, na okładkach książek, na ustach u wszystkich. Za dwieście, trzysta lat nikt nie potrafi odróżnić — który z nich to ja, a który on — grafoman!

A wreszcie, trzeba zastanowić się: ostatecznie, kocham go, czy nie? Miłość do syna nakłada odpowiednie obowiązki. Złe skłonności w dzieciństwie. „Na pierwszym szczeblu — kieliszek wódki, na ostatnim — złamane życie”. Zażegnać zawczasu! Tak!! Właśnie dlatego! To dla jego własnego dobra...

— Słyszysz, Pawełek? Zabraniam ci! Jeżeli kiedykolwiek...

Aby go pocieszyć, powiedziałem, jak to podaruję mu prawdziwą maszynę do pisania. Natychmiast po wydaniu mojej książki i wzbogaceniu się kupimy taką maszynę. Przycisniesz — wyskakuje litera i sama odbija się na papierze. Wszystkie litery co do jednej, a także znaki przestankowe. Prawie tak samo jak w książce. Pawełek nauczy się pisać, potem pozna gramatykę i będzie w stanie starannie przepisywać rękopisy tatusia. Te, wypełniające kufer, który stoi w korytarzu, i te nowe, co świeżo wyszły spod pióra. Na maszynistkę potrzebne są pieniądze, dużo pieniędzy. Pawełek ją zastąpi i będziemy mieli w domu własnego, rodzinnego maszynistę.

— Pocałuj tatusia! Bardzo cię proszę, zrób wesołą minę i pocałuj tatusia!

Właśnie na ten pocałunek przyszła Zenaida. Już na progu zaczęła mi wymawiać, że z zakurzonymi butami leżę na czystym posłaniu, w domu nie ma chleba, herbaty, cukru i jeszcze czegoś tam. Nie wstając, zapytałem prosto z mostu, gdzie jest egzemplarz powieści „W poszukiwaniu radości”, odesłany przez wydawnictwo, i dlaczego nic mi o tym przedtem nie powiedziała.

Zaczęła się kłótnia.

Kiedy patrzę na Zenaidę, zapytuję sam siebie: czy to możliwe, żeby ta obca, nieładna, podstarzała kobieta, wyćieniona chorobami, byle jak ubrana, wiecznie zalatana,

była moją żoną i jak to właściwie się stało? A przecież przed dziesięciu laty kochała mnie, wierzyła, w moją gwiazdę, zachwycała się każdym słowem, przeze mnie napisanym, mówiła, że redaktorzy, którzy nie chcą moich rzeczy drukować, nie znają się na sztuce. To przecież jej obraz, namiętny i dynamiczny, z rozwianymi włosami koloru dojrzalego żyta, uwieczniłem z pamięci w postaci Tatiany Kreczet, po uprzednim przerobieniu imienia i przeniesieniu w inne historyczne środowisko. A teraz ta sama kobieta jest zdolna do porwania mego rękopisu na drobne kawałki, nie interesują jej dalsze moje plany, siedzi na krześle w umyślnie znużonej pozie i powiada, kiwając chudą nogą w obwisłej, podartej pończosze:

— Lepiej, gdybyś był alkoholikiem. Morfinistą nawet. U morfinistów są przynajmniej interwały świadomości. Kochają swoje żony, zajmują się dziećmi. A ty nie zwracasz uwagi na nic. Tylko ta twoja sztuka. Śmietankowego masła. Cztery miesiące bez pracy. Dom na karku. Mięsa nie widzi. Gdybym cię zdradzała, też byś nie zauważył. Bezduszna cegła. Cukier skończył się. Pawełek ma anemię. Chodź do mnie, Pawełku! Tatuś nas nie kocha. Chodź do mnie!

Pociągając nosem, Pawełek zlął z łóżka i podszedł do krzesła, na którym siedziała, a ja pomyślałem, że to byłoby rozwiązanie, gdyby Zenaida nagle mnie z kimś zdradziła i ten ktoś wziąłby ją za żonę. Ale kto ją weźmie — nieładną, w podartych pończochach, z sześcioletnim dzieckiem? Będzie mi siedzieć na karku aż do śmierci. Gdyby umarła, w pokoju nastałaby cisza, dużo luzu i wieczorami można by spokojnie pisać. Pawełek niech żyje, to spokojny, grzeczny chłopczyk, przeszkadzać mi nie będzie. Gdy podróżnie, zaopiekuje się moim archiwum, czy nawet muzeum, jak to zwykle robią synowie znakomitych pisarzy.

— Pawełek, chodź do mnie! Dlaczegoś odszedł? Już nie kochasz tatusia?

Zeskoczył z kolan Zenaidy i posłusznie podbiegł do łóżka. Gładząc jego drżące, sterczące ostro łopatki, oświadczyłem żonie, że w swoim czasie Stendhala także szczuli, że moje książki spotkają się z uznaniem może za jakieś trzysta lat i żeby natychmiast zwróciła rękopis, który kiedyś zostanie przeczytany i oceniony, ale będzie już za późno. Zenaida szalała na krześle, szlochała i zawodziła:

— Pawełek, ani mi się waż słuchać tego człowieka! Czy to możliwe, żebyś kochał tego typu bardziej niż matkę? Chodź do mnie natychmiast! Paweł, jesteś maniakiem... Ciebie trzeba leczyć. Tylko jedno w głowie — jak przejść do historii. Nie masz odwagi być zwykłym śmiertelnikiem. Jesteś zupełnie beztalencie, rozumiesz?! O, ja nieszcześliwa!

Teatralnym ruchem odrzuciła głowę, uderzyła nią o ścianę, nabiła sobie siniaka, który natychmiast nabiegł krwią, i zaszlochała jeszcze głośniej. Rzecz prosta, sześciolatek nie był w stanie poznać się na udawaniu. Wyrwał się z moich objęć i skoczył do matczynych rąk. Wtedy także straciłem nerwy. Zaczęliśmy wykrzykiwać sobie na wzajem wszystkie możliwe pretensje, prowadząc zapasy o serce syna, który przechodził z rąk do rąk, z obozu do obozu.

— Pawełek, jak ty śmiesz! Pawełek, wróć! To przecież ja, twoja mamusia! Jestem twoim ojcem! Twoim ojcem! Chodź, Paweł! Nie, chodź do mnie! Nie idź do niej! Nie idź do niego! Pawełek! Paweł!

Chłopak biegał między łóżkiem i krzesłem, tam i z powrotem, zgarbiony, milczący, niepokąźny, migając przed oczami tak szybko, aż zaczęło się wydawać, że to snuje się cały tłum zapracowanych krasnoludków, jak w opowiadaniu, skomponowanym przez Pawełka. Nareszcie, Zenaida porwała go w objęcia i już więcej nie puściła. Słyszając moje nawoływania, próbował wyrwać się z niewoli, ale dostał czkawki, głośno czał raz po raz i nie potrafił opanować się.

— Widzisz, do czegoś go doprowadził! — zasyczała Zenaida, jak gdyby to nie była jej wina, i wyszła z domu mocno trzymając Pawełka, żeby jej nie uciekł. Ale choć gwałtem uprowadziła dzieciaka, i tak odniosłem częściowe zwycięstwo, bo, odchodząc, Zenaida schyliła się i wyciągnęła spod szafy drogocenny rękopis, którego stratę już przebolełem.

— Masz! Udław się! — krzyknęła i z rozmachem rzuciła we mnie rękopisem. Powieść „W poszukiwaniu radości” trafiła w oparcie łóżka, posypały się kartki. Rzuciłem się do ich zbierania.

Ach, więc nareszcie wróciła do swego twórcy, wróciła ta książka, która zaznała tyle nieszczęść na drodze ku sławie. Zakurzona, z pomieszanymi kartkami, niektórych,

jak od razu zauważyłem, w ogóle brakowało, inne były pomięte, porwane, zniszczone i pokreślone z góry do dołu niebieskim ołówkiem redaktora. Na chybił trafił wziąłem 167-mą stronę i przeczytałem: „Na skraju urwiska stała Tatiana Kreczet, jej złociste włosy, koloru dojrzałego żyta, rozwiewały się na wietrze”. Na marginesie, na wysokości tego zdania widniał nakreślony niebieskim ołówkiem znak zapytania.

Siadłem na podłodze i nagle rozpląkałem się. Płacząc mówię do Pawelka, bo mi się przywidziało, że jest obecny:

— Teraz rozumiesz, dlaczego zabroniłem ci komponować opowiadania? Teraz rozumiesz?

Ciągle płacząc, mówiłem do Zenaidy:

— Przypuśćmy, że jestem grafomanem. Co to kogo obchodzi? Komu to przeszkadza?

Ale Zenaida dawno poszła, byłem sam i, na szczęście, nikt nie mógł podpatrzeć mojej chwilowej słabości.



Kiedy przyszedłem do niego o pierwszej w nocy, tak jak stałem, z jedną tylko teczką, Gałkin jeszcze nie spał.

— Dawno trzeba było tak zrobić! Albo rodzina, albo sztuka. Trzeba wybierać — podtrzymał z zapalem mój pomysł rozejścia się z Zenaidą na zawsze.

Ku memu zdziwieniu, mieszkał w obszernym i stosunkowo dość czystym pokoju, ale różne przedmioty ułożone były w niezwykle sposób: czajnik stał na podłodze, lampa — również, natomiast na stole była ręczna prasa i najrozmaitsze graty. Na elektrycznej fajerce, w miseczce do mydła podgrzewał się stolarski klej.

— Widzicie, Pawle Iwanowiczu, intrologatornię zakładamy. W charakterze odpoczynku i rozrywki. Książki żyć nie dają...

Stosy książek szły aż do sufitu, półki powyginały się pod ciężarem. Odruchowo wziąłem jedną z nich: Konstanty Fiedin „Pierwsza radość” i „Niezwyczajne lato”.

— Nie czytałem! — burknął gniewnie Gałkin. — Tobie też nie radzę. A w ogóle, powiem ci szczerze — książek prawie nie czytuję. Piszę książki. Po co mamy czytać, jeżeli sami jesteśmy pisarzami i każdej chwili możemy skomponować, co się nam żywnie spodoba... Patrz...

Podprowadził mnie do spółki, częściowo zasłoniętej szkłem i wyjął spod szkła książkę w jaskrawej okładce, bez tytułu, wyglądającą na zupełnie nową. Spojrzałem na tytuł ową kartką i struchlałem.

Siemion Gałkin
„W żywocie wieloryba”
Dziewiętnasty tom wierszy
Moskwa 1959

Zamiast pogratulować, miałem chęć powiedzieć mu jakąś impertynencję. Na pewno dał łapówkę, przekupił redaktora, żeby nielegalnie przepchnąć do druku te nieprzytomne brednie. Gałkin mnie uprzedził. Zwrócił się do mnie z nieukrywaną satysfakcją:

— Spójrz na dokumentację wydawniczą. Jaki nakład!

Na odwrocie ostatniej kartki widniało drobnym drukiem: Redaktor — S. Gałkin. Okładka — S. Gałkina. Techniczny redaktor — S. Gałkin. Zecer — S. Gałkin. Nakład — 1 egzemplarz.

Powoli zacząłem się śmiać. Najpierw niezbyt pewny siebie, potem, dochodząc do sedna, głośno, po przyjacielsku, z całego serca. To było świetnie zrobione. Chociaż na skutek przeżytego wzruszenia palce mi drżały, obejrzałem książkę kartkę po kartce, a nawet obwąchałem papier. Nie tając zachwyty, wyraziłem go autorowi. A już najbardziej podobały mi się przecinki — takie maleńkie, precyzyjne, no, takie prawdziwe, autentyczne przecinki.

— Ty byś mógł fałszywe banknoty drukować! Talent nadaremnie marnuje się — powiedziałem żartobliwie i szturchnąłem go pod żebro. — Cóż ty, Sioma, własną drukarnię założyłeś, czy jak? Jakaś to zrobił?

— Rozwodniony chiński tusz i akwarela — powiedział pochmurnie Siemion i z niezrozumiałym pośpiechem odebrał książkę — jedyny jej egzemplarz. — No, dość już staruszk! Chodźmy spać...

...Mieszkalem u Gałkina przez trzy dni. Karmił mnie kanapkami z kiełbasą i poił, aż potąd, słodką herbatą. Ale jego sposób bycia przeszkadzał mi w myśleniu i odciągał od skomplikowanej pracy rekonstrukcji rękopisu. Planowo, zdanie po zdaniu, przypominałem sobie i ustalałem tekst, usunięty z mojej powieści staraniem złośliwców, podczas

gdy Siemion pitrał swoje przekłady, żartując i plotąc babiluki.

— Dość już jęzorem obracać! I jeszcze mówi, że pisarz! — stale oburzałem się na Gałkina, za jego skłonność do ciągłego wygadywania bzdur.

W odpowiedzi na to wysuwał idiotyczne argumenty. Tytaniczna praca pisarza polega — jego zdaniem — na wygadaniu się. Pisarz odstawia gadkę z przyjaciółmi, jego pytlowanie to niejako bruliony, powtarza wytarte frazesy, potyka się, plecie nonsensy. I nagle — palnie jakieś słówko. Palnie coś, co mu nagle wlało do łba, wskoczyło na język. To właśnie najważniejsze: wygadać się takim niespodziewanym słowem, w którym cały świat rozpozna w jednej chwili, jak lubił górnolotnie wyrażać się Gałkin, swój najwierniejszy, najbardziej dokładny synonim.

Chwilami milknął, pulchne wargi mu zwisały, siedział przez kwadrans nieruchomo z idiotyczną miną — autentyczna kopia owcy, albo lepiej — barana. Diabli mnie brali w takich wypadkach, bo płoszył mi natchnienie, albo — czy to gadaniną, czy nagłą drętwotą — koncentrował na sobie moją uwagę, nie pozwalając skupić się. Wtedy opuszczałem na podłogę jakiś przedmiot — ołówek, nożyczki, a raz — tytułem doświadczenia — ciężki rękopis powieści „W poszukiwaniu radości”. Gałkin nie reagował. Z wysuniętej do przodu dolnej wargi zwisała na kołnierzu niteczka śliny.

Najbardziej żałośnie wyglądał w nocy, gdy budził się sam i budził mnie swoim głośnym mamrotaniem, rzucał się do stołu bez spodni i, drapiąc niemyte nogi, zapisywał stronę po stronie, a potem rwał na drobne kawałki i, zataczając się, jak pijany, walił się do łóżka spać. Za dnia równie marnował niemało papieru...

— Wiesz co, staruszkę — zwykł mawiać Gałkin, z szerokim i głupim uśmiechem — im więcej pracuję, tym lepiej rozumiem: najlepsze, co stworzyłem, nie jest moją własnością, napisane zostało jak gdyby przez kogoś innego. Niech mnie diabli wezmą! Nie wiadomo skąd przyszło do głowy, przyleciało z powietrza... Powiadają: „utrwalanie samego siebie”, „wyrażanie osobowości”. Moim zdaniem, każdy pisarz dba tylko o jedno: o w y — e l i m i — n o — w a — n i e s i e — b i e . . . ! Po to pracujemy w pocie czoła, wagony papieru zapisujemy z tą nadzieją:

usunąć samych siebie na bok, przezwyciężyć się, dopuścić myśli spoza nas, z powietrza. Te myśli powstają same, bez naszego udziału. A my tylko pracujemy, tylko pracujemy, tylko idziemy i idziemy jakąś ścieżką i dajemy wolną drogę tym myślom, od czasu do czasu, wbrew własnej woli. I nagle! — to się zawsze zdarza nagle i znienacka! — staje się oczywiste: tyś to sam napisał i dlatego nic nie jest warte, a tamto — nie twoje, i już nie śmiesz, nie masz prawa nic z tym zrobić — ani zmienić, ani poprawić. Nie twoja własność! Odchodzisz na stronę zdumiony. Stoisz w zupełnym zmieszaniu. Nie przed jakimś tam dokonany piękny. Po prostu przestraszony faktem, żeś nie brał udziału w tym, co się stało.

Przysłuchiwałem się z uwagą szczerym wyznaniom Gałkina. Nawet wydały mi się interesujące. A więc to tak! Nie uważa za swoją własność? Trzeba to wziąć pod uwagę... Któż w takim razie jest tym twórcą? Od kogo bierze to wszystko? Wydarzenia potwierdziły najgorsze moje obawy.

O mieszkanie Gałkina wciąż ocierały się jakieś podejrzan typy spod ciemnej gwiazdy. Goście przychodzili bez żadnych ceregieli, siadali nieproszeni i łatwo było zorientować się, że ten dom był dla nich czymś w rodzaju kwatery głównego sztabu, czy też miejscem postoju na krętych drogach literackich. Zaraz pierwszego poranka przyszła osoba, w przybliżeniu jakieś czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć lat, ostrzyżona na chłopczycę i mówiąca o sobie w rodzaju męskim. Zamiast „przyszłam”, mówiła „przyszedłem”, „chciałem”...

— Przyniosłem nową sztukę. W pięciu aktach — wycedziła, wyciągając do Gałkina lewą rękę z odprysniętym lakierem na paznokciach. Założyła nogę na nogę, splecionymi palcami objawszy podniesione ku brodzie kolano, paliła bez przerwy, mrużąc oczy od pobudzającego do łez dymu i krzywiąc się, wciąż przesuwała w wargach żółtego papierosa taniej marki „Przybój”.

Po jej odejściu Gałkin przedstawił mi ją:

— Korektorka. Pracowała w poważnym czasopiśmie. Zwolniona za polityczny lapsus. Píše sztuki teatralne o kryminalistycznej treści. Bardzo ostro krytykuje ministrów, wyższą biurokrację. Cenzura nie dopuszcza do druku. Była pierwszą żoną znanego skrzypka, pederasty.

Następnie złożył wizytę nauczyciel botaniki, łysy, anemiczny, noszący spinki z malachitu, z dobrym, głupawym uśmieszkiem ogólnego ulubieńca dziewczynek z piątej i szóstej klasy gimnazjalnej. Spędził u nas przeszło cztery godziny: razem z Gałkinym wyklejał z tektury jakąś dziwną figurę, przypominającą jeżowca. Jak potem wyjaśnił Gałkin, była to książka — także książka! — ale rozciągająca się, jak harmonia i zawierająca wewnątrz wiersze abstrakcyjne. Inne książki — w kształcie sześcianu, piramidy i jajka — powstały przed miesiącem, również przy współudziale tegoż Gałkina, który uważał te historie za syntezę poezji, malarstwa i rzeźby.

Pragnąłem pozbyć się tych nieproszonych gości i pomóc tym gospodarzowi. Gdzie mu tam do roli mecenasa wszystkich grafomanów, niezdar i pechowców. On sam — grafoman, sam — pechowiec!

— Niczego nie rozumiesz! — gorączkował się Gałkin. — Pisziesz nie kończące się powieści o rewolucji, o wojnie domowej... Ile lat miałeś w dziewiętnastym roku? A tu pod samym twoim nosem szaleją namiętności, godne pióra Szekspira... Shylocki, jaguary! Ach, gdybym ja był dramaturgiem!

Harcował po pokoju, kosmaty, podobny do owcy podniesionej na tylne nogi, potykając się o czajniki i szklanki, rozstawione na podłodze, niby na obrusie. Sprowokowane jego tupaniem z górnych półek spadały książki, podnosząc chmury kurzu, a Gałkin deptał je nogami i groźnie wykrzykiwał ku sufitowi:

— Zaczekaj, Straustin! Jeszcze zobaczysz! Zbierzemy się wszyscy razem... W pełnym składzie... Boże! Jacy ludzie żyją w naszej Rosji! Żyją na próżno i umierają bez żadnego pożytku...

Wkrótce stało się moim udziałem oglądanie widowiska, godnego pióra Szekspira. Zebrało się jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia pięć, może nawet trzydzieści osób. Krzesel zabrakło. Siedzieli na parapetach okien, na tomach encyklopedii Brockhauza i Efrona.

Byli tu przedstawiciele wszystkich sekt, pokoleń i kierunków: stare baby w *pince-nez* à la Czechow, opisujące hodowlę nierogacizny, i chłopcy neofici z puszkinowskimi kędziorami, piszący pod Jesienina. Obok kręcił się mój stary znajomy, emerytowany pułkownik, z wszystkimi orde-

rami na piersi. Pułkownika trzymał się młodzieniec w podartej marynarskiej koszulce. Od młodzieńca niosło spirytusem, więzieniem i samobójstwem. Nieśmiało spoglądał spode łba na towarzystwo, pułkownik podnosił go na duchu:

— Nie nawalaj, Grisza! Ze mną nie zginiesz...

Gałkin przewodniczył zebraniu. Czuł się jak solenizant i, ledwie wszyscy zajęli swoje miejsca, poprosił o głos, aby wypowiedzieć, jak on sam określił, krótkie słowo powitalne.

— Prosimy, prosimy! — zawołała autorka kryminalnych dramatów.

— Prosimy! — wymamrotał za jej przykładem nauczyciel botaniki, wstydliwie zaciskając w dłoniach syntetyczne dzieło — model jeżowca.

— Drodzy koledzy! Towarzysze grafomani! — zaczął grzmiącym głosem mówca. W pokoju rozległ się zgodny szmer oburzenia.

— A ty sam co? — ryknął emerytowany pułkownik.

Ale tego tylko było Gałkinowi potrzeba. Przeprowadził analogię między grafomanem i geniuszem, uspakajając od razu obecnych. Okręślił grafomanię jako zasadę wszystkich zasad i nazwał ją błotnistym gruntem, na którym wykluwają się czyste źródła poezji. Ten grunt — mówił Gałkin — jest przeziąknięty wilgocią. Ta wilgoć — mówił Gałkin — nie znajduje ujścia. Przyjdzie czas — mówił Gałkin — gdy wilgoć runie z łona ziemi i zatopi cały świat. Kto był niczym — mówił Gałkin — ten stanie się wszystkim, a choćby nie starczyło dla wszystkich papieru, pokryjemy tekstami wierszem i prozą ściany domów i obnażone uliczne chodniki — mówił Gałkin.

Zgromadzenie odpowiadało sympatyzującym szumem. Zauważyłem jednak, że wśród grafomanów rosła niecierpliwość. Kryli się pojedynczo po kątach. Tworzyli grupki, po dwóch, po trzech, i podczas, gdy jeden autor czytał na głos swój utwór, inni czekali, przestępując z nogi na nogę. Każdy chciał także, Gałkina nikt już nie słuchał.

...Nad nami niebo z kobiecym uśmiechem i fioletowe jak suszone śliwki porucznika o nazwisku Grebień rozłożyło się na zielonej trawie. Generał Pticyń nie otarł skąpych żołnierskich łez, jak grad toczących się po jego policzkach,

i podał komendę: — Kocham was, najmilsza Tosiu, i usta ich złączyły się w ognistym pocałunku. Poczuł w swej duszy placuszek z twarogiem i pierogi z grzybami, i pół tuzina jędrnych, zimnych jak sople lodu ogóreczków, pachnących świeżym koperkiem, a zakwaszonych wczesną wiosną, kiedy to zbiera się na szczęśliwy płacz razem z całą przyrodą i na krzyki: — O, Rosjo! — dokąd tak pędzisz? — błogosławiąc pierwszy, puszysty, delikatny, różowy śnieg, który spadł na czarną, błotnistą, śliską, tłumnie uczęszczaną drogę. Wschód zapłonął rumianą zorzą, a ty, Wiaczesławie, sądzisz, że minister o tym nie wie? Minister osłania zbrodniarzy, ale dlaczego, Wiaczesławie, tak mocno rączkę moją ściskasz, szarymi oczętami pieścisz, a od intymnego zbliżenia uciekasz?

Każdy wykrzykiwał teraz swoje. Towarzystwo podzieliło się na grupy, grupy — na grupki, a te rozbijały się w dalszym ciągu. Czerwone, pokryte potem czoła. Fryzury w stanie chaosu. Poruszające się gwałtownie ręce w kształcie wykrzyknika, wydłubujące z pustki znaki przestankowe. Wściekła gestykulacja ust, śliniących się, spienionych, wypniających powietrze ordynarnym hałasem.

— Kombajn Nastusiu, kombajn. Kwitły lipy, złocienistych nie zrachować wśród kogutów. Pograniczny z kryształu, górale na czapce bez daszka. Igor rozwścieczał się, milcząc. Zastępca ministra brzoźowego gajku. I choć czknać czekałem fijołeczek. Albowiem traktory orzą pole. Zawołali sekretarza. Sekretarz rejonowego komitetu, Ły-kow, wypępuszał się o świtanie nad Dnieprem. Wędliny w gruncie, zorza przed nami. Pali się, pali! Nie nadaremnie! Na piersi szeptuńczyk. Łość, łość, jakaś ty cudowna! Kwitły lipy. Jaśminowa foka aż po widnokrąg. Nervując się krzykła: Hurra! Hej, chłopcy! Czyż to nie Moskwa jest za nami? Rum-bum w kapitana!

Nagle wśród całej tej maligny błysnęło zdanie, po którego usłyszeniu drgnąłem i odwróciłem się. Ktoś powiedział:

— W powietrzu czuło się oddech zbliżającej się burzy...

Zdanie przeleciało jak błyskawica i zatoneło w mroku słów, kłębiących się nade mną. Odwróciłem się gwałtownie, ale nie mogłem zorientować się, które z tych bulgocących ust wypowiedziały przed chwilą cytat z mojej po-

wieści, „W poszukiwaniu radości”. Ale pomylić się nie mogłem, bo przecież zaledwie wczoraj wpisałem do tekstu zdanie o zbliżającej się burzy — właśnie w tej wersji, w jakiej je tu powtórzone.

I oto ponownie, aby potwierdzić straszliwy domysł, inny głos, w innym kącie pokoju powiedział niezbyt głośno, ale zupełnie wyraźnie:

— Powie... czuło się... dech... żąją... rzy...

Nie mogło być żadnych wątpliwości: okradziono mnie, zrabowano mi moją perłę.

Nie zwlekając, przepchałem się do Siemiona. Oglądał bachanalie, pozując się na Napoleona. Jego zapadnięte nozdrza i grube wargi, zwinięte w trąbkę, chciwie wciągały słowa i dźwięki, przelatujące zmaconym tłumem przez powietrze. Był tak tym zajęty, że mnie nie zauważył. I właśnie w owej chwili otworzyły mi się oczy. Z całą wyrazistością artysty, który nagle pojął, jak bardzo nikczemne jest życie, intuicyjnie wyczytałem wszystko z chciwej gęby Gałkina.

Tak, to Gałkin, nikt inny, był głównym sprawcą mojej straty. Nie na próżno wałkował wczoraj mędrkowanie, że niby my sami nic dobrego nie tworzymy, a najlepsze pomysły przychodzą na myśl z powietrza. Nie próżno i teraz tak się wszystkiemu przysłuchuje; jutro wykorzysta i powie: „to nie moja własność”, „przypadkowo przyszło do głowy, nawinięło się na język”. Z taką łatwością ofiarował swoim przyjaciółom-grafomanom moją droгоценą perłę. Na pewno podpatrzył w rękopisie, kiedy spałem, albo byłem w ustępie... I oto ta moja perła przechodzi z rąk do rąk szulerów i oszustów, niby zdawkowy bilon.

Pociągnąłem Gałkina za rękaw i zapytałem go zjadliwie:

— Co, Siemion, nie masz chęci zapisywać? Żeby nie zapomnieć i jutro wykorzystać...

— Owszem! — powiedział, nawet nie rumieniąc się. — Jeszcze jak! Ale nie jestem dramaturgiem, ani — niestety! — prozaikiem. Nic nie wyjdzie... Na twoim miejscu, Straustin, napisałbym coś w tym rodzaju... Opowiadanie, albo jeszcze lepiej — dłuższą nowelę, powieść, epopeję! Dałbym tytuł „Grafomani”! Epopeję o nieudanych pisarzach. Materiał, co za materiał przepada!

Widząc, że uchyla się od odpowiedzi, zapytałem, nie bez wyraźnej ironii:

— A co powiesz, Siemion, o takim zdaniu? Właśnie przed chwilą usłyszałem...

Zacytowałem finałowy akord z mojej powieści: „W powietrzu czuło się oddech zbliżającej się burzy...”.

Nawet wtedy Gałkin nie okrył się rumieńcem wstydu.

— Bardzo źle — oświadczył z zimną krwią. — Znoszone, stare, jak wytarta dwudziestokopiejkówka... Ale czyż o to chodzi? nie o to chodzi jak piszą, ale jak pożądam!

Rozmowa z nim nie miała sensu. Udawał, że nie pojmuję moich aluzji, i znowu zaczął perorować:

— Pechowcy? Wszyscy są pechowcami! Każdy człowiek — to nieudany geniusz. Ale tylko my, pechowcy, którzyśmy poznali całą głębię naszych genialnych możliwości, tylko my jedno o tym wiemy... I tylko w nas ludzkość dochodzi do samouświadomienia...

Gałkin zwracał się do wszystkich obecnych, ale grafomani wpadli już w najwyższe podniecenie. Prowadzili jakąś grę, fałszywą, szulerską grę słowami, wyrwali sobie karty i niczego nie dostrzegali. W sercu poczułem do nich pogardę. Okradli mój klejnot, nazwali go dwudziestokopiejkówką i puścili w obieg, by zwiększyć swoje szanse. To im nie pomogło. Przegrywali cały czas, beznadziejnie przegrywali, rujnowali się dosłownie na oczach...



Tej nocy opuścił mnie sen. Położyłem pod głowę swój rękopis, aby uniemożliwić Gałkinowi ponowny rabunek. Mogłem przez całą noc kontrolować potylicą obecność rękopisu, czując jego niezbyt twardą szorstkość. Zdałem sobie sprawę, że moja dalsza obecność w mieszkaniu Gałkina stała się niemożliwa.

Gospodarz najspokojnie chrapał na biurku, na posłaniu urządzonym z książek, palta i jedynej w domu poduszki. Na otomanie, na której zwykle sypia Gałkin, rozciągnął się nauczyciel botaniki. Miał wczesną lekcję w szkole, więc nie pojechał do siebie, do miejscowości Fili, został na noc. Jego obecność także nie sprawiała mi przyjemności. Ponieważ tak czy owak nie mogłem usnąć, przy-

sunąłem lampę do kanapy i zabrałem się do lektury. Konstantego Fiedina „Pierwsza radość” i „Niezwykłe lato”.

Styl wydał mi się niedołążny, temat — nieciekawym. Jak większość współczesnych pisarzy, którzy zamienili literaturę w niezdożytą twierdzę, Fiedin jest pozbawiony inteligencji, talentu i znajomości poruszanych spraw. Opowiadał o rewolucji i wojnie domowej, nie mając o nich żadnego pojęcia. Ale poszczególne słowa i powiedzenia, po uważnym ich przeczytaniu, wyróżniały się jakoś i były mi jak gdyby znane. Po uważnym zbadaniu stwierdziłem, że wykazują podobieństwo do moich własnych książek, powstałych w różnych okresach, a dotąd nie ogłoszonych drukiem.

Na przykład, Fiedin napisał: „Droga przywiodła na obszerną plantację ogrodowo-sadowniczą”. A w mojej powieści z 1935 roku, „Słońce wstaje nad stepem”, było — świetnie pamiętałem — takie zdanie: „Droga przywiodła na obszerne pole, zasadzone jabłonią”. Tyle że u mnie, te jabłonie, pamiętam, kwitły i połyskiwały na słońcu różowymi płatkami. Zaś Fiedin, aby ukryć plagiat, zlikwidował całą urodę moich kwitnących drzew, psując całkowicie powyższy fragment. A jednak wzięte ode mnie okruszyny, nawet w zniekształconej postaci, pomogły mu szybko zrobić świetną karierę i teraz bez żadnych wyrzutów sumienia korzystał z owoców sławy, które w istocie rzeczy należały się wyłącznie mnie.

Jakże złorzeczyłem własnej łatwowierności! Moje rękopisy przebywały w wydawnictwach niekiedy cały miesiąc, i dłużej, aby wrócić do mnie, odrzucone, ale z powyrywającymi stronicami. Podczas, gdy męczyłem się w oczekiwaniu odpowiedzi, sprytnie ręce różnych Gałkinych i Fiedinych umiejętnie brały z nich pomysły, puszczając potem w świat pod cudzymi, sfalszowanymi nazwiskami.

Wstałem z posłania, poszperałem na półkach, wybierając całą kupę książek, wydanych w ostatnich latach. Otwierałem te książki na pierwszej lepszej stronie i wszędzie — czy to był Leonow, Paustowski, Fadiejew, czy Szolochow — wszędzie trafiałem na własne ślady, zagubione w nonsensownym, pozbawionym wszelkiej wartości tekście. Nawet u François Mauriac — po najbardziej powierzchownym przejrzaniu — znalazłem cztery drobności, ściągnięte z mojej młodzieńczej opowieści, pod tytułem

„Człowiek”, i długo zachodziłem w głowę, jak się to stało, aż wreszcie domyśliłem się, że przecież rabusie mogli przemycić kopie moich utworów także zagranicę...

Wszystkie te wrażenia wycieńczyły mnie do tego stopnia, że nad ranem usnąłem, sam nie wiedząc kiedy, i przyśnił mi się koszmarny sen. Śniło mi się, że śpię, a do mojej czaszki, przez potylicę i szarą masę mózgową wsuwa się kartka papieru, zapisana na maszynie. Patrzę na tę kartkę przewróconymi ku potylicy oczami i czynię wysiłki, żeby przeczytać, co tam napisane, i wiem, że od tych wysiłków zależy cały mój los. Wiersze i zdania zarysowują się przede mną na chwilkę i giną, zarysowują się i giną, ale nic z tego nie wynika. Męczyłem się długo, nie mogąc odcyfrować, co tam było napisane, a gdy zbudziłem się, głowę miałem jak ceber, w karku głuchy ból, a zegarek pokazywał czwartą godzinę popołudniu.

Po nauczycielu botaniki ani śladu. Gałkin, ubrany, siedział przy stole i szybko pisał, prawdopodobnie notował wszystko, co mu zostało w pamięci po wczorajszym zamęcie. Nie chciał rozmawiać, twarz miał żółtą i patrzyenie na niego budziło wstręt.

Wiedziałem, że powinienem wynosić się stąd jak najszybciej, zanim grafomani nie obrabują mnie do reszty, ale nie wiadomo dlaczego zwlekałem, marudziłem, łąziłem z kąta w kąt, bez celu kładłem się na kanapie, przeciągałem się, i ciągle jakby mi czegoś brakowało, żeby zdecydować się i odejść. Namacałem w kieszeni dwudziestokopiejkową monetę, podszedłem do półki, na której Gałkin przechowywał pod szkłem swoje książki, ręcznie wypisane, i cichutko stukiałem w szkło. Gałkin znosił to jakiś czas, potem zaczął prosić, żebym dał mu spokój, wreszcie podniósł głowę i warknął:

— Przestań! Czego chcesz?

Zostawiłem go w spokoju przez pięć minut, następnie wznowiłem zabawę i metodycznie znęcałem się nad nim tak długo, aż wyskoczył zza stołu i zaczął wymyślać. Wtedy oświadczyłem z największym spokojem, na jaki mogłem się zdobyć:

— Słuchaj, Gałkin, przecież ty jesteś grafoman. Najprawdziwszy, pospolity grafoman...

Nerwy miałem rozjątrzone, krew nagłymi zrywami napływała do serca, ale mówiłem równym, niemal pieszczot-

liwym głosem, aby tym więcej go rozdrażnić i zasmucić, udowodniając w sposób najbardziej oczywisty, że jest pospolitym grafomanem, grafomanem, grafomanem, grafomanem — powtarzałem z uprzykrzeniem i stukałem w szkło.

— Siemion, dlaczego gniewasz się? Sam powiedziałeś, że grafomania to zaszczytny tytuł... Dlaczego jesteś niekonsekwentny, grafomanie Gałkin?!

Kiedy, całkowicie wyprowadzony z równowagi, wrzasnął na całe gardło, żebym się wynosił precz, ogarnęło mną uczucie, pokrewne satysfakcji. Spakowałem powoli teczkę i powiedziałem to, do czego miałem całkowite prawo, żeby powiedzieć:

— No, tak, teraz mnie wypędzasz... Najpierw obrabowałeś. a teraz wypędzasz...

Nie uważałem za wskazane wyjaśniać, czym zawinił wobec mnie, bo i takby, nie zrozumiał. Więc tylko na pożegnanie rzuciłem raz jeszcze pod jego adresem słowo „grafoman” i czym prędzej zamknąłem za sobą drzwi, żeby mnie nie dosięgnął rzuconą za mną książką.

...Przyszedłem do niego w nocy i odszedłem późnym wieczorem, a ponieważ absolutnie nie miałem dokąd udać się, wędrowałem z teczką pod pachą przez cichnące ulice, nie mając przed sobą żadnego określonego zamiaru. Organizm prosił o jedzenie, potem przestawał prosić, ból głowy znikał i wznawiał się ze zdwojoną siłą, pieniędzy, jeżeli nie wspominać o dwudziestaku, nie miałem ani gronia i nic nie miałem do roboty. Żeby zabić czas, zaglądałem w świetlone okna na parterze i w suterrenach i, jeśli nie były starannie zasłonięte firankami, wszędzie moim oczom ukazywało się jedno i to samo.

Był późny wieczór — ulubiona godzina grafomanów, i w każdej, dostępnej memu spojrzeniu dziurze, ktoś siedział i coś pisał. Powstawało wrażenie, że miasto roi się od pisarzy, i wszyscy oni, jak jeden, zasmarowywali papier wiecznymi piórami.

Ilu ich jest, dla kogo i po co piszą? Wszędzie biblioteki, czytelnie, miliony tomów. W prywatnych mieszkaniach szafy, etażerki, stoły również pełne książek, książki na parapetach okien, książki piętrzące się aż pod sufity. Codziennie, co godzinę wychodziły nowe foliały, których

nikt nie czyta, nikomu niepotrzebne. Ta armia opętanych maniaków nie ustawała w pracy...

Nie byłem jednym z nich. Przypadł mi los gorszy, ale godniejszy. Wśród tego piszącego tłumu ja jeden, być może, byłem prawdziwym pisarzem. Wprawdzie moje utwory nie spotkały się z uznaniem, ale stały się fundamentem literatury, tworząc jej najcenniejsze stronicę. Urywki moich ksiąg, zrabowane i rozsprzedane przez sprytnych współczesnych, zdobią obecnie najlepsze dzieła autorów o światowej sławie. Naśladują mnie, odpisują ode mnie. Piszą nie sami, przepisują moje słowa, nic nie wiedząc o skromnym twórcy, który włóczy się pod ich oknami. Tak! Nie przyszedłem jako zwycięzca w laurowym wieńcu przez główne drzwi, lecz przeniknąłem do ich ciał i dusz, poprzez jedzenie i powietrze, jak trucizna przenika do krwi, i pozbyć się mnie już nie potrafią...

Szeregi oświetlonych okien wyraźnie przerzedzały się. Piszący udawali się na spoczynek. Wkrótce tylko w niektórych domach połyskiwały samotne żarówki. Po dwie, po trzy na dzielnicę. To najgorsi, najbardziej niepoprawni grafomani upierali się przy swoim szaleństwie.

Byłem tak zmęczony i wyczerpany, że zataczałem się i zbierało mi się na wymioty. Ale szedł, nie zatrzymując się, ciąglem szedł ulicą Czechowa, ulicą Gorkiego, przez plac Puszki... A jeszcze były ulice na cześć Lwa Tołstoja, Dostojewskiego, Majakowskiego i czy to Lermontowa, czy Niekrasowa... Nie przechodziłem przez nie, ale pamiętałem, że istnieją.

Pisarze klasyczni — oto kogo najbardziej nienawidzę! Zanim urodziłem się, pozajmowali wszystkie wolne miejsca, a teraz wypadło mi rywalizować z nimi, nie rozporządzając ani jedną setną ich rozdmuchanych autorytetów. — Czytajcie Czechowa, czytajcie Czechowa! — mówiono mi przez całe życie, dając do zrozumienia, że Czechow pisał lepiej niż ja... Ale jakże zmagać się z nimi, jeżeli w Jasnej Polanie nawet paznokcie Lwa Tołstoja, które przewidujący hrabia obciął sobie przed tysiącem lat i włożył do specjalnego woreczka, przechowywane są jako świętość? A powiadają, że w Jałcie, w specjalnych paczuszkach przechowują plwociny Czechowa, tak, tak! — autentyczne plwociny Antoniego Pawłowicza Czechowa, który, jak

powiadają, przez długi czas dostawał krwotoków i nawet umarł na gruźlicę, co naturalnie jest wielką przesadą.

A stawiając sprawę uczciwie: czy naprawdę Tolstoj i Czechow byli aż tak dobrymi pisarzami? Właśnie! Złapać by tego Czechowa za suchotniczą bródkę i wsadzić mu nos w jego suchotnicze płwociny, które, niestety, już wyschły: — Nie pisz, grafomanie, nie pisz! Nie psuj papieru!

Ale cóż znowu?! Zaraz znajdą się obrońcy... Wielbiciele, bibliografowie, pamiętnikarze... A o mnie kto pamiętniki napisze? Kto mnie — zapytuje — przypomni i uwieczni?

Znużony, z rozstrojonymi nerwami, wypisywałem nogami esy-floresy, potykałem się, zataczałem... Mój ciężki marsz przez uliczny bruk był dziwaczny i zygzakowaty. Nagle wydało mi się, że idę nie z własnej woli, lecz że czyjeś palce mną posuwają, jak posuwa się ołówkiem po kartce papieru. Mój krok był jak drobny i nierówny charakter pisma, spieszyłem się z wszystkich sił, powolny ruchowi dłoni, która komponowała i zapisywała na asfalcie bezludne ulice, kamienice, w których gdzieniegdzie widniały oświetlone okna, i mnie samego, całe moje jakże długie i pechowe życie.

Wreszcie wyrwałem się, gwałtownie zahamowałem, zatrzymując się w pełnym rozpędzie, i spojrzałem spode łba na ciemne niebo, nisko zwisające nad moją głową. Zwróciłem się prosto ku niemu i powiedziałem niezbyt głośno, ale z dostatecznym uzasadnieniem:

— Ej, ty, grafoman! Przerwij tę pracę! Wszystko to, co piszesz, nie ma żadnej wartości. Jaka nieudolna pisanina! Nie nadaje się do czytania...



Była siódma rano, ale Zenaida już wstała i karmiła Pawełka mąką kaszką. Na mój widok wpadła w dziką radość, chwyciła za głowę obydwoma rękami, przyciągnęła ku sobie i mocno pocałowała. Chwiejąc się, usiadłem.

— Wiedziałam, że wrócisz... Wiedziałam... wiedziałam... — powtarzała raz po raz, ciężko dysząc i tuląc moją twarz do siebie. — Jesteś dobry, jesteś mądry, jes-

teś wspaniałomyślny... Zrozumiałeś, nareszcie zrozumiałeś... Ach, Pawle, Pawle!

Ostrożnie uwolniłem głowę z jej objęć i, żeby sprawić Zenaidzie przyjemność, pocałowałem ją w szorstką rękę. Zenaida chlipnęła.

— Wrócisz na stałe, prawda? Już więcej nie odejdiesz? Nie będziemy się więcej kłócić? Prawda? Prawda?

Nie miałem ani siły, ani chęci odpowiadać odmownie i powiedziałem: — Tak!

— Tak! — powiedziałem niezbyt wesoło, ale z całkowitą szczerością. — Powziąłem decyzję. Czas z tym skończyć. Pisarza ze mnie nie będzie. Nic nie szkodzi. Dam sobie rady i tak. Znajdę posadę, zajmę się wychowaniem Pawelka... Nic nie szkodzi.

Chodziła koło mnie, jak gdybym był jakąś znakomitością. Dała mi czysty ręcznik, po czym wręczyła uroczyście szklankę mleka, zwykle przeznaczoną dla dzieciaka, żebym pokrzepił nadwątlone zdrowie.

— Kiepsko wyglądasz — zamartwiała się Zenaida. — Oczy masz jakieś mętne... Ale to nic, najgorsze już za nami...

Obiecała mi, że, poczynając od dziś, rozpoczynamy nowe życie, że nasz dom wypełni teraz jasność i radość, że będziemy chodzić do kina i teatru, a także, jeżeli chcę mieć jakieś męskie zachcianki, pozwala mi sprawić sobie myśliwską dubeltówkę, albo — jeszcze lepiej — żebym się zajął rybołówstwem. Jako ostateczność, dopuszczała myśl, że od czasu do czasu sobie podpiję, jak to się zdarzało w młodych czasach.

— Dobrze już, dobrze. Spóźnisz się do pracy — przypomniałem i dobroliwie klepnąłem ją po tyłku. Nieładna twarz Zenaidy zmarszczyła się w uśmiechu. Wydało mi się nawet, że wyładniała.

Kiedy wreszcie poszła do pracy, razem z Pawelkiem wymyśliśmy naczynia i zmiotli okruchy z ceraty.

— Opowiadaj, Pawelku, co robisz, co nowego komponujesz? — zapytałem go bez ogródek, zachęającym tonem.

Pawełek milczał ze spuszczonymi oczami.

— Nie bój się. Rozmyśliłem się. Pisz teraz, ile tylko zechcesz. Nie będę odbierał. Wszystko, co wtedy powiedziałem, to był żart. Masz to z powrotem...

Znalazłem w kieszeni zmięty papier, wyprostowałem i oddałem synowi. Ślady ołówka wyblakły, ale litery można jeszcze było odróżnić.

— Przepiszesz na czysto. Siadaj tu i pisz.

Ożywiony Pawełek włożył pod łóżko po swój albumik. Wybiła dziewiąta. Na wyższym piętrze rozległy się dźwięki trąby. Tamtejszy lokator, ledwie zbudziwszy się, rozpoczął pierwsze trele.

Wydobyłem z teczki paczkę czystego papieru. Ulokowałem się naprzeciwko Pawełka, rozścieliwszy gazetę na ceracie, żeby kartki nie przyklejały się.

— Tylko uważaj, nic nie mów mamusi!

Nie miałem chęci oszukiwać jej i łamać słowo. Uczciwie obiecałem skończyć z pisarską namiętnością, która przez tak długi czas sprawiła nam wszystkim tyle cierpień. I na pewno z nią skończę, ale przedtem napiszę ostatni utwór — wyśpiewam łabędzią pieśń. Tyle lat na to czekałem, do tego dążyłem. Łabędzia pieśń o samym sobie. O, nie, nie do druku. Niech chociaż syn to przeczyta. I na tym skończę...

Pawełek już przepisywał pozacierane gryzmoły.

— Pisz, Pawełku! Pisz! Bez obawy. Niech się z ciebie wyśmiewają, niech nazywają grafomanem. Sami oni — grafomani. Wszyscy dokoła — grafomani. Wielu jest nas, znacznie więcej, niż potrzeba. Żyjemy na próżno i umieramy bez pożytku. Ale ktoś z nas dojdzie do celu. Ty, ja, albo jeszcze ktoś inny. Dojdzie, dokona. Pisz, Pawełku, komponuj te bajeczki o swoich krasnoludkach. A ja o swoich... Wymyślmy we dwoje tyle bajek, że nie zliczyć. Tylko uważaj — mamusi o tym ani słowa.

Trębacz nad moją głową trąbił najgłośniej, jak potrafił, jak gdyby pragnął uniemożliwić pracę. Ale mój mózg działał teraz sprawnie, jak po długim śnie, a duszę wypełniało natchnienie. Wziąłem czystą kartkę i wielkimi literami wypisałem u góry tytuł:

G R A F O M A N I

Potem zastanowiłem się i dopisałem w nawiasie:
(Z opowiadań o moim życiu).

1960

W C Y R K U

...Znowu zagrzmiała muzyka, zapaliło się oślepiające światło i dwie siostry akrobatki, silne jak niedźwiedzie, odstawiły numer pod nazwą „taniec akrobatyczny”. Jeździły, jedna na drugiej, stojąc i głową na dół, wbijały czerwone obcasy w mięsiste ramiona, a rękami, grubymi jak nogi, i nogami grubości tułowia, wyczyniały najrozmaitsze wymyślne ćwiczenia. Od ich potwornie rozwalonych ciał waliła para.

Następnie na arenę wyskoczyła cała rodzina żonglerów, składająca się z męża, żony i czworga dzieciarni. Utworzyli w powietrzu budzącą trwogę ruchomą figurę, zaś główny żongler, ich tatuś i wychowawca, ustawił skosem oczy na własny nos, a do ust wetknął kij, zaopatrzony w niklowany dysk, a na dysku postawił butelkę z etykietką żygulewskiego piwa, na butelce szklankę, na szklance — najpierw parasol, potem półmisek i wreszcie na półmisku dwie karafki z prawdziwą wodą. Trzymał to wszystko w zębach na pewno przez pół minuty i niczego nie wypuścił.

Ale wszystkich przewyższył artysta, nazywany Presti-digitatorem, wielce inteligentny paniczek o zagranicznym wyglądzie. Był to ognisty brunet i przedział miał taki równiutki, jakby mu go wygrawerowano wzdłuż linijki elektryczną brzytwą. A poniżej — wąsy i wszystko, co mieć powinien: krawatka, lakierowane półbuciki.

Podchodzi z niewinną miną do pewnej pani i wyciąga jej spod kapelusika autentyczną białą mysz. Potem drugą, trzecią i tak aż do dziewięciu sztuk. A pani mdleje. Po-

wiada: „Ach, ach, już nie mogę wytrzymać!” — i żąda wody, żeby się uspokoić.

Więc jegomość podbiega do młodzieńca, siedzącego z prawej strony, i chwyta go za nos, ostrożnie, dwoma paluszkami, jak fryzjer. Wolną lewą ręką wyjmuje z kieszeni kieliszek i podnosi go w górę, pod światło, aby wszyscy mogli przekonać się, że jest całkowicie pusty. Następnie gwałtownym ruchem ściska nos młodzieńca, a z nosa leje się do kieliszka złocisty napój, gazowany, z soczkiem. Nie urońwszy ani kropki, uprzejmie podaje pani, a ta pije z rozkoszą, powiada „m e r c i ”, a wszyscy dokoła śmieją się i oklaskują w zachwycie.

Gdy tylko publiczność nieco uciszyła się. Prestidigitator wrócił na arenę i zapytuje grubym głosem tegoż młodzieńca, któremu wypuścił płyn z nosa:

— Odpowiadajcie, obywatelu, jak najszybciej, którą też godzinę pokazuje wasz zegarek!

Ten chwyta ręką za kamizelkę, a tam nic nie ma, zaś Prestidigitator z lekka natężył się i wypłuł na arenę jego złoty zegareczek. Następnie w ten sam sposób zwrócił różnym obywatelom — a to portfel, a to papierośnicę, a to znów, jakby od niechcienia, różne drobiazgi: scyzoryk, grzebyk — wszystko, co zdołał ściągnąć w czasie przedstawienia. Pewnemu staruszkowi ściągnął nawet książeczkę oszczędnościową, oraz intymne damskie utensylia, z tajnej, wewnętrznej kieszonki wyjął i wszystko zwrócił przy wtórze powszechnych oklasków, taki był z niego artysta!

Kiedy wszystko skończyło się i publiczność zaczęła wychodzić, Kostek poczuł się pokrzywdzony, że nie umie ani wywijać koźłów w kółko, ani jeździć na rowerze na raka, to znaczy, ręce na pedałach, a nogi na kierownicy i żeby skręcać we wszystkie strony. Na pewno nie potrafiłby nawet, bez uprzedniej praktyki, tak podrzucić czapkę, żeby ta przekreśliła się sama w powietrzu i spadła na łeb. Jedyne, co Kostek potrafił, to włożyć do ust papierosa ustnikiem do przodu i, nie sparzywszy się, spokojnie wypuszczać dym, niby parowóz albo statek z komina.

Ale taką nietrudną sztuczkę potrafił teraz robić byle sztubak, a przecież Kostek miał już dwudziesty szósty rok i wszystko mu się sprzykrzyło; ganiaj całymi dniami po ścianach, jak wariat, i wykręcaj przepalone korki, bez

żadnych innych przyjemności w życiu, prócz kina i dziewczynynek.

Wstał i ruszył ku wyjściu tym zdecydowanym, sprężystym krokiem, jakim w całym świecie chodzą jedynie sztukmistrze i akrobaci.

Okazja trafiła się od razu i akurat mężczyzna odpowiedni: szuba na futrze, rozpięta na całą szerokość. Zatarasował główne wyjście niezmiernie rozłożystą postacią i mówił do kogoś, nie wiadomo do kogo:

— Prawdziwą akrobatkę należy oglądać rozebraną. I to nie w cyrku, lecz w mieszkaniu, na obrusie, wśród ananasów...

Jego błękitne oczy, iskrzące się zielono, utkwione w oddali, nie zwracały na Kostka najmniejszej uwagi. A ten właśnie ugrzązł w najbardziej odpowiedzialnym miejscu, w drzwiach, w środku ludzkiego potoku, akurat naprzeciw jęgomocia. Jeden drugiego popychał i ostatecznie tak się ze sobą pomieszał, że trudno było odróżnić, gdzie kostkowy klient, a gdzie sam Kostek. Zaś szuba jeszcze gwałtowniej rozchyliła swoje puszyste wnętrze, rozpięły się kłapy wypiersionej marynarki, a wszystko wydarzyło się niby jakaś zręczna sztuczka, bez żadnej ludzkiej interwencji...

Mój oddech zamiera, puls przenosi się w palce. Cichuteczko tykają do taktu z sercem, które omijają, sercem, bijącym w cudzej piersi, obok wewnętrznej kieszeni, a ono spokojnie wskazuje mi na dłoń, nie podejrzewając podstępny, nie domyślając się mojej podnieconej, zewnętrznej obecności. I oto jednym skinieniem ręki dokonywuję cudu: gruba paczka banknotów przelatuje jak ptak powietrzem i układa się pod moją koszulą. „Pieniądze wasze stały się nasze!” — jak śpiewają w piosence, i na tej bajecznej przemianie polega cała sztuka.

Pieniądze ogrzane są twoim ciepłem, drogi towarzyszu, a pachną delikatnie i aromatycznie, jak dziewczęca szyja. A ty wciąż jeszcze pysznisz się nimi, choć już ich nie posiadasz, i wypinasz pierś z pustą kieszenią, opowiadając o akrobatce, i śmiejesz się, za wczasu smakując, i smakujesz nadaremnie. Bo to ja zamiast ciebie pojadę tak-sówką „Pobieda” do restauracji „Kijów” i zjem twoje sardynki i wypiję wszystkie kieliszki koniaku, i zamiast ciebie będę całować twoje kobiety — i to na twój własny rachunek, a z całą moją satysfakcją. Nie okażę się skąpy

i, jeżeli spotkamy się w restauracji napoję ciebie aż się spijesz i nakarmię aż potąd, tym samym jadłem, któregoś sam nie potrafił zjeść na czas. Pomyślisz, że jestem jakimś pisarzem, artystą, zasłużonym mistrzem sportowym. A ja jestem po prostu i tylko sztukmistrzem — prestidigitatorem. Poznajmy się. Cześć!

Już na ulicy, w mroku, Konstanty podniósł kołnierz i dopiero wtedy przywrócił ruchliwość mięśniom twarzy. Słuchały go niechętnie i były jak gdyby z gumy; jeśli uderzyć pięścią, odskoczy. Konstanty manipulował ustami w kierunku uszu i z powrotem, aż przywrócił twarzy jej poprzednią łagodność. Wtedy zapalił papieroska, wsadził go palącym się końcem w usta i poszedł, puszczając dym z komina, ku najbliższemu postojowi taksówek.



Odtąd Konstanty Piotrowicz rozpoczął nowe życie. Wpada między jednym a drugim interesem do restauracji „Kijów” i ledwie przekroczy próg, z głębi już nadbiegają wyczupirzeni kelnerzy, wykrzykują ostrymi głosami, rozlegającymi się jak wystrzały karabinowe:

— Szanwan! Szanwa’a! Szanwa-an!

U każdego nad głową taca, obracająca się bez przerwy, a na niej różne wina — czerwone, białe, a jest nawet i „Różowy muszkat”. Jednym słowem, cała gama kolorów do pańskiej dyspozycji. Konstanty Piotrowicz.

— O, nie — mówi Konstanty Piotrowicz znużonym głosem i rączką delikatnie ich odsuwa — stanowczo powstrzymuje się. Czuję się źle i niczego mi w życiu nie potrzeba. Dajcie mi tylko wódki — żeby była z białą główką — 275 gramów i mikroskopijną kanapeczkę z atlantyckim śledziem. Ale nie dawajcie czarnego chleba do kanapeczki, dajcie białą pszenną bułeczkę z rodzynkami i żeby rodzynki były jak najgrubsze...

Natychmiast kelnerzy — a jest ich trzech — odkorkowują kolorowe butelki, strzelają w powietrzu z serwetek, polerują kieliszki i puchary, aż nabiorą zwierciadlanego połysku, jednocześnie obmiatając kurz z bucików o wyostrzonych szpicach.

A gdy dla porządku wypijesz owe 275 gramów, wszystkie uczucia twej duszy napinają się do ostatniej granicy.

Wyraźnie rozróżniasz śliskie zgrzytanie noży, od którego ćmi w zębach i wstrząsa się stos pacierzowy, dzwonienie kieliszków, nalanych do różnej wysokości, i monotonne przyspiewy mężczyzn: „Na zdrowieczko! Z przyjazdem! Za nasze spotkanie! Z przyjazdem!” — i zaciekawione śmiechy kobiet, które na coś wyczekują, nieustannie wiercą głowami i poprawiają się nerwowo, jak przed weselem.

W grymasach kelnerów przebija się małpia zręczność. Skaczą między rosnącymi tu wszędzie jak w Afryce palmami w kadziach, przerzucają jeden drugiemu blaszane naczynia z dymiącym barszczem, albo, chyląc się nad stolikiem, jak nad bilardem, krótkim, gwałtownym ruchem nalewają do szklanek co kto sobie życzy.

Gdy krajobraz rozochoconej restauracji otwierał się nagle i wyraziście przed spojrzeniem Konstantego Piotrowicza, gdzieś w głębi duszy, w samym rdzeniu grzbietu odczuwał on słodkie, przeszywające drżenie, od którego jeżyły się włosy. Tak jakby szedł po linie na wysokości czterystu metrów, a chociaż ściany chwieją się, grożąc zawaleniem, jego krok jest sprężysty, lekki i równomierny, prosto, prosto przed siebie. Publiczność zamieniła się w jedno spojrzenie i ma do ciebie zaufanie, jak do Pana Boga: — Kostek, trzym się! Konstanty Piotrowiczu, nie nawal, pokaż im, gdzie raki zimują!

Musisz, koniecznie musisz coś im pokazać: jakieś salto mortale, czy zadziwiającą sztuczkę, albo po prostu znaleźć i wypowiedzieć jakieś słowo, jedyne w życiu, po którym cały świat stanie do góry nogami i w mgnieniu oka przejdzie w nadprzyrodzony stan. Serce trzepie się w piersi, jak ptaszek w klatce, dusza rozrywa się na strzępy z miłości i żalu, a ty dolewasz i dolewasz jej winą, aby przedłużyć udrękę, aż wreszcie podniesiesz się na całą wysokość nad zapługawionym parkietem i hukniesz na całą Europą:

— Ach, ty! Mac twoja była, taka owaka!

Wypowiedziawszy się, Konstanty Piotrowicz miał zwyczaj uspokajać się, a raz uspokojony, zapraszał do stolika każdego, kto sobie życzył, aby ugościć go na swój koszt i serdecznie z nim pogwarzyć. Najczęściej przysiadł się pewien smutny pan, niemłody już i skromnie ubrany, zresztą żydowskiego pochodzenia, chociaż alkoholik. Zachował on na wychudłej piersi, na dowód wyższego wykształcenia, szlachetnego motylka niebieskiego koloru. Na-

zywał się Salomon i zwykle siadywał w ciemnym kącie, pod palmą, cierpliwie czekając, aż go zaproszą, gdyż pieniędzmi nie rozporządzał, zaś do restauracji puszczano go, żeby sobie trochę posiedział, głównie z uwagi na kulturalny wygląd.

— Więc to tak, Salomonie Mojżeszowiczu, wyście człowiek wykształcony, a ja nawet czwartej klasy dobrze nie ukończyłem, więc odpowiadajcie bez zwłoki: gdzie jest istota rzeczy? I żeby tę istotę zamknąć w jednym jedynym słowie...

Salomon marszczył brwi, przypominając sobie to wszystko, czego się uczył w różnych zakładach naukowych.

— Istota zjawiska... zjawiska... pojęcie... — mówił jękając się i nie był w stanie przypomnieć sobie nic więcej.

Wówczas, aby go rozochocić, Konstanty Piotrowicz stawiał mu kielicha, ale nie więcej niż 150 gramów, gdyż Salomon Mojżeszowicz mógłby utracić podobieństwo ludzkie, a wtedy już by się nie nadawał dla serdecznej pogawarki.

— No, już dobrze, wypieś, a teraz weź na wstrzymanie! Pogadaj ze mną, jak człowiek z człowiekiem. Odpowiadaj: dlaczego ja jestem łobuz i pijak, a nie wstydzę się tego życia ani odrobinę? Nie, ty mi powiedz, dlaczego rosyjski człowiek zawsze stara się coś ukraść? Ukraść i wypić. Skądże taka potrzeba duszy u rosyjskiego człowieka?

Na takie pytania Salomon Mojżeszowicz umiał odpowiedzieć naukowo i, nieśmiało gryząc ogóreczek, cofał się w poszukiwaniu pierwotnych przyczyn aż do czasów tatarskiej niewoli, gdy rozpowszechniły się na rosyjskiej ziemi karczmy i więzienia; wszystko na skutek kulturalnego zapóźnienia.

— Na przykład, w Anglii, wy Konstantynie Piotrowiczu bylibyście wynalazcą... Albo posłem do parlamentu... ministrem bez teki...

Adamowe jabłko, nazbyt wystające, błąkało się po wychudłej grdyce, oczy rzucały na sufit markotne, cudzoziemskie spojrzenia. Ale dotrzeć do samego sedna życia jednak i tak nie potrafił. I czyż taki Salomon Mojżeszowicz jest w stanie zrozumieć duszę rosyjską?! Wprawdzie stał się alkoholikiem ze swoich własnych, narodowych powodów, ale jakąż tam Anglię, czy Belgię mógłby zapropono-

wać w zastępstwie i jaką tam wolność prasy? — także nie wiadomo...

— A ot ja twój brytyjski skarb obrabuję! I przepiję wszystko, przegram co do grosza! Duszę, duszę po co mi dali? Ja ciebie o duszę pytam, judaszowe twoje nasienie, a ty mi pieskie łajno ofiarowujesz!

Ale Konstanty Piotrowicz nigdy go nie bił, a przeciwnie — ugaszczał dodatkowo, podwajając i potrajając poczęstunek, a to wszystko za to, że Salomon miał talent do rozmowy. Inny naćka się za twoje pieniądze i jeszcze próbuje swój cały życiorys opowiedzieć od samego początku. A ty nawet jednego słówka nie wstawiasz. Ten zaś pospiera się, kiedy trzeba, i w zamyśleniu się pograża. a kiedy indziej siedzi i milczy współczująco.

Zdarza się czasem, że Konstanty Piotrowicz wpadnie w zdenerwowanie i — w płacz, tak szlocha, tak zanosi się łkaniem, w żaden sposób uspokoić się nie chce. Cały czas opowiada o swoim nieszczęśliwym życiu, wspomina starą mamusię, która — o trzy kroki stąd — leży na metalowym łóżku i z głodu umiera, a on nikczemnik, zamiast biec do niej i zanieść środki na leczenie, tkwi w knajpie i pieniądze do ostatniej kopiejki przepija z najgorszą zdyrą.

Salomon Mojżeszowicz słucha i słucha, i tylko wzdycha milcząc. A chociaż wie dokładnie, że Konstanty Piotrowicz nie ma żadnej mamusi i że to wszystko umysłowa zabawa, wynaleziona aby swój smutek pogłębić, nigdy mu nie perswadował, no, bo każdy przecież jest człowiekiem i rozumie, że każdy człowiek miewa pragnienie, żeby siebie samego nikczemnikiem mianować. A gdy smutne przeżycia powodowały, że Konstanty Piotrowicz zaczynał czać i bić główką o stół, o krzesło i co tam jeszcze było w pobliżu wtedy brał go pieścizotliwie za ramię i mówił:

— Nie zamartwiajcie się, Kostusiu. Wypijmy-no lepiej. I przejdźmy czym prędzej do mniej smutnych tematów. Na przykład, już dawno nie mówiliśmy o Bogu. Wy jak uważacie — Bóg istnieje?

Po takim żarciku Salomona Kostek przestawał płakać i stopniowo przechodził w śmiech, rozumiejąc, że to delikatna aluzja, iż na świecie nie ma ani bogów, ani diabłów, chociaż byłoby bardzo wesoło, gdyby istnieli.

Zdarzało się, że Kostek zaglądał do cerkwi. Lubił oglądać wszelkie cuda, wyrysowane na suficie i na ścianach w akrobatycznych pozycjach. Zwłaszcza spodobało mu się, kiedy pewien sztukmistrz przebrał się za nieboszczyka, a potem wyskoczył z trumny i wszystkich zadziwił. A ktoś inny — mówiąc nawiasem tej samej narodowości co Salomon Mojżeszowicz — zdradziecko go zadenuncjował, ale sztukmistrza nie złapali, a za to złapali owego zdrajcę — Judasza i żywcem przybili gwoździami do cerkiewnego krzyża.

Cieszył się Salomon Mojżeszowicz, wysłuchując tych historii i ciągle powtarzał z zachwytem, że cerkiew wywodzi się z cyrku i że dla rosyjskiego narodu najważniejsza rzecz to sztuki i cuda.

Ale bardziej niż do cerkwi lubił Konstanty Piotrowicz chodzić do parowej łaźni Sandunowa, do rodzinnych pomieszczeń. Tam puszczają tylko małżeństwa i żądają legitymacji, jako dowodu, ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności Kostek miał tam przyjaciela wśród służbowego personelu, inwalidę z Ojczyźnianej wojny, imieniem Loszka, i ten wszystko tak urządzał, że mógłbyś się kąpać choćby z generałową, byle bez awantur.

Dzięki tej znajomości kąpał się Konstanty Piotrowicz kawalerskim sposobem z Tamarą i takie numery w tej łaźni wyczyniali, że i w bajce nie opowiedzieć i piórem nie opisać. Opowiadaj, komu chcesz — nikt nie uwierzy. Chociaż każdy zazdrości.

— Pobawimy się, czy jak? — pytał Tamarę, zamykając drzwi na zasuwkę.

— Pobawimy się — mówiła Tamara najzwyczajniejszym głosem i tylko kręci pleckami.

I po zrzuceniu ubrania — z majteczkami i gatkami włącznie — zaczynali pokazywać różne rzadkie sztuki. Konstanty Piotrowicz bardzo zabawnie wieszał sobie między nogami metalowy szkopek i bił w niego jak w bęben, a Tamara wykonywała tańce ludowe. Czerwona jak malina, zadyszana, pokryta srebrzystą pianą, skakała po łaźni, w której było gorąco, jak w Afryce, a on gonił za nią, brzęcząc żelazem, i wyglądali jak diabli w piekielnej parze, albo jak czerwonoskórzy Indianie, którzy naprawdę istnieją i chodzą na golasa, nie krępując się nikogo.

A gdy Tamarze uprzykrzało się tak paradować bez żadnej korzyści, Konstanty Piotrowicz wynajdywał inne rozrywki. To ją zimną wodą obleje, albo zamiast pocałować mydłem nakarmi, albo dla śmiechu zużyje wskazujący palec z drugiej strony, albo znowu chemiczny otówek wsadzi w charakterze niespodzianki.

Kochająca Tamara pozwalała mu na wszystko. Tylko na jedno nie zgadzała się: na śmiech w niewłaściwej chwili, gdy zabawiający się wpadali w zapał i zaczynali funkcjonować jedno z drugim ze straszliwą siłą.

W takich chwilach Konstantemu Piotrowiczowi zbierało się na śmiech. Tamara, gryząc wargę, groziła mu różowymi oczami. Jej gorąca, ciemna twarz wydawała się rozścieszona.

— Milcz! — szeptała. — Milcz! Nie waż się śmiać!

A potem, rozwalona obok, stawiała się znowu powolna i pierwsza zaśmiewała się ze wszystkiego, co było. Przed i po — śmieję się, ile wlezie, ale podczas — ani, ani.

— To grzech, wielki grzech! — zapewniała z przekonaniem Tamara. Ale wytłumaczyć swoich kaprysów nie potrafiła.

— Tak, tak! To właśnie tak! — krzyczał Salomon Mojżeszowicz, który systematycznie upijał się w trakcie opowiadania. Przy końcu miłosnych zachcianek Konstantego Piotrowicza bywał już porządnie zalany.

— Grzech! Nie przekraczaj! — krzyczał w zapale. — W zabawie nie ma granic! Nie zabijaj! Nie zabijaj! Bóg! Szatan! „Śmieję się, pajacu, nad twą miłością strzaskaną...”

Jakby urwany z łańcucha, mówił dużo i bzdurnie o tajemniczym charakterze rosyjskim, szarpał monstrualną grdyką, niesłychanie wzburzony, mówił o zagadkowej naturze kobiety. Wszyscy wiedzieli, że przed trzema laty od Salomona uciekła żona, rozpustna rosyjska baba, okradłszy go uprzednio, przy czym okryła go hańbą z szesnastoletnim fryzjerem, Gennadjem. Miał podstawy, aby znać i bać się kobiet. Ale cóż on mógł zrozumieć z rosyjskiego, narodowego charakteru, ten cały Salomon Mojżeszowicz?



Inwalida wojenny Loszka miał wartościowe powiedzonko: „Saper popełnia pomyłkę tylko jeden raz”. Loszka

wypróbował praktycznie celność tego ludowego powiedzenia: faszystowska mina urwała mu pod Berlinem prawe ramię.

Ale popełniony błąd i kalectwo nie do odrobienia nie nauczyły go niczego dobrego i oto któregoś dnia bezręki Loszka powiada do Kostka:

— Czy wiesz, Kostuś, czy nie wiesz, że posiadam indywidualne mieszkanko złożone z trzech pokoiów z balkonem i z wszelkimi wygodami? Przed trzema dniami gospodarz wyjechał w służbową podróż do miasta Tallina, a gospodyni przebywa na lotnisku ze swym synem Wowoczką, który od urodzenia cierpi na krzywicę i z tej racji powinien stale oddychać świeżym powietrzem. Zaś niańka Wowoczki, przystosowana do pilnowania majątku, odkąd została sama jedna, aż do świtu zabawia się z chłopakami z tramwajowej remizy, więc dlaczego nie miałyby pójść do tramwajarzy na nocną zmianę również i dziś, jak ty uważasz?

— Doskonale rozumiem waszą politykę zewnętrzną — mówi Kostek — ale traktujecie mnie nazbyt już wulgarnie. Miewam do czynienia z żywymi istotami, zaś włożenie do zamkniętych okien nie wiadomo na którym piętrze, to przeczy moim zasadom. A w ogóle, czyż to wartościowe zajęcie twoje mieszkanko z balkonem? Przyniósłbyś lepiej żygulewskiego piwa do łaźni.

— Przestań odstawiać komedię, Kostuś, i nie udawaj artysty — powiada mu Loszka rozdrażnionym głosem. — I nie obłapiaj przy mnie Tamary dwiema rękami naraz. To nawet staje się nieprzyzwoite. Naciągaj portki i uderzmy w pomyślunek. Saper popełnia pomyłkę tylko jeden raz.

Tak to sobie gwarzyli do późnego wieczora, a kiedy zamknięto Sandunowskie łaźnie, zabrali Salomona Mojżeszowicza, żeby stał na porucie, a także — na wszelki wypadek, w rodzaju pożaru — zagraniczny browning, uniesiony przez Loszkę z pola bitwy podczas Wielkiej Ojczyźnianej wojny, i poszli bez zwłoki na to miejsce, gdzie było dla nich zarezerwowane mieszkanko z wszelkimi wygodami.

Więc znajduje się ono, to trzypokojowe mieszkanko, na drugim piętrze, nabite aż po sufit drogimi rupieciami — gabardinowy materiał i trykotaże, a jeszcze dwa garnitunki cudzoziemskiej roboty, i jeszcze skórzany płaszcz czekola-

dowego koloru, zwany „raglanem” — jest tam i śmieje się kpiąco. Wszystkie drzwi, okna i nawet lufki pozamykane na podwójne spusty, a obecności jakiejś dziury, czy choćby szczeliny stwierdzić nie można. Powstaje naturalne pytanie: jak się tam dostać?

Rozumie się, zadziwiła was ta sytuacja bez wyjścia i wyrwacie sobie włosy i już jesteście gotowi w głupi sposób, najbardziej banalną drogą działać przez okno, z nie-
możliwym szumem i trzaskiem? A właśnie że nie, nie zgadliście i nigdy w życiu nie potraficie rozstrzygnąć tego zadania.

Istnieje jednak na świecie, mówiąc sekretnie, pewny instrument, po rosyjsku — „wytrych”. Jeśli się go posiada, żadne drzwi nie są straszne. A jeśli chodzi o kłódki, pożyteczna jest kolekcja kluczy na każdy życiowy wypadek.

A cisza taka, braciszku, dokoła, że aż płakać się chce.

— Zaciągnij rolety, bo widać z ulicy — rozkazał Konstanty jednorękiemu Loszce i pokręcił rewolwerem.

— Raglan będzie dla mnie i laseczka także samo!

Bardzo mu się podobała gałka u laseczki, rozdzielona na dwie połówki, zupełnie jak baleron, tyle, że w znacznie mniejszym rozmiarze. Spacerujesz z taką laseczką po trolejowej i ciągle obmacujesz gałkę, można także dziewczętom pokazywać przy pierwszej znajomości, żeby rozśmieszyć i zawstydić. Taką rzecz obowiązkowo trzeba mieć przy sobie, w domu i na spacerze.

Nagle Kostek poczuł: w sąsiednim pokoju śpi ktoś niespodziewany. Zagląda i widzi na pościeli — myślicie, kogo? gospodarza? — nie! gospodynię? — także nie! śpiącą niańkę w jednej koszuli? — to byłoby bardzo dobrze, ale znowu — nie! i jeszcze raz nie! i znowu pomyliliście się! — Kostek widzi znanego już nam paniczka z przyjemnymi wąsikami, ale bez krawatki i bez przedziałka. To znaczy, owszem, przedziałek wisiał osobno na oparciu krzesła, jak szmata, a obok ustawione porządne lakierowane półbuciki, a więcej ani żywego ducha.

Najprawdziwszy prestidigitator z prawdziwego cyrku chrapał na całe gardło na gospodarskim łóżku, albo też udawał, że chrapie, a sam przygotowywał się do skoku.

Jak się okazało później, prestidigitator — z jego łysym łbem! — ukrył się poprzedniego dnia u przyjaciela z dzie-

ciństwa, aby odpocząć od rodzinnych obowiązków, i zamiast tego trafił w nocną manipulację Kostka, ku wzajemnemu niezadowoleniu, powodując tragiczny epilog.

W owej kulminacyjnej chwili Kostek nic o tym nie wiedział, natomiast mocno rozczerowało go niespodziewane zjawienie się gościa, którego magiczną zręczność dobrze poznał, jako że co niedzielę odwiedzał państwowy cyrk. Ten magiczny sztukmistrz mógłby gołymi rękami każdego unieszczęśliwić i okraść, więc Kostek skierował ognistą broń przeciw swemu nauczycielowi, aby mu, w razie gdyby się zbudził, nie przyszło do głowy zastosowanie jakiegoś tricku.

— Ciszej operuj w komodzie — rozkazał Loszce szep-tem. — I nie zapominaj: laseczkę z gałką w kształcie tyłka zachowuję dla siebie.

Czy od tych słów, czy z innego powodu, dość, że Prestidigitator otworzył oczy, te zrobiły się od razu okrągłe, i zanim Kostek zdążył go uprzedzić — „Spokojnie, bo cię zastrzelę!” — rozdarł się na cały głos, w bardzo nieprzyzwoity sposób:

— Na pomoc! Mordują!

W większości wypadków mężczyźni pod wymierzoną w nich lufą rewolweru podnoszą ręce do góry i milczą jak zaczarowani. Kobiety zaś — wbrew rozsądkowi — piszczą i rzucają się, a nawet, zdarza się, gryzą, ale im także można po swojsku wyjaśnić sytuację, a wtedy, by przedłużyć życie, zaczynają płakać w poduszkę.

Tym razem jednak Kostek trafił na prawdziwego łotra, który nie zwracał żadnej uwagi na lufę zagranicznego browninga. Oczy mu wylazły na pół twarzy, spełznął na podłogę z łóżka i tak, jak był, w zupełnym oszołomieniu, całą swoją niepowabną istotą śmignął ku drzwiom balkonu. Szyba rozleciała się na drobne kawałki i przez całą ulicę, nad trwającymi w spokoju dachami przetoczyło się wielokrotnym echem:

— Na pomoc! Na pomoc! Mordują!

Pragnąc skończyć z tym oburzającym i działającym na nerwy skandalem, Kostek, prawie płacząc, strzelił mu w plecy pomiędzy anemiczne łopatki i to właśnie była fatalna pomyłka Kostka, a jak wiadomo, towarzysze, saper popełnia pomyłkę tylko jeden raz. Bo jeśli wnikać w istotę rzeczy, nie należało strzelać, ani niebezpiecznie hałasować,

tylko rąbnąć Prestidigitatora w obnażone ciemną jakimś ciężkim przedmiotem, na przykład rękojeścią, i po ogleśnieniu krzykacza kontynuować przegląd lokalu, już bez zbędnej wrzawy.

Zamiast zadziać stanowczo, Kostek lekko przycisnął palcem spust i wstrętna niemiecka sprężyna sama zrobiła swoje — tyle tego i było. Tylko tyle, a jednak Prestidigitator z miejsca wyraźnie przycichł. Już nie krzyczał, tylko w ustach mu bulgotało, a w krtani jakieś dudnienie i bełkot, starannie wyprowadzane, przeciągłe, ochryple trele, zawiła sztuka płukania gardła na wysokich i niskich rejestrach.

Początkowo wydawało się, że gdy skończy wykrzykiwać się dla pucu, usiądzie na podłodze i oświadczy wszystkim wobec, że oszukał, aby ich wystraszyć. Ale widocznie, artysta lubił występy gościnne i, natchniony wystrzałem Kostka, grał teraz swoją główną rolę, zamieniając się cudownym sposobem w umarlaka, świadomego przewagi nad pozostającymi wśród żywych. Jego twarz oddalała się płynnie jak żaglowa łódka, stała się naturalnie wyniosła, jak głaz i twardniejąca woda. Umarł niepostrzeżenie, nawet nie mrugnawszy znacząco, zostawiając Kostka skonfundowanego odstawioną sztuczką, której autorami byli obydwaj w równej mierze.

Zjawienie się Salomona Mojżeszowicza popsuło spektakl. Salomon uczciwie stał na porucie w jakiejś ciemnej i wilgotnej bramie, a teraz przybiegł do mieszkania, ciężko dysząc, bo miał naciśnięcie, żeby ostrzec towarzyszy o grożącym niebezpieczeństwie: pobudzili się dozorczy, zaalarmowano czuwających milicjantów.

— Po co ten hałas, Konstanty Piotrowiczu? — powiedział z rozpaczą, nie dostrzegając niczego dokoła. — Przecież uprzedzałem: trzeba było zachować ostrożność. Pistolet może wystrzelić nawet bez naciśnięcia cyngla, od zwykłego kołysania się powietrza...

Kostek nie spierał się. W drzwiach dwóch tęgich dozorców wykrcęło do tyłu jedyną rękę Loszki. Loszka broił się nogami i mówił:

— Puście, wy, gady!

Rozumiejąc, że wszelki sprzeciw nie ma sensu, Kostek podniósł ręce, ale nie mógł jednak powstrzymać się od małej satysfakcji: wszystkie ładunki, które były w browningu, wywalił w sufit, zostawiając po sobie w ten sposób

dobrze, wesołe wspomnienie. Milicjanci padli na podłogę, a następnie rzucili się do Kostka i szybko go rozbroili. Tak to zostało zatracone młode życie Konstantego Piotrowicza, w rozkwicie urodę i zdrowia.

Co prawda, zanim nastąpił smutny finał, dał on jeszcze piękne widowisko przed trybunałem, przy tłumnym udziale publiczności. Trafił, jak być powinno, na surowego prokuratora, który zażądał dla Konstantego Piotrowicza najwyższego wymiaru kary, przez prawdziwe rozstrzelanie. Obrońca, także nie patykiem robiony, ze wszystkich sił podkreślał okoliczność łagodzącą, to jest słabą inteligencję oskarżonego. Spojrzenia wszystkich mężczyzn i kobiet były przykute do Konstantego Piotrowicza, który, stojąc na środku areny, przeżył wiele cudownych chwil, gdyż miłość własna zazdrosnego o swoją sławę artysty była mile połączona.

Sąd skazał Konstantego Piotrowicza na dwadzieścia lat pozbawienia wolności, oraz na konfiskatę całego, ruchomego i nieruchomego majątku. Raglan i ukochaną laseczkę stracił znacznie wcześniej. Uniknąwszy rozstrzelania, Kostek niezbyt przejmował się długoterminowym wyrokiem.

Loszka i Salomon Mojżeszowicz dostali po dziesięć lat.



Pewnego pięknego poranku, Kostek szedł bez pośpiechu do pracy, w szeregu ludzi tak samo, jak on, skrzywdzonych przez los. Ręce mieli skrzyżowane na plecach — symbol utraconej wolności i wymuszonej pokory. Dokoła fruwały ptaszki — swobodni mieszkańcy tego kraju, odurzająco pachniały kwiaty, trawy i krzewy. Wszędzie unosił się lekki, przezroczysty puch dmuchawców. Po stronach wlekli się nieliczni konwojenci, paląc duże skręty, i potykali się, znudzeni i świadomi własnej marności.

Nagle na tle tego spokojnego krajobrazu powstał jakiś zamęt. Stary konwojent rzucił ustnik z niedopaloną cygarką i zaczął wrzeszczeć przestraszonym głosem:

— Stój! Stój! Zastrzelę!

Ale Kostek już leciał nad pagórkami i kępami, odpychając się żyłastymi nogami od miękkiej ziemi. Spokojny wietrzyk pieścił jego ożywione oblicze. W oddali fioletował las — odwieczne schronisko zuchwałych zbójów.

Kostkowi przywidywała się przestrzeń, zalana elektrycznym światłem, i kilometry lin, rozpiętych pod stropem wszechświatowego cyrku. Im bardziej oddalał się od startu, tym większa radość i wzburzenie ogarniały jego duszę. Zapanowało nad nim uczucie, podobne do natchnienia, był w takim stanie, gdy każda żyłka pręży się i podnieca, i podniecając się, oczekuje napływu tej wspaniałomyślnej nadprzyrodzonej siły, która nagle rzuci człowieka w powietrze, w potężnym skoku, najwyższym i najlżejszym skoku całego zbyt lekkiego życia.

Coraz bliżej, coraz bliżej... Zaraz nim rzuci... zaraz pokaże im wszystkim...

Kostek skoczył, przekręcił się i, uczyniwszy tak długo oczekiwane salto, upadł na ziemię twarzą w dół, przestrzeloną głową do przodu.

1955

TY I JA

A tylko sam Jakób został. A oto biedził się z nim
mąż aż do wejścia zorzy...

Genesis, XXXII, 24.

I.

Cała ta historia wyglądała od samego początku dość dziwnie. Pod pretekstem srebrnych godów małżonków Graube, Henryk Iwanowicz zaprosił do swego mieszkania czterech kolegów biurowych, a w ich liczbie ciebie, przy czym tak się przy zaprosinach upierał, jak gdyby twoja obecność stanowiła główną troskę całego towarzystwa.

— Obrażę się śmiertelnie, jeżeli nie przyjdziecie! — powiedział z naciskiem i nastawił na ciebie oczy, podobne do wypukłych soczewek.

W jego oczach hipnotyzująco drgały lodowate iskierki żrenic.

Uprzejmie wyraziłeś swoją zgodę, rozumiejąc, że nie należy przedwcześnie okazywać podejrzeń, gdyż w przeciwnym razie Graube domyśli się wszystkiego i przedsięwzięcie środki, przez ciebie nieprzewidziane i na pewno obmyślane jeszcze chytrzej. Więc nawet pogratulowałeś mu w związku z tym fikcyjnym jubileuszem. Nie wiedziałeś, po co cię zaprasza, ale złe przeczucie targnęło twoim sercem.

I rzeczywiście: ledwo-ś wszedł, goście pozeskakiwali z krzeseł, na których przyczaili się, oczekując twego zjawienia się. Dwaj twoi koledzy biurowi — Łobzikow i Polanski — dali sobie radośnie znak oczami.

— A oto on!

— Czas zaczynać!

W ten sposób obydwaj zdradzili się ze swymi podstępными planami, więc gospodarz, Henryk Iwanowicz, musiał dać hasło do siadania do stołu, aby zatrzeć ślady. Nie dałeś po sobie poznać, że właściwie zrozumiałeś groźbę, zawartą w tym zdaniu — „Czas zaczynać!”. Tak jakby w owym zdaniu, które niechcący wymknęło się jednemu z pomocników Graube, nie tkwiło nic podejrzanego, a jedynie niewinny świąteczny zamiar: picia i jedzenia.

— Wzniesmy nasze kieliszki! — zawołałeś bardzo głośno i według możliwości wesoło. — Oby w ślad za srebrnymi godami przyszły złote! Hurr-ra-aa!

Wszyscy trącili się wzniesionymi kieliszkami. ty zaś wykorzystałeś sytuację i w sprzyjającej chwili, gdy wszyscy, utkwivszy oczy w suficie, wychylali płyn za zdrowie Henryka Iwanowicza Graube i jego rzekomej małżonki, chlusałeś wódką pod stół.

Tak! — w tym towarzystwie żona i gospodyni nie była ani jedną, ani drugą, lecz podstawionym figurantem. Najprawdopodobniej był to przebrany mężczyzna. Umyto go, upudrowano, wypomadowano i puszczono w charakterze mężatki z dwudziestopięcioletnim stażem. Ten fakt wyjaśnił, dlaczego Henryk Iwanowicz z takim obrzydzeniem pocałował ją — a raczej jego — w podstawione, muskularne wargi. Niby na dowód, że rodzinne szczęście... Nie było poświęcenia, którego nie zrobiliby ci ludzie, byle by schwycić ciebie w sieci i zgubić!

Samych butelek było tam wartości jakichś 280 rubli, nie licząc pieczonych kaczek, grzybów, jesiotra. A na deser był jeszcze, zapewne, orzechowy tort, ciasta różnego rodzaju, cukierki — w najgorszym wypadku — owocowe, cena dwadzieścia dwa ruble, nie taniej. A masło? Cukier? Pieczywo?

W sumie co najmniej osiemset rubli. Albo nawet — dziesięć tysięcy, jeśli się weźmie pod uwagę, że mężczyznom, pełniącym damskie obowiązki (żony Łobzikowa i Polanskiego także na pewno podstawione), trzeba było sprawić suknie i wszelkiego rodzaju pachnące fidrygałki, chociaż bielizna własna, fasowana, a może nie, może właśnie także kupiona, różnokolorowa, z koronkami; że to o cał-

kowite prawdopodobieństwo chodziło, na wypadek, gdyby trzeba było kokieterię uprawiać.

Tak więc cała ta poważna suma w wysokości piętnastu tysięcy rubli została podjęta w bankach wyłącznie z powodu twojej osoby. Obliczając wydatki, poczułeś się nawet dumny, ale nie zapominałeś ani na chwilę, że skoro kosztorys już został zatwierdzony i pieniądze upłynniono, sprawa twoja stoi kiepsko.

Goście zjadali gwałtownie, postukując nożami i widelcami, i za pośrednictwem tych dźwięków utrzymywali sekretną łączność według zaszyfrowanego kodu, czegoś w rodzaju alfabetu Morse'a. „Czas zaczynać! Czas zaczynać!” — niecierpliwie wystukiwał Polanskij, który już dawno ciebie znienawidził, gdyż zgodnie z odgórną decyzją zwierzchnictwo podniosło ci pensję, a jemu nie podniosło, co było całkowicie słuszne.

Łobzikow — przyjaciel Polanskiego, na zasadzie przysłowia „noga nogę wspiera, ręka rękę myje” — chwycił w obie ręce wielką porcję kaczki i wygryzł jej bok, dając do zrozumienia swym postępowaniem, że i ciebie czeka dosłownie to samo. Po otrzymaniu tej wiadomości, goście, cmokając otłuszczonymi wargami, zgodnie uderzyli nożami w talerze: „Dosięgnie go! Dosięgnie!”. Ale Henryk Iwanowicz Graube, który przewodniczył spiskowcom, pokiwał leciutko głową i w zamyśleniu przytknął do ust kieliszek, połyskujący niedopitym płynem. W ten sposób dawał do zrozumienia, że należy odczekać jeszcze jakieś pół godziny, aż podpiszesz sobie, jak należy, i utracisz zdolność obserwowania.

To właśnie wtedy Wiera Iwanowna Graube, a ściślej — mężczyzna, uszminkowany tak, by wydawał się Wierą Iwanowną, zwrócił się do ciebie z przejrzytymi słowami:

— Dlaczego nasz nieśmiały przyjaciel zupełnie nie je i nie pije?

Wypowiedział to zdanie takim delikatnym dziewiczym głosem, jak gdyby w istocie rzeczy był jakąś tam kobietą. Po mistrzowsku wydobyty pisk musiał go kosztować wiele trudu i całkowicie przeczył budowie boksera ciężkiej wagi.

— Ach! — powiedziała z uczuciem, niemal zrywając wątek. — Wiecie, te kaczki nabyłam na Wagańkowskim

Targu. Czyż w sklepach można można obecnie dostać cokolwiek dla zastawienia porządnego stołu?

Usłyszawszy to prowokacyjne pytanie, goście przestali żuć i wpatrzyli się w ciebie niecierpliwie, w oczekiwaniu odpowiedzi. Jedno współczujące słowo z twojej strony i byłoby po wszystkim. Graube rozczapierzył jeszcze bardziej muszle swych sterczących uszu, zwisających nad stołem. Badawczy jak mikroskop wzrok Henryka Iwanowicza, celny wzrok wyborowego strzelca, myszkował po twojej twarzy. W uzupełnieniu sytuacji wydało ci się nagle, że ktoś niewidzialny i wszystko widzący spojrzał w owej chwili (przez okno, ze ściany, czy przez ścianę?) na ciebie i na gości, sztywno siedzących nad talerzami, jak gdyby pozowali do zbiorowego portretu.

Zdając sobie sprawę, że milczeć nie wolno, gdyż twoje milczenie mogłoby być uznane za zgodę, za nielegalny współudział w dywersyjnej akcji, popatrzyłeś, nie mrużąc oczu, na klasyczny nos Graube, i powiedziałeś pewnym głosem, możliwie jak najwyraźniej:

— Ach, nie! — powiedziałeś. — Niepotrzebnie! Niepotrzebnie Wiera Iwanowna nie docenia sprawności naszej sieci handlowej na miejskim i wiejskim sektorze. Kaczki, kury, nawet gęsi, a nawet niezwykle rzadko spotykany w świecie ptak — indyczka zawsze znajdują się w potrzebnej ilości we wszystkich sklepach. Ile kto zapragnie!

Westchnienie rozczarowania, a jednocześnie jak gdyby jakiejś ulgi przeleciało przez pokój. Graube poczerwieniał i powiedział, całkowicie rozprzężony nerwowo:

— Los — indyczka, życie — niewarte prztyczka...

Starał się coś tam jeszcze dodać, niewątpliwie coś znowu dwuznacznego. Ale Łobzikow już gwizdał w dziurawy ząb, a to był u nich rodzaj hasła do odwrotu. Goście popuszczali oczy — jedni ku talerzykom, drudzy — ku stołowi. Wszzechwidzące, wszystkich śledzące oko ironicznie zmrużyło się nad głowami swych niezdarnych wywiadowców i, jakby go nie było, rozplynęło się żółtą plamą, dopasowaną do żółtych tapet.

II.

Śnieg padał mi na rzęsy, na czapkę, która stawała się jeszcze bardziej puszystą, na dachy. Wystarczało przy-

mrużyć oczy i natychmiast zjawiały się śnieżne domki, jak z bajki. Promienie latarni przeświecały przez nie, tworząc fantastyczną zorzę polarną. Zorza wypełniała niebo, potem schodziła na dół i powoli topniała. Nagle pole widzenia rozlatywało się ślepem bezdrożem i żółta łąka, zmieszana z iskrzącym się śniegiem, spływała z mego oka — na nos, na latarnie, na dachy domów, wyglądających pod śniegiem jak małe chatki.

Za każdym razem, gdy, spostrzegłszy się, ucierałem kolejną łąkę rękawicą o jednym palcu, przyroda znowu udowodniała, że śnieg ciągle pada i, być może, będzie padać jeszcze całą wieczność. To było o tej błogiej porze, kiedy nikt nie wie na pewno, która godzina, gdyż niebo, opadające śniegiem na ziemię, zdaje się wskazywać swoją jasnością, że jest dzień, albo — z wręcz odwrotnych powodów — że noc. Najprawdopodobniej, był wczesny zimowy poranek, który przeciągnął się aż do wieczora. Zbierała chęć aby usnąć, z głową wetkniętą w zaspę, a potem obudzić się, i żeby śnieg ciągle padał, zatrzymując czas na miejscu.

Ta pogoda budziła we mnie zachwyt. Gdybym był dwunastoletnim dzieckim, jak ten chłopak Żenka, spieszący się ulicą Kirowa z łóżkami typu „gagi” pod pachą, pewnie by mi się wydało, że w domu oczekuje choinka, oplątana złotistą siecią, a pod nią książka z obrazkami „Dzieci kapitana Granta”. Podobny przedsmak tajemnicy budziła w Mikołaju Wasylowiczu pewna brunetka, więc biegł pod mrozikiem, nieco podchmielony i całkowicie pewny, że go przyjmie w mocno ogrzanym pokoju, jak już, ku obopólnemu zadowoleniu, przyjmowała go dwukrotnie, a dlaczego właściwie — rozmyślał — miałby za trzecim razem spotkać się z niepowodzeniem, jeżeli koniak już działa, a w brunetce pozostało wiele jeszcze specyficznej tajemniczości.

Stopniowo, poprzez zasy i ściany, przez plecy Mikołaja Wasylowicza, poprzebijane elektrycznym światłem i oddalające się po pochyłości ku brunetce, rozwijała się przede mną cała panorama.

Padał śnieg. Gruba kobieta czyściła zęby. Inna kobieta, także gruba, czyściła rybę. Trzecia jadła mięso. Dwaj inżynierowie grali na fortepianie, na cztery ręce, Szopena. W szpitalach czterysta kobiet jednocześnie rodziło dzieci.

Umierała starucha.

Dziesięciokopiejkówka wtoczyła się pod łóżko. Ojciec śmiał się i mówił: — „Ach, Kola, Kola!”. Mikołaj Wasylowicz biegł truchtem na mrozie. Brunetka pluskała się w miednicy, przed spotkaniem. Szatynka wkładała majtki. O pięć kilometrów dalej jej kochanek, nie wiadomo dlaczego także Mikołaj Wasylowicz, skradał się z walizką w rękę przez krwią zalane mieszkanie.

Umierała starucha — ale nie ta, inna.

Aj-ja-jaj, cóż oni robili, czym się zajmowali! Gotali manną kaszę. Wystrzelił z karabinu, nie trafił. Odkręcał mutrę i płakał. Żeńka rozcierał policzki, ścisnąwszy „gagi” pod pachą. Wystawowa szyba poszła w drobny mak. Szatynka wkładała majtki. Dozorca splunął ze wstrętem i powiedział: „Masz ci los! Przyjechali!”.

Spiesząc się na schadzkę, truchtem biegł przez miednicę z walizką w rękę. Wykręcał policzki z karabinu, śmiejąc się, rodził staruchę: „Masz ci los! Przyjechali!”. Umierała brunetka. Umierał Mikołaj Wasylowicz. Żeńka umierał i przychodził na świat. Szatynka grała Szopena. A inna szatynka — siedemnasta z kolei — ciągle wkładała majtki.

Cały sens polegał na synchronizacji tych aktów, które nie miały żadnego sensu. Ci ludzie nie znali swoich współników. Co więcej, nie wiedzieli, że stanowią szczegóły w stwarzanym przeze mnie obrazie, podczas gdy ich oglądałem. Nie mieli pojęcia, że każdy ich krok jest utrwalany i co chwilę poddawany starannym studiom.

Co prawda, ten i ów czuł wyrzuty sumienia. Ale wy-czuwać bez przerwy, że na nich patrzę, prosto w oczy, nie odrywając spojrzenia, czujnie i przenikliwie — nie, tego nie potrafili. Postępowali w tym zagubieniu się, być może, w sposób naturalny, jednak w najwyższym stopniu krótkowzrocznie.

Nagle mój wzrok natrafił na przeszkodę i zadrzał, jak od wstrząsu. Był to człowiek, którego nie można nie zauważyć. Na pustej, zaśnieżonej ulicy zwracał uwagę tym, że coraz-to oglądał się za siebie. Nawet po wejściu do mieszkania, wśród butelek i jedzenia, przyjęty gościnnie przez gospodarza, zachowywał się, jak zbrodniarz, którego za chwilę pochwycą i poznają.

Nic mu nie groziło, więc doszedłem do rozsądnego wniosku, że niepokoi go przeczcucie mojej obecności. Widocznie pochwycił moje ostre spojrzenie i wił się pod nim, nie rozumiejąc, w czym sęk, przypisując otaczającym go osobom siłę, której nie posiadali. Wydawało mu się, że ktoś go osobiście śledzi; byłem nim — ja, a on myślał, że to oni, co mnie rozśmieszyło. Więc skupiłem się na nim, wziąłem go w powiększeniu pod światło mojej źrenicy. Był jak bakcyl pod mikroskopem; oglądałem jego mizerne jestestwo w najmniejszym szczególe.

Rude włosy, bardzo biała, delikatna twarz, oporna na opaleniznę, tu i ówdzie ozdobiona nikłymi piegami, wyraźniejszymi na rękach, przechodzącymi na palcach w ciemną, gęstą wysypkę. Ubierał się z dbałością o elegancję, w świeżo wyprasowanym ubranku, miał nowy krawat i czyste skarpetki, co w jego wieku i kawalerskim stanie świadczyło o ukrytej dumie, jeżeli nie o skłonności do kobiet.

Ostatnie przypuszczenie szybko odpadło. Na kobiety, siedzące za stołem, nie reagował, sądząc, że to przebrani mężczyźni. Chyba z wyjątkiem bibliotekarki Lidy, siedzącej po jego prawej ręce. Poznał ją w ministerstwie, pożyczając z biblioteki czasopismo „Kunststoffe” i przekłady powieści detektywistycznych, więc mógł przypuszczać, że to nie żaden podstawiony agent, tylko najprawdziwsza bibliotekarka Lida.

Było to dziewczę dość fantazyjne, dostatecznie młode i zacne, aby nikomu nie odmawiać. Henryk Iwanowicz Graube miał z nią przed dwoma laty przelotny romans, a teraz zaprosił ją na rodzinną uroczystość, ze zwykłej litości. Piła dużo w milczeniu, obojętna na wszystko, co się działo dokoła. Mój podopieczny to zauważył. Chlusnął pod stół drugi kieliszek wódki, pochylił się ku dziewczynie i powiedział tak, żeby wszyscy usłyszeli:

— Lida, jestem w was zakochany!

III.

Nigdy nie byłeś rozpustnikiem. W miłości wolałeś nie odstawiać kantów, nie dawać daremnych obietnic i przysiąg bez pokrycia; z całą skromnością płaciłeś zgodnie z cennikiem po 25 lub 30, a niekiedy 50 rubli gotówką i, nie

grzesząc, po zawarciu wzajemnej umowy, otrzymywałeś należną rekompensatę. Nie miałeś za sobą żadnych skandali, ani kosztów sądowych, a chociaż Polanskij mawiał, że żona wypada taniej od prostytutki, to znaczy po 15 rubli za seans, uważałeś, że lepiej w tych rzeczach przepłacić, niż męczyć się później przez całe życie.

Jeżeli zdarzały się trudności pieniężne, mogłeś obywać się bez niczego przez miesiąc, a nawet rok, bez zaczepiania kreślarek i maszynistek w ministerstwie. Zaprosisz taką do kina, a potem nie możesz odczepić się od kłopotów za jedno parszywe uszczypnięcie powyżej kolana. Z uczciwą kobietą nigdy nic z góry nie wiadomo, zgadza się, czy się nie zgadza, i ten brak pewności zawsze niepokoi i osłabia siły duchowe. Lepiej niech od razu powie — „Nie!” — i niech idzie swoją drogą.

Toteż, jeśli, pochylony ku Lidzie, zacząłeś nagle do niej zalecać się, powodował tobą bezwzględny mus. Po odparciu z całą godnością pierwszego ataku Graube, orientowałeś się mimo wszystko, że przewaga pozostała po jego stronie. W najmniej spodziewanej chwili mogła nastąpić nowa napaść i trzeba było ją uprzedzić za wszelką cenę.

Zdarza się na przykład tak: przychodzi w gościnę człowiek starszy, poważny, kto wie, może nawet członek akademii, wypije kieliszek, albo dwa, i ni stąd ni zowąd srebrną zastawę do kieszeni wkłada, albo też deklamuje wiersze o intymnej treści i, siedząc pod stołem, nie zamierza wychodzić na powierzchnię... Stosunek do działalności tego rodzaju jest u nas pobłażliwy. Cóż tam, zrobią wymówkę, pośmieją się — ty, Waśka, suczy synu — powiedzą — dlaczego honor munduru na podłodze poniewierasz i swoim pijanym pyskiem rzucasz cień na ojczystą akademię? Ale z tym wszystkim po ramieniu poklepią, otuchy dodadzą i na duchu podtrzymają. Bo to od razu widać — swój chłop, do gimnazjum nie chodził, a pod względem moralności niewinny jak Jezus Chrystus. Taki wojskowej tajemnicy nie rozpowie i ojczyzny w decydującej chwili nie zdradzi. Taki człowiek w jednej chwili staje poza wszelkim podejrzeniem. Takemu — dobrze.

Podobne przeznaczenie budziło w tobie zazdrość. Więc postarałeś się o to przy pomocy Lidy, jedynej kobiety, nadającej się do uratowania twojej opinii. Po stwierdzeniu,

że Lida znajduje się obok, o niecały metr, wykrzyknął w natchnieniu:

— Lida, jestem w was zakochany!

Zmieszani szpicie przerzucili się wzrokiem między sobą. Lida siedziała nieruchomo, nie wierząc własnym uszom. Na zapadniętym dekolcie sterczały sieroce obojczyki. Ostry, uniesiony nieco łokietek wydawał się kaczym skrzydełkiem, obgryzionym aż do kości.

— Lida, jestem w was zakochany! — powtórzyłeś jeszcze głośniejsze i chwyciłeś wiotkimi palcami nieco powyżej kolana.

— Nie trzeba tak przy wszystkich! — szepnęła Lida, z wdzięcznością gładząc twoją rękę, ściskającą jej nogę. Tak oto zaczęła się wasza miłość — w rozgrywce ze śmiercią, na oczach prześladowców, zbitych z pantałyku nagłym wybuchem twego temperamentu.

Natychmiast zorganizowałeś gorączkową, hałaśliwą działalność. Porywałeś gościom sprzed nosa najlepsze kąski i z okrzykiem — „To dla was!” — ofiarowywałeś je w demonstracyjny sposób Lidzie, wznosząc dokoła niej barykadę z jadła. Jednocześnie wykrzykiwałeś pieszczotliwe imiona i nazwy:

— Lidoczka! Lideczek! Lideńczyk! Liduśka lidudeńka-furgończyk!

Zezując, dostrzegając, że to wszystko robi wrażenie.

— A myśmy nie wiedzieli, że z was taki urwis — przyznał się ze sztucznym śmiechem szpicel o powierzchowności boksera, przedstawiający Wierę Iwanownę. — Zaw sze sądziłszy, że skromniś, z cicha pęk, za dużo nie powie...

Szpicel był mocno skonfundowany w swoich rachubach i podejrzeniach, ale wciąż jeszcze zachowywał powierzchowność pani domu, jubileuszowej żony Henryka Iwanowicza Graube.

— Ach, nie, cóż znowu, Wiero Iwanowna! — zaprzeczyłeś z ożywieniem. — Po cóż ukrywać? Przed kim ukrywać? Nie tając niczego, przyznaję: jestem niewiarygodnym donżuanem i birbantem, osobliwie, gdy sobie podchmielę.

Zataczając się, jak pijany, podszedłeś do niego dla potwierdzenia tych słów i, pokonując przyrodzoną nieśmiałość, ostrożnie pomacałeś swoją, całą w pstrokatych

centkach ręką przymocowany do piersi szpicla kamuflaż. Było tak, jak przypuszczałeś: gumowa, napompowana powietrzem poduszka.

— Ależ z was żartowniś! — zapiszczał przestraszony szpicel i rzucił się w fotelu do tyłu, widocznie, by uniknąć ostatecznego skompromitowania jego fikcji. Chwiejnym krokiem powróciłeś do Lidki i ugryzłeś ją leciutko w łokieć, żeby nie poczuła zazdrości.

— Nie trzeba przy wszystkich — szeptała zażenowana Lida. — Lepiej żebyśmy wyszli na chwileczkę, skoro już tak nalegacie...

Spostrzegłszy, że prowokacja została wykryta, Henryk Iwanowicz pozieleniał ze zgryzoty.

— Czuję się znieważony jako człowiek! — zawołał, zwracając się do Łobzikowa i Polanskiego, z obłudnym oburzeniem w głosie.

Ale tamci śmieli się do rozpuku, huśtając się jak dwa metronomy.

— Cóż za namiętny chłopiec! Ach, nie, zwróćcie uwagę, coś za namiętny chłopiec! — bełkotał skompromitowany bokser, przewany „Wierą Iwanowną”.

Wówczas to olśnił cię nowy wspaniały pomysł: skorzystać ze skandalu i wywiać stąd razem z Lidą, pod pozorem, że nie jesteś w stanie zapanować nad emocją. Zdarza się i tak. Poryw namiętności, zew przodków, walka o kobietę, Zygmunt Freud i Stefan Zweig.

Zwyczajem pijanych, którzy pragną utrzymać fason, powiedziałeś, wymachując rękami po całym pokoju:

Lida, biorę was w jassyr! Chodźmy stąd precz! Niech te typy prowadzą swoje rozmówki beze mnie. W mojej nieobecności będzie im wygodniej państwowe kaczki skalować. A ja — cóż? Jestem osobą lojalną! A was, Henryku Iwanowiczu, was, widzę na wylot!

Popatrzyłeś mu prosto w oczy jego własnym, przejmującym spojrzeniem, jak gdyby to on u ciebie, a nie ty u niego, był na widoku.

— Tak, tak, tak! Widzę was na wylot!

Lida z pokorą zbierała swoje manatki: torebkę, pomadkę do ust. Podałeś jej nędzne futerko z kozy, prawie oblażłe z włosia. Poszliście, zatrzasknąłeś drzwi tuż przed pustymi ślepiami Graube, który został z otwartą gębą, widocznie nie mając żadnych upoważnień, aby zatrzymać ciebie siłą.

Padał gęsty śnieg. Śnieżna, bezszelestna gromada przyjęła ciebie i Lidę. Zdawało się, że tysiące, miliony spadochroniarzy na białych, jak śnieg, spadochronach lecą z nieba, a ich powietrzny desant okupuje uchłłe miasto. Niektórzy z nich zanim wylądowali, długo krążyli dokoła, wybierając miejsca bardziej wygodne i miękkie...

Padający śnieg przeszkadzał ci śledzić poruszenia przeciwnika, idącego twoim śladem, ukrywającego się za śnieżystą zasłoną. Ty sam — w czarnym palcie — stanowiłeś dobry punkt orientacyjny. Miałeś tylko jedną osłonę — Lidę.

Niewątpliwie, Henryk Iwanowicz wysłał za wami doświadczonych specjalistów, żeby sprawdzali, co będziecie robić sam na sam. Ten Henryk Iwanowicz był człowiekiem zbyt domyślnym, żeby tak zaraz przyjąć na wiarę twój nagły romans. Właśnie dlatego, idąc z Lidą przez ulicę, barłóżyłeś w dalszym ciągu, potykałeś się po pijacku, rzucając pod adresem Lidy i każdego, kto był w stanie dosłyszeć, różne zdania i propozycje, nawet propozycję małżeństwa.

Lida tuliła się z ufnością do twego boku, pochlipywała uszczęśliwiona i mówiła, patrząc sobie pod nogi:

— Dlaczego nie spotkałam się z wami wcześniej, gdy byłam siedemnastoletnim, ale całkowicie dojrzałym dziewczęciem?

Ale ciebie nie obchodziła ani jej przeszłość, ani przyszłość. Nietrzeźwa i zakochana, w wytartym futerku na piersi, była ci potrzebna jako parawan. Wychudły od przeżytych wzruszeń, opowiadając jej o swojej miłości, myślałeś poządlwie o tej słodkiej chwili, gdy po odprowadzeniu Lidy, wrócisz spokojniutko do domu, do osobnego mieszkania i z westchnieniem ulgi wejdiesz do czystego, pustego łóżka.

Zatrzymywałeś się od czasu do czasu, wykrecałeś Lidę gwałtownym, niecierpliwym ruchem, całowałeś w usta i powieki, zamknięte w upojeniu. Całując, bystro spoglądałeś nad umyślnie przechyloną głową w zmaconą dal, w której mrok i śnieg, śnieg i mrok bałaganiły się na przemian.

I wciąż was podpatrywano. I chociaż nie mogłeś na dobre pochwycić wyrazu oczu, spoglądających ze wszystkich stron, miałeś chęć dumnie oświadczyć całemu światu:

— I cóż, podpatrujcie — nie boję się! Widzicie przecież — jestem zajęty swoimi sprawami, kocham się w Lidzie, nic tu nie wypatrzycie...

IV.

Już czwartą dobę znajduje się w zasięgu mojej obserwacji. Jestem dla niego jak pyton, który zimnym spojrzeniem odbiera przytomność królikowi. Jego wyobrażenia o mnie — to zupełna bzdura. Ale nawet jeśli przyjąć jako podstawę te nonsensowne fantazje, nie jestem pewny, kto kogo właściwie trzyma na uwięzi: czy ja jego, czy on — mnie? Obydwaj dostaliśmy się do niewoli i już nie mamy siły, by oderwać jeden od drugiego znieruchomiałe spojrzenia. Nie widzi mnie, ale spod jego wyblakłych rzęs bije w moim kierunku tyle skoncentrowanego strachu i nienawiści, że mam chęć zacząć krzyczeć: „Przestań! Bo cię połknę! Wystarczy, abym zacisnął powieki i zginiesz jak mucha!”. Te zapasy zaczynają mnie nużyć.

— Głupcze! Zrozum — żyjesz i oddychasz dopóki na ciebie patrzę. Jesteś sobą jedynie dlatego, że to ja zwracam się do ciebie. Dopiero wtedy, gdy Bóg ciebie dojrzał, stałeś się człowiekiem... Ech, ty!

Nie chciał posłuchać mojej przyjacielskiej perswazji. Na wszystko miał swoje racje. Nie spał cztery doby, aby nie dać się zaskoczyć znienacka. Po nocach leżał na kanapie w pełnym pogotowiu bojowym, w marynarce i dobrze już wymiętych spodniach, w mocno zasznurowanych bucikach, i wytrzeszczał oczy w ciemność.

Od zbyt wytężonego wpatrywania się zjawiały się przed nim różnokolorowe koła i plamy. Wydawało mu się, że to mnóstwo oczu: bez nosów, bez uszu, same oczy. Różne ślepie, gały, burkały, wylupy — brązowe, szare, błękitne — fruwały po pokoju, bijąc rzęsami i lokowały się na jego piersi na spoczynek. Kiedy podnosił się, unosiły się także i szybowały nad głową, niekiedy pomrugując szeroko rozpostartymi skrzydłami.

Ranek nie przynosił spokoju: wydawało mu się, że przy świetle staje się bardziej widoczny. Ale mnie to było naprawdę obojętne — w dzień, czy w nocy. Żadne para-

wany, żadne zaciemnienia nie mogły mnie przed nim wybawić.

Najniewygodniej czuł się w wygodce. Przymuszany przez własne przyrodzenie, którego nie lubił i krępował się wystawiać na widok, przykrywał się gazetką, wykrzywił się, gwizdał arie, albo chcąc mnie zaintrygować, narzucał sobie głęboką zadumę — wszystko w tym jednym jedynym celu: przestawić moje badawcze spojrzenie i utrzymać jakiś czas w rejonie twarzy. Jak gdyby takie głupstwa mogły mnie zainteresować!

Nerwowa świadomość, że wszystko widzę, powodowała, że nie mógł oddać moczu, ani wprawić w ruch mięśni odbytnicy. Wstydzilem się za niego i, patrząc na te udręki, męczyłem się razem z nim takim brakiem taktu.

Ach, gdybyż to chodziło o manię prześladowczą, opanowującą niekiedy ludzi, których stać na uświadomienie sobie własnej winy i oczywistej nicości! Ale nie, opanowało go raczej inne niedomaganie, określane w medycynie jako „mania grandiosa”. Wszechświat nie miał innego zajęcia, jak tylko zatruwać mu życie. Wybiegając z rana na miasto po chleb i kiełbasę, wszystko, co tylko nawinięło się na oczy, bezwstydnie zapisywał na własne konto.

Moskwa roila się od podstawionych osobników. Wszyscy udawali, że nie patrzą w jego stronę, a każdy coraz to zerknie spođe łba. Robili takie miny, jak gdyby byli przypadkowymi przechodniami, spacerującymi bez określonego celu, z obojętnym wyrazem twarzy, ale nie wiadomo dlaczego wszyscy mieli jednakowe ubranie, mundurowe, i ciemne, płócienne buciki. Niektórzy mieli na sobie białe, maskujące ich kitle, niby sprzedawczyńie lodów. Ale nikt nigdy niczego od nich nie kupował.

Najohydniejsze były kamienice: wielookienne stwory o wytrzeszczonych ślepiach...

— Co za przyjemny zbieg okoliczności! Witajcie! Witajcie! Ciągłe w Moskwie? Jeszcze nie wyjechaliście? A jakże z tym waszym wrzodem?

Odwróciłeś się. Naturalnie, to był Henryk Iwanowicz, który schwycił cię za ramię tuż przy sklepie gastronomicznym. Następnego dnia po owych „srebrnych godach” wziąłeś urlop z ministerstwa pod pozorem niedyspozycji żołądkowej. Kolegom biurowym oświadczyłeś, że kazano ci jechać do Jałty, ale urlop, rzecz prosta, spędzałeś u siebie,

zamknięty na cztery spusty. Jakże się ucieszył ten wszędybylski Graube, że żaden tam wrzód i żadna Jalta, że cię złapał na ulicy, na gorącym uczynku, podczas błyskawicznej wycieczki po prowiant!

Podczas gdy kombinowałeś, jak uzasadnić zwłokę w wyjeździe, Henryk Iwanowicz objął cię bezceremonialnie w pól i pociągnął z chodnika na stronę. Po pięciu krokach znaleźliście się na podwórku — w oczywistej pułapce, pokrytej dla czegoś tam zwałami pożółkłego śniegu. Widocznie Graube posiadał odpowiednie uprawnienia.

— Rozumiem! Dobrze rozumiem! *Cherchez la femme!* O nic nie pytam. My także byliśmy kiedyś lampartami!

Podskakiwał dokoła ciebie, jakby chciał ugryźć, i, nie wypuszczając z okrągłej dłoni ciężkiej ministerialnej teczki, groził wskazującym palcem.

— Ja z wami, mój drogi — kochaneńki, w cztery oczy. Figlarzu! Żona po dziś dzień z przyjemnością wspomina. Aleśmy się wtedy, co? Naśmieliśmy się zdrowo! I co, uwierzyliście starej idiotce? Powinna zająć się pieczeniem kaczek i przyjmowaniem gości, i nic ponadto... A wyście pożartowali — od razu zrozumiałem. „Na wylot — powiada — na wylot widzę!”. Cha-cha-cha-cha! Oj, figlarzu! Jeśli chcecie, uklęknię przed wami. No, nie, nie gniewajcie się, przecież żartuję. Szacunek chciałem okazać. A może, drogi-kochaneńki, obraziliście się na mnie? W związku z Lidą, co? Przebaczcie staremu durniowi. Dla was niczego nie pożałuję. Oddany z rękami, z nogami. Jedźcie na zdrowie. To już należy do przeszłości. Co nie było, a nie jest... Sami rozumiecie — jakbym ojcem był. Krzysztof Kolumb po prostu, na pierwszym miejscu. Przed Łobzikowym i przed Polanskim. A jednak żal. Uniosło się zapalczywe serce. My także byliśmy kiedyś lampartami! A przy tym, od razu widać człowieka z zasadami: „Widzę, na wylot widzę!”. I po cóż tak? Lepiej cichutko, łagodnie. Chcecie? — naprawdę uklęknię. Wyłącznie z uwagi na was, z samego szacunku. Chcecie?

Nie zdążyłeś zrozumieć, o co chodzi, gdy Henryk Iwanowicz Graube szybko rozejrzał się i — tak jak stał, w kapeluszu i z teczką — rzucił się w śnieg na kolana. Jego masywne oblicze, wyżółkłe jak otaczający go śnieg, wyrażało wyłącznie zatroskanie i szlachetną suplikę.

Na jedną chwilę przyszła ci do głowy zwariowana myśl: A nuż Henryk Iwanowicz sam ciebie boi się?

Natychmiast odpędziłeś złudny pomysł. Zorientowałeś się na czas, co za strategia wielkiej klasy zawiera się w jego upokorzącej pozycji. Z dołu, z błota, lepiej widać zranioną duszę człowieka. Dostęp z dołu jest łatwiejszy. Ten, kto padł przed tobą na kolana, posiada już choćby tę przewagę, że każdej chwili może cię chwycić za nogi i przewrócić na plecy.

Więc nie czekając, z krzykiem odskoczyłeś na bok i, widząc, jak brwi Graube podnoszą się w zdumieniu, uderzyłeś go, ale nie w brew, lecz w oko... Wychodząc, odwróciłeś się. Henryk Iwanowicz siedział na śniegu, przed nim leżała na płask gruba teczka. Graube zakrywał jedną ręką połowę twarzy. Ale drugą, nietkniętą połową patrzył na ciebie w dalszym ciągu.

— Zaczekajcie! Nie odchodźcie! — Zapewniam was — jesteście w błędzie — mówił Graube, siorbając nosem i cichutko popiskując. — Jakiż ze mnie rywal? Niepotrzebnie denerwujecie się. Jesteście młodszy ode mnie. Dbajcie o zdrowie. Lida sama do was przyjdzie, wystarczy zagwizdać. Jeżeli chcecie, powiem jej, żeście nie pojechali do Jałty. Sama przyleci. Chcecie?

Ale nie dałeś się schwytać na wabia. Co siły w nogach, zapominając o kiełbasie, której nie kupiłeś, rzuciłeś się do domu i zamknąłeś na klucz.

V.

Tegoż wieczora przyszła do niego Lida. Zadzwoiła dwukrotnie — nikt nie odezwał się. Przez otwór do wrzucania korespondencji widać było część przyćmionego i zastawionego drugorzędnymi gratami przedpokoju. Skosem, na podłodze stały nogi. Lida poznała je po butach i spodniach. Cała reszta pozostawała poza zasięgiem wzroku.

— To ja, Lida! Otwórzcie, Mikołaju Wasylowiczu! — radośnie zawołała dziewczyna w korespondencyjny otwór.

Ku jej zdziwieniu znajome nogi nie ruszyły się z miejsca. Ledwie dostrzegalnie, ale nie szły na spotkanie. Lida odczekała dla przyzwoitości i zadzwoniła jeszcze raz.

Hałasowało centralne ogrzewanie. Na dole, na pierwszym piętrze grało radio.

— Mikołaju Wasylowiczu! Przecież to ja, Lida! Dlaczego milczycie? Myślicie, że was nie widzę? O, tam — stoicie w kącie i spodnie macie te same, czechosłowackie, pół wełny... Puśćcie na chwileczkę!

W przedpokoju pstryknął kontakt. Jasna smuga zgasła. Lida zakręciła się w niepewności przed drzwiami.

— A może wam przykro z powodu tej obietnicy ożenku? Proszę nie myśleć, ja wcale nie dlatego. Nie ma żadnego musu, żeby zapisywać się. Słowo honoru! Mikołaju Wasylowiczu, pociosie światło zgasili? I tak wszystko słyszę. Stoicie tam i wdychacie. Jak wam nie wstyd! Czy może naopowiadali wam o mnie? Nie słuchajcie nikogo. Z Łobzikowym już od czterech miesięcy nic takiego nie było. Z Polanskim także. Odkąd poszliście na urlop — myślę wyłącznie o was. Nawet nie całowałam się z nikim ani razu. Słowo honoru. Mikołaju Wasylowiczu, jeżeli tego pragniecie, przez całe życie wierności wam dochowam. Wiecznie będę was kochać, jak męża. Obiady będę gotować, jeżeli każecie.

Tuliła się do drzwi kolejno oczami i ustami. W mieszkaniu Mikołaja Wasylowicza panowała cisza. Ale z wewnątrz, przez wąską szparę ciągnęło ciepłem i nieco zatęchłym powietrzem.

Cóż ty, najmilejszy, czemużeś róży nie zerwał? — szepnęła spłoniona Lida. Potem powąchała po raz ostatni ciemny otwór i poszła sobie precz.

Dopiero po jej odejściu ośmieliłeś się poruszyć i rozprostować zdrętwiałe członki. Byłeś spocony, w gorączce. Cóż za dziecinnada wyskakiwać na dzwonek, na jaskrawe światło elektryczne! Ta nieostrożność ledwie nie kosztowała cię życia. Dobrze przynajmniej i to, żeś się połapał na czas i zastygnął na miejscu jak nieboszczyk, że niby to nie ty i że w ogóle ciebie tu nie ma.

A cóż właściwie miałeś robić? Puścić ją do środka? Na oczach wszystkich urządzić demonstrację z własnego życia? I to z kim? — z tą samą kobietą, która — teraz dopiero zdałeś sobie sprawę w całej pełni — przyczepiła się do ciebie, napuszczona przez Graube? Już wtedy, przy zaproszonych, prowokowała ciebie do wyznania miłości, a ty prawie że... Uciekać! Uciekać dopóki czas! Póki nie wró-

ciła, nie wdarła się do ciebie siłą w charakterze byłej narzeczonej, która uważa za swój obowiązek towarzyszyć ci wszędzie tylko dlatego, że kiedyś miałeś nieszczęście uszczypląć ją gdzieś o jakieś trzy centymetry powyżej przyjętego powszechnie poziomu...

Nie zapalając światła, ukryty za futryną, wyjrzałeś przez okno. Droga była odcięta. Lida dyżurowała na dole. Nie zamierzała ciebie porzucać, więc spacerowała przed domem jak wartownik.

Twoje stopy w nagrzwanych butach spuchły i bolały. Dokuczała ręka, którą łotr Graube uszkodził przy pomocy swego łuku brwiowego. Ale najgorsze, że ani na chwilę nie opuszczało cię ostre, łaskotliwe odczucie własnej skóry. Nieustannie marszczyłeś się, kręciłeś głowę i z wściekłością rozcierałeś dłońmi czoło i policzki.

To przygnębiające widowisko już zdążyło się uprzykrzyć moim oczom. Bolały coraz bardziej. Było tak, jak gdyby ktoś wstawił pod powieki podpory z zapalek i gałki oczne zostały rozdrapane aż do krwi.

Aby odpocząć nieco, a jednocześnie w miarę możliwości ulżyć jego cierpieniom, spowodowanym przez moją pilną obserwację, starałem się patrzeć w inną stronę i uczciwie wybierałem dla spacerów najbardziej odległe ulice — Mariacki Zagajnik, Wielką Jelenią w dzielnicy Sokolników. Ale to nie dawało wyników. Gdzie bym nie ruszył — czy piechotą, czy trolejbusem, wszędzie miałem przed sobą złe, majaczące oczy i piegowate, porośnięte rudymi włoskami palce...

Doskonale rozumiałem, że to może skończyć się źle. Kiedy już nie można było wytrzymać, wziąłem taksówkę i pojechałem na miejsce wydarzeń.

Mój pomysł polegał na tym, żeby zabrać Lidę z jej posterunku i w ten sposób rozładować sytuację. Chciałem zredukować ilość oczu, których spojrzenia skupiał na sobie siłą wyobraźni. Był jednak drugi powód: pragnąłem rozerwać się. Potrzebna mi była trzecia osoba, aby obronić się przed moim prześladowcą i puścić go w niepamięć.

Z całym poświęceniem Lida marzła pod jego ciemnymi oknami. Chociaż nasza znajomość była, że tak powiem, zaoczna, żadna z jej słabych stron nie przedstawiała dla mnie tajemnicy. Chodziło tylko o to, żeby w ciągu pięciu minut nawiązać z nią rozmowę i zaprosić ją do pobliskiej

kawiarni dla rozgrzewki. Wymieniłem pierwsze lepsze imię, jakie mi przyszło do głowy, zdaje się — Hipolit. Zgodziła się. Tak czy owak, nie miała dokąd iść.

W oczekiwaniu na wino i szaszłyk po karsku powiedziałem, żeby ją pocieszyć, kilka komplementów.

— Po co wam ta broda? — zapytała kokieteryjnie. — Dla większej powagi? Ale to postarza. I w ogóle — rudym z brodą nie do twarzy.

— Co wy mówicie? Jaki ze mnie rudy? — przerażiłem się jej zdolnością do przekręcania wszystkiego według własnego gustu.

— Ależ tak, jesteście rudy! — upierała się Lida. — Rudawy odcień włosów. Nieco przypominacie jednego z moich znajomych...

Nie uważałem za wskazane by rozwałkować ten temat niebezpieczny dla nas wszystkich, ale powiedziałem prosto z mostu, że nie znoszę rudych. Każdy rudy zawsze sądzi, że wszyscy na niego patrzą, wyobraża sobie nie wiadomo co i do nikogo nie ma zaufania. W rzeczywistości nikt na rudych nie patrzy i patrzeć nie ma chęci, i w ogóle nikt rudymi nie interesuje się.

— Tak, ale za to są zazdrośni — chełpiła się Lida. — Są delikatni w uczuciach i rozumieją wszelkie subtelności.

Doskonale orientowałem się, dokąd ulatują jej myśli. Ale wszystko to nie miało znaczenia. W chwili, gdy nam podano kolację, jej urodziwy rudzielec poczynił już duże postępy w swej niszczycielskiej wynalazczości. Leżąc w mroku, z twarzą wetkniętą w poduszkę, wysilał się jak mógł, aby nie myśleć o niczym.

— Di-di-di, la-la-la! Di-di-di, la-la-la... — mruczał w największym skupieniu.

Wydawało mu się, że jeżeli przy pomocy oczywistego bezsensu zdoła wyłączyć mózg, to uwolni się od tajnych agentów, podglądających go od wewnątrz. Mało mu było przeciwstawić sobie cały świat. W samym sobie zauważył ślady mego tajnego dochodzenia i postanowił wydać mi bitwę na terenie swojej świadomości. „Di-di-di, la-la-la” — spróbuj-no przebić się przez taką ścianę. Nie ma nawet o co zaczepić się. Co właściwie ma oznaczać to tępe, pozbawione śladu talentu di-di-lowanie?

Nalałem Lidzie koniaku i powiedziałem:

— Napijcie się, Lidoczka. Pijcie, Li-di-dilja! Nie będziemy myśleli o żadnych tam rudych. Proszę nie zwracać uwagi na rudych. Od razu wam ulży. Proszę jeść szaszłyk. Szaszłyk! Szaszłyk!

— Di-di-di, la-la-la! Diadia, diadia! Di-di-di, di-di-di...

— Bardzo proszę, Lidoczka, zajądajcie szaszłyk. Smaczny, tłusty, rudy szaszłyk. Szasz czy też szysz? Łyk! Łyk! Łyk!

A jednak mimo wszystkich wysiłków, nie byliśmy w stanie oderwać się jeden od drugiego, pokonać ciężenie, które nas pchało do katastrofy. Na domiar złego Lida przeszkadzała obydwu.

— Hipolit, podobacie mi się — powiedziała, rozgrzana po trzecim już kieliszku. — Bardzo, ale to bardzo przypominać mi jednego z moich znajomych. On także często wał mnie kiedyś na proszonej kolacji. Ale bardzo was proszę — zgolcie tę brodę. Proszę, kochany, zróbcie to dla mnie. Weźcie brzytwę i zgolcie!

Aż mnie zatkało na taką propozycję.

— Zamilczcie! — krzyknąłem. — Ani jednego słowa więcej! Nie wspominać o jakichkolwiek ostrych przedmiotach! Słyszycie?!

W tej samej chwili zobaczyłem, że on podnosi głowę.

Podniosłeś głowę, jak gdybyś przysłuchiwał się naszej rozmowie, i uśmiechnąłeś się. Powiedziałeś sobie w myśli: „Trzeba ogolić się” — i powtórzyłeś głośno: — Trzeba ogolić się! La-la-la! Trzeba ogolić się!

I znowu uśmiechnął się, po raz drugi przez ten cały czas.

Poczułem, że trzęsie mnie dreszcz. Chwyciłem Lidę za rękę i, nie dopijając koniaku, wybiegliśmy na ulicę. Bez żadnych wstępnych ceregieli, oświadczyłem jej, że ją kocham, kocham do szaleństwa, namiętnie, że nie chcę widzieć nikogo prócz niej, że o nikim nie chcę myśleć, więc musi do mnie dziś należeć — bez zwłoki, na miejscu, natychmiast.

Wstałeś i zapaliłeś światło. Zmrużyłeś oczy.

— Tu jest zimno — powiedziała Lida — i ludzie chodzą. Skoro już tak nalegacie, to jedźmy do waszego mieszkania, jeżeli nie jesteście żonaci.

Ciągnąłem ją przez ulicę, a tyś grzał wodę, szukałeś pędzla i owej brzytwy. Minuty miałem policzone. Nie po-

zostawało nic innego, jak tylko wejść do jakiejś bramy. Na najwyższym piętrze nie było już tak zimno i nie wydawało się prawdopodobne, aby nas podpatrzono.

A choćby nawet? Co mnie to obchodzi! Własnych trosk miałem potąd! To ja, ja sam nie powinienem nikogo dostrzegać! Póki jeszcze czas, chciałem wyłączyć się z rozgrywki, która mogła skończyć się bardzo źle, a innych środków ratunku, oprócz Lidy, pod ręką nie było.

Zgiąłem przed nią kolana. W moją pamięć mocno zapadła pewna reguła: „dostęp do człowieka jest łatwiejszy z dołu, a ten kto stoi przed nim na kolanach, może każdej chwili schwytać go za nogi i przewrócić na plecy”.

Tak też się stało. Lida życzliwie poklepywała moją pochyloną głowę, chwyciłem ją za cienkie nogi i przyparłem do ściany. Nie chciałem jej rozkładać na posadzce. mogłaby przeziębć się.

Nie wstydzilem się swoich zamiarów, dostatecznie szczerych. Jak by to nie było, nie działałem przecież z myślą o samym sobie. Po prostu nie było innego wyjścia.

Naturalnie, byłoby o wiele lepiej, gdybyś ty znalazł się na moim miejscu. Jeśli czego brakowało ci w życiu, to właśnie szczerości. Bądź co bądź, w objęciach kobiety każdy mężczyzna, nawet najbardziej skryty i zarozumiały, musi, chcąc nie chcąc, zachowywać się w sposób niewymuszony. Kto wie, gdybyś nie odepchnął Lidy, może by ci to przydało i — któż to przesądził! — przy większej ufności nawet mnie potrafiłbyś lepiej zrozumieć...

Ale wybrałeś inną drogę i, zacisnąwszy brzytwę w chwytnych, piegowatych łapach, posuwałeś nią wzdłuż policzków, jakbyś naprawdę chciał doprowadzić je do porządku. Spieszyłem się, znając twój obłudny charakter. Uciec stąd, uciec czym prędzej, zakopać się we własnych sprawach i żebyś ty także wreszcie przestał zwracać na mnie uwagę, żebyś się przestał mnie bać, ukrywać się i pielęgnować w swym sercu mściwe porachunki.

Lida głośno wzdychała, zamykała oczy i gładziła moje włosy.

— Kola! Kolenka! Mikołaju Wasylowiczu! Rudzielcu ty mój! Umiłowany! — wymawiała coraz to innym tonem.

Nie czułem żadnej zazdrości. Ale gnębiły mnie te niekończące się wspomnienia, ta najzupełniej niewłaściwa twoja obecność w chwili, gdy miałem nadzieję, że już jes-

tem dostatecznie daleko od ciebie. Zbliżałem się ku tobie z niebezpieczną szybkością i już widziałem obok twoje oczy, rozszerzone wściekłością. Wróć! Wróć! Za późno. Już przeniknąłem do twego mózgu, do twojej rozgorączkowanej świadomości i wszystkie twoje, najbardziej intymne tajemnice, których w ogóle poznać nie chciałem, otworzyły się przede mną.

Zerwałeś się z krzesła. Wszyscy świadkowie twoich zbrodniczych czynów zebrali się razem. Acha! Wpadliście! Przygotowaną zawczasu brzytwą zamierzyłeś się na mnie, na Lidę, na cały świat.

— Wstrzymaj się! Nie rób tego! Co ty wyprawiasz?

Przymknąłem oczy. I w jednej chwili powrócił do mnie od dawna nieznany spokój. Zrobiło się ciemno i zacisznie. Straciłem ciebie z oczu. Więcej już ciebie nie było.

VI.

Kiedy otworzyłem oczy, Lida szminkowała sobie usta. Otrząsnęła się, doprowadziła do porządku futerko i sukienkę. Przy tym urwał się guzik i potoczył na dół, ze stopnia na stopień. Lida zeszła niżej schodami i podniosła guzik. Potem zeszła na następne piętro.

— Lida, gdzież wy idziecie? — zapytałem, powodowany bardziej grzecznością, niż szczerym zapędem. Nie było odpowiedzi: Lida spieszyła się, żeby zająć posterunek, który opuściła przed godziną. Spojrzałem w tym kierunku i przekonałem się, że spieszy się nadaremnie. Nie było już kogo pilnować. Nasz wspólny znajomy leżał pod stołem, z namydloną twarzą i przeciętą krtanią. Zanim upadł, potrafił jeszcze rozbić lampę, stojącą na stole. Światło w jego pokoju zgasło.

Usiadłem na schodach i czekałem, aż zniknie Lida. Ale wciąż nie udawało się jej wydostać z zasięgu moich oczu. Wtedy wstałem i po opuszczeniu gościnnej bramy udałem się na miasto, na moje zwykłe patrolowanie.

Wszystko było jak dawniej. Padał śnieg i trwała ta sama, nieokreślona pora dnia. Dwaj inżynierowie — jego byli koledzy biurowi, Łobzikow i Polanskij — grali Szopena na fortepianie. Jak przedtem, czterysta kobiet wydawało na świat czterysta niemowląt w ciągu minuty.

Wiera Iwanowna przykładła kompres do podbitego oka Henryka Iwanowicza. Szatynka wkładała majtki. Pochylona nad miednicą brunetka szykowała się na schadzkę z Mikołajem Wasyłowiczem, który, jak zwykle, biegł podchmielony na mrozie. Trup Mikołaja Wasyłowicza leżał w zamkniętym pokoju. Lida chodziła pod jego oknami, jak wartownik.

Widziałem to wszystko i nie opuszczała mnie natarczywa myśl o nim. Było mi trochę smutno.

Tyś odszedł, a ja zostałem. Nie, nie żałuję cię, żeś umarł. Żal mi tylko, że nie mogę ciebie zapomnieć.

1959

LOKATORZY

I.

Ech, Sergiuszu Sergiuszowiczu, Sergiuszu Sergiuszowiczu! No, jakże wam równać się z Mikołajem Mikołajewiczem? Nawet śmieszne. Nie macie żadnej prezencji, bicepsy wiszą jak — proszę wybaczyć porównanie — jak sutki u pierwszej lepszej, wynędzniałej suczki. Koniak chlejecie od samego rana — skąd tylko na to pieniądze? Zaś Kola, Mikołaj Mikołajewicz, był człowiekiem młodo wyglądającym, inżynier-konstruktor elektrycznych silników, dwadzieścia dziewięć lat — sam soczek. A i ten nie dał rady. Wywołuje mnie pewnego razu do kuchni. „Cóż to — powiada — cóż to, Nikodemie Piotrowiczu, dzieje się?” A sam biały, białuteński. Jak sufit.

Gdzie wam do niego! Śpiewak był! Sportowiec! Zdarzało się, obudzi się wczesnym rankiem, całą gimnastykę przy dźwiękach radia przerobi, zęby szczoteczką wyczyści i zaczyna:

*Coraz to wyżej i wyżej
ptaków stalowych poświasty,
a w każdym śmigle furczącym
spokój granicy ojczystej.*

Przyjemnie posłuchać. Co prawda, tenor miał, a ja bardziej basy uważam. Wierzajcie staremu — zabierajcie się stąd. Dopóki nic się wam nie przydarzyło. Walizeczkę do ręki i z Bogiem. Jeśli sobie życzycie, to ja wam po zna-

jomości zaraz karteczkę wypiszę. Do Gorzytoddiełu, do samego Szestopałowa. Jakto, nie słyszeliście? Szestopałow. Mieszkaniowe sprawy rozstrzyga. Ja pod nim trzynaście lat służby odwaliłem. Kierowałem studenckim hotelem i dwoma domami. Komendant, zarządzający domem — nazywajcie, jak chcecie. Aż do samej emerytury. Na Ordynce. Pięć piętér i sześć. Szestopałow w pięć minut każdą mieszkaniową powierzchnię wyszuka. Ach, cóż wy mówicie! Za moim wstawiennictwem!

Zadomowicie się na nowym miejscu. Waszą bibliotekę zostawimy chwilowo tutaj. Będę pilnować. Poczytam, za waszym zezwoleniem. Nie macie przypadkowo „Młodego boera z Traanswalu”? Jeszcze przed wojną czytywałem. A ot, autora nie pamiętam. Cudzoziemiec jakiś, Francuz.

Szkoda, szkoda... Noce teraz długie, a w nogach kręci. Reumatyzm stawów. Zastarzała, zapuszczona głęboko choroba. Co? Nalewajcie, nalewajcie: nie zaszkodzi.

Za wasze zdrowie!

Ta-ak... Koniaczek u was, rzeczywiście, przedni, prawdziwy, według recepty. Aż odczuwasz pieśczętę w przewodzie pokarmowym. Zapiję się tu przy was. Nie, nie, proszę się nie fatygować, zagryzać nie lubię. Cały smaczek przepada. Na serio, Sergiuszu Sergiuszowiczu, przeniescie się do innego mieszkania. Bo tu, tak w tajemnicy... Rozpacz was chwyci, jak się dowiecie, tylko że wtedy będzie już za późno. No, i uparł się: nie zmienię i nie zmienię. Tylko lenistwo z waszej strony i nic więcej. Kto wie, może wkrótce i ja waszym śladem. Razem zamieszkamy. Jeżeli nie chcecie mieć do czynienia z Szestopałowym, można zmienić plan. Wiecie co? — damy ogłoszenie. Nasze dwa pokoje — trzydzieści jeden metr. Proszę bardzo — oddzielne mieszkanie. Co?

Jako pisarzowi, stworzę wam odpowiednie warunki życia. Żeby cisza, porządek. Także i ja potrzebuję spokoju. Może potrafiacie jeszcze zdobyć się na małżeństwo. Wnuczęta będą, kociaczki. Ja bym przy nich siedział, niby w zastępstwie dziadunia. O koniaku zapomnimy, że istnieje. Chyba że w większe święta: na Nowy Rok, 1-szy maja. Gospodarstwo postawimy na nogi. *Der Tisch, das Schrank*, nowe filcowe buty dla mnie kupimy. Ależ, to będzie życie! Wypijemy jeszcze, co? Za wasze zdrowie, Sergiuszu Sergiuszowiczu!

Mówiąc szczerze, dlaczego właściwie z nim zaprzyjaźniłem się, to jest z owym Kola? Dobry człowiek, gospodarny, domator. Ledwie przyjdzie z pracy, zaraz do czegoś zabiera się. Etażerkę laubzegą wypiłował, radio zmajstrował z byle czego. Własnymi rękami. Jego Ninoczka także mi się początkowo podobała. Zapobiegliwa taka, niczym ptaszyna. Zawsze dom, wszystko do domu znosi. Uwierzyć? — nawet pół roku nie minęło, a oni już nową szafę kupili. Z lustrem na całe drzwi. Tiulowe firaneczki powiesili. Wszystko za ćwierć ceny, z trzydziestu rubli wypłaty, za kopiejkę, można powiedzieć, tworzyli domowe ognisko. Wszystko poszło na marne. Ach, Kola, Kola! Gdzie wyście dziś, kto wasze palce pieści? Tak, taak! W domu dla umyślowo chorych. Wyrażając się po staroświecku — w żółtym domu. A czy to w ogóle dom? Ot, tak, jedynie pozór. Nie ma żadnego domu, internat dla szaleńców i nic więcej.

Że co? Od czego zaczęło się? Od głupstwa wszystko zaczęło się. Któregoś wieczora Kola zajada grochówkę i nagle wyławia z talerza — wyobrażacie sobie — kobiecy włos. Zwyczajne pasmo kobiecych włosów i nic więcej. Jak mówią na wsi — wyczeski. Naturalnie, Kola zwraca się do swojej Ninoczki zapytuje dość spokojnie, jak to ma rozumieć. Ninoczka okryła się rumieńcem i odpowiada, także dość spokojnie:

— Mikołajku — powiada — to Krowatkina swoje kudły, zamiast mięsa, podrzuca nam do rondla.

A włosy, mówiąc nawiasem, siwe. Siwe...

Pssst! Więc takie mam zapytanie: Sergiuszu Sergiuszowiczu, czy nie macie aby niezwykle interesującej książki, „Ostatni z Mohikanów” Fenimora Coopera? Tak! „Ostatni z Mohikanów”! O Indianach z Ameryki Południowej! Tak, tak, tak! A więc nie! Nie macie! Ach, jaki dżdżysty czas! Czas mamy — powiadam — dżdżysty!

Poszła... To właśnie ona, ta sama — Krowatkina. Prawdziwa czarownica. Ucho do drzwi przyłoży i kontroluje, o czym my tu z wami gwarzymy. A ja ją zaraz poczuje, wiem. Jeżeli mówię, znaczy, że wiem. W tych sprawach mam specjalne wyczucie. Po to mi wąsy wyrosły. Wykrywam ich intrygi, nie patrząc. Na dziesięć metrów.

Cóż wy! Jakież tam sztuczki! Jeśli nie wierzycie, mogę udowodnić. Ot, choćby teraz odwrócę się do was plecami, nie będę patrzeć, a wszystko zgadnę. Każdy ruch ciała.

Och-och-och! Nogi — jak gdyby nie moje. No! Proszę zacząć.

Tak, tak. W tej oto właśnie chwili dłubiecie w nosie. Tak jest, małym paluszkim. Teraz przestaliście. Złapaliście ręką za lewe ucho. Wydymacie dolną wargę. A co, zgadłem? He, he. A z was to kawalarz! Patrzcie jaką pantomimę za plecami rozegrał! Myślał — nie poznam. Język wysunął, czoło zmarszczył... Oczka u was, Sergiuszu Sergiuszowiczu, całkiem zezowate. Podpiliście sobie. Uderzyło w was diabelskie ziele.

Na dziś chyba wystarczy. Ja nie takie rzeczy potrafię. A teraz po ostatnim kieliszku i spać. Późno. Co też sąsiedzi pomyślą?

Nie i nie. Nawet nie próbujcie. Następnym razem dokonczę opowiadania. To ta Krowatkina zabiła mnie z pantafyku. Cały nastrój zepsuła. Dość już i tylko na pożegnanie czegoś ciekawego dokonam. Ot choćby — chcecie? — zniknę, nie ruszając się z miejsca. Rozwieję się bez śladu. Raz, dwa, trzy! Byłem — i już mnie — nie ma!

Dobranoc, Sergiuszu Sergiuszowiczu!

II.

...I w taki sposób po krótkim czasie pozostały jedynie rusałki. A nawet i one... Sami wiecie: industrializacja bogactw naturalnych. Miejsce dla techniki! Strumienie, rzeki, jeziora prześmierdły chemicznymi substancjami. Różne metaliczne hydraty, toluoły. Ryby po prostu zdychają i płyną brzuchami do góry. No, a te rusałki, zdarza się, wynurzają się, wyparskają, a z oczu — nie dacie wiary! — płyną łyzy zgryzoty i rozczarowania. Sam widziałem. Wspaniały biust okryty złośliwym liszajem, egzema, a nawet — proszę wybaczyć nieskromne słowo — recydywa wenerycznych dolegliwości.

Dokąd się schować?

Nie namyślając się długo, tam gdzie wszyscy, razem z leśnymi diabłami, z czarownicami — do stolicy. Kanałem Moskwa — Wołga, przez te wszystkie śluzy i filtry, gdzie woda bardziej czysta i odżywcza. Żegnaj, kraju rodzinny, żegnaj, pierwotne środowisko!

Ile ich tam zginęło! Niezliczona ilość. Naturalnie, nie na zawsze, bądź co bądź nieśmiertelne stworzenia. Niektóre z nich, te co bardziej w ciebie, ugrzęzły w wodociągowych rurach. Samiście, prawdopodobnie, o tym słyszeli. Kran w kuchni odkręcisz — a stamtąd nagle donoszą się szloch-y, pluska się coś, przeklina w diabły. Myślicie — czyja to sprawa? To właśnie rusałczane głosy. Ugrzęźnię taka w umywalce i zaczyna kaprysić i kichać.

A mówiąc między nami, tu w tym mieszkaniu żyje sobie łatwo i swobodnie pewna była rusałka. Według dowodu osobistego — Zofia Franciszkówna Winter. Znać ją, rozumie się. Biega w bawelnianym szlafrocuku i różne natryski stosuje od rana do wieczora. Albo w łazience pluska się przez trzy godziny pod rząd (inni lokatorzy nie mają gdzie rąk umyć), albo na sedesie brzeżkiem usiadzie i śpiewa wiersze o Loreley. W niemieckim języku.

*Ich weiss nicht was soll es bedeuten
das ich so traurig bin...*

Heinrich Heine ułożył. Mówię do niej wczoraj Zofka! Przynajmniej nowego lokatora powinabyś krępować się. Pisarz bądź co bądź. A ty biegasz po korytarzu w jednym szlafrocuku, bez guzików, bez tasemek, i przy każdym ruchu wszystko ci się na pół metra rozpina.

A ta — dziwka bezwstydną — tylko zęby szczerzy. „Ten twój pisarz — powiada — 'Białe bzy' mi podarował. Perfumy niby. Myśmy się, dziadziu, zrozumieli od pierwszego spojrzenia”.

Strzeżcie się, Sergiuszu Sergiuszowiczu. Niech was Bóg uchroni przed zalecaniem się. Załaskocze was na śmierć. A gdyby chodziło o coś bardziej konkretnego, no, to wam powiem: rybia w niej krew i cała reszta — także rybia. Jedynie zewnętrzny wygląd kobiecy, żeby wodzić na pokuszenie...

Widzę, że znowu śmiejecie się nie wierzycie ani trochę. Chociaż pisarz — nie macie żadnej spostrzegawczości. Co na przykład, możecie powiedzieć o Anczutkerze? Wasz sąsiad. Anczutker. O, za tą przegródką. Nic specjalnego. Obywatel jak wielu. Tyle, że Żyd, Mojżesz Jechielewicz. I co z tego! Karol Marks też chyba z Żydów wyszedł.

A jeżeli przyjrzeć się i to tak uważnie? Koafiura u niego jaka? Spotkaliście kiedykolwiek mężczyznę z takimi kudłami? A kolor twarzy? Czy znajdziecie człowieka, żeby miał taką niebieską skórę? I spojrzenie ma niewesołe i czterdziesty siódmy numer butów, a przy tym wszystko popłatane: prawy but na lewej nodze, lewy na prawej. I tak chodzi, niedźwiedź chamowaty, w domu i w ministerstwie.

A także proszę zwrócić uwagę, jaką on literaturę czytuje. Korolenki „Szumi las”. Nową powieść Leonida Leonowa „Rosyjski las”. Nie przeczę — powieść pierwszorzędna. Ale dlaczego — zapytuję — koniecznie ten temat? I dlaczego ten przeklęty Anczutker pracuje w leśnym resorcie? Brzozy i świerki liczy przy pomocy logarytmicznej skali i na sześciennym metry tłumaczy... A w ogóle to nie żaden Anczutker, lecz według prawidłowej, naukowej nazwy — Anczutka. Teraz kapujecie? A właśnie!

Nie, Sergiuszu Sergiuszowiczu, nie znajdziecie wśród naszych lokatorów ani jednego prawdziwego człowieka. Pomimo że to moi krewni. Że tak powiem, z tej samej wsi. Ale co z tego! Bardziej dbam o swoją opinię. To ignoranci, pół-analfabeci, niekulturalne baby, utrzymują, że niby skrzat i Leśny Diabeł to zupełnie to samo. Jesteście w błędzie! Zupełnie inny zawód. Jakże można nie dostrzegać w tym zagadnieniu zasadniczych różnic! Skrzat przywykł do domostwa, do ludzkiego zapachu, do ciepła. Od niepamiętnych czasów! Co on ma wspólnego z diabłami i czarownicami! Powiecie, może, że ta sama natura. Ale! I co z tego, że natura! Człowiek, na przykład, od małpy pochodzi. Jednak później wyodrębnił się w samodzielną odmianę. Z małpami ma do czynienia jedynie w Afryce i w zoologicznych ogrodach. Jakże mnie, starszemu, można powiedzieć, człowiekowi, mieszkać w warunkach zbiorowego życia?!

Kiedy więc Mikołaj Mikołajewicz i Ninoczka wprowadzili się do naszego mieszkania, od razu im powiedziałem: — Kola! — mówię, — Ninoczka! — czuj duch! Nie dajcie się sprowokować. Mieszkajcie tu, jakby w oddaleniu. A ja pogrzeję się przy waszym ciepłku na starość lat.

— Nie! — odpowiada Ninoczka. — Kto wlaź między wrony, krakaj jak i ony. Nie zapomnę ja tej Krowatkińskiej historii z grochówką. To ona nasze mięso kradnie, a nam

do żucia jej włosy? Do tego brudne i siwe. Zarazić się od nich można.

Rozkazuje zatem swemu Mikołajkowi przypasować przy wszystkich rondlach stalowe kłódki. Żeby jedzenie, gdy gotuje się bez dozoru na kuchennej blasze do wspólnego użytkowania, na klucz zamykać. Nieraz skrada się na palcach, otworzy czym prędzej rondel, dołoży soli i masła, i znowu na klucz.

Ale i to nie pomogło. Przewrotność działa po staremu. Postawiła Ninoczka, powiedzmy, kurę na ogniu, powiesiła kłódki. Otwiera — a tam kot ugotowany w kurzym rosole. Nawet nie obdarty, ze skórą i z ogonem.

Wzięła Ninoczka na ambit. Inna sąsiadka, Jewdocha Wasiutkina, przeciągnęła ją w międzyczasie na swoją stronę. Wytworzyło się przymierze. Jewdocha miała z Krowatkiną osobiste porachunki: nie wiedzą jak podzielić się Anczutkerem. Jednej i drugiej Anczutker dzieciaków narobił. Znaczy się, małe leśne diabełta. No, i walczą dwie wroginie, w imię tej niedźwiedziowej miłości.

Wyobraźcie sobie widowisko. Kuchnia. Kłębi się dym, rozgardiasz. W tym dymie dwie wiedźmy szarpią się, ciągną jedna drugą za kudły. W twarz jedną drugiej pluje z bliskiej odległości. Brzydkie słowa wypowiadają bardzo wyraźnie:

— Czarownica! Wyciruch!

— Ty sama czarownica! Dokąd tej nocy jeździłaś okrakiem na zlewie?

A pod nogami wiercą się dzieciaki, z brzuchami niebieskiego koloru. Każdy stara się jedną z przeciwniczek ugryźć w łydkę. Małeństwa jeszcze, a już zębate, z pazurkami.

A tuż obok, wyobraźcie sobie, Ninoczka. Włoski w nieporządku. Oczka płoną, jak lampka w kieszonkowej latarce. W ręku wałek od ciasta, a przez dziurę w koszuli widać, jak żeberka, drobne jak u kurczęcia, trzęsą się, niby w febrze.

Obejrzałem to wszystko i zapłakałem po raz pierwszy. Czyż mnie, staremu, uporać się z trzema rozwścieczonymi babami? Biegam dokoła, staram się ubłagać. — A kysz! — krzyczę — poszły precz do swoich kątów! Bo milicję zawołałem. — Ale baby nie chcą nawet słuchać. Jęk się rozlega na całej przestrzeni mieszkaniowej, tupotanie, zgrzyt

i brzęk patelni. A do tego rusałka Zofka zanosi się w łazience histerycznym śmiechem...

Wieczorem mówię do Mikołaja: — Tak i tak. Uspokój swoją Ninoczkę. To się dobrze nie skończy. Zobaczysz. Ściągnij z niej domowym sposobem trykotowe majtki i przetrzep leciutko miotełką, żeby się nie pchała do cudzej wojny.

Cóż znowu! Obraził się nawet. „Do samego — powiada — Najwyższego Sowietu dotrę, a tej sprawy tak nie zostawię. Krowatkinę koniecznie pod sąd. To faszystka. Mojej żonie ubliża słowem i czynem. Moja Ninoczka w całym swoim młodym życiu palcem nikogo nie dotknęła...”

Kochał ją prostoduszny Kola, kochał nieprzytomnie. I zaczęło się wtedy u nich...

Sergiuszu Sergiuszowiczu, siedźcie spokojnie. Nie ruszajcie się. Widzicie? — pod łóżkiem szczur lata. Ściągnijcie niepostrzeżenie but i bijcie. Tylko bez pudła, bo ucieknie. Już! Zaraz znowu wysunie się. Rzucaj! W łeb! Na miejscu go! R-rraz!

Ech, zbańczył! Bij, Sierioża! Złap butelkę! Butelką, butelką go!

Niezręczny z was człowiek... Toż mówiłem ci — butelką. Uch! Nawet nogi mi drżą. Nerwy zupełnie się rozkleiły...

A czy wiecie, Sergiuszu Sergiuszowiczu, kto to był? To przecież Ninoczka do nas przyszła... Nudno jej bez Mikołaja. Więc przychodzi na stare miejsce — ta nasza Ninoczka...

III.

Nie lękajcie się, że bez stukania. Sprawa bardzo pilna. Niestety, Sergiuszu Sergiuszowiczu! Niestety! Ta Krowatkina wszystko wywąchała i opowiedziała Anczutkowi. Co teraz stanie się z nami? Co się stanie?

Słuchajcie, pozostawanie w waszym pokoju jest niebezpieczne. Tym bardziej w moim przyrodzonym kształcie. Lokatorzy mogą zauważyć. Ja już i tak przelazłem przez szparkę. Wlazłem pod drzwiami. I to w moim wieku...

Jedną chwileczkę! Muszę się nieco zakamuflować, a potem porozmawiamy.

Jest tu u was jakiś odpowiedni przedmiot? Jest! Pozwólcie, zamienię się w szklankę. A wy siadajcie za stołem, że niby pijecie. Jeżeli ktoś zajrzy, rozmawiajcie sami ze sobą. Niech pomyśla, że jesteście pijani. Tak będzie bezpieczniej.

Chodźcie tu: już jestem na stole. Widzicie, przedtem były trzy szklanki, a teraz są cztery. Ach, nie, to nie ta! Doprawdy, jesteście mało spostrzegawczy. Jestem tu! Tu, obok talerza.

Aj! Nie dotykajcie mnie rękami! A nuż spadnę na podłogę i rozbiję się. Już i bez tego wszystkie kości mnie bolą.

Sergiuszu Sergiuszowiczu, proszę skupić uwagę i wysłuchać mnie z całą powagą. Nasza sytuacja nie może być gorsza. Wykryto nas. Śledztwo jest w toku. Ańczutker od wczoraj przestał się ze mną witać. Wiem dobrze, że zamierzają oddać mnie pod sąd. Za rozpowszechnienie ich sekretów. Jutro o północy w kuchni zbiera się Sowiet. To nie byłoby ważne, ale Szestopałow jest ze mnie niezadowolony. Już wydał odpowiednie zarządzenie. „Myśmy — powiada — mieli do niego zaufanie, a on utrzymuje periodyczne kontakty z obcymi elementami. Incydent z młodym małżeństwem myśmy mu, powiada, darowali, a on znowu zawiera przyjaźń z kimś niewłaściwym. Ten jego nowy przyjaciel, pisarz, wszystkie jego słowa na papierze zapisuje. To może spowodować nieprzyjemności. Należy ukarać gadułę, żeby innym w narów nie weszło. A tym pisarzem zajmujemy się osobno. Na szczęście to alkoholik i wkrótce zacząną mu się przywidywać prawdziwe diabły”.

Czy rozumiecie, Sergiuszu Sergiuszowiczu, co to oznacza? Rozłączą nas. Oderwą mnie od ostatniego człowieka, jaki został. Domu pozbawią i dachu nad głową. Pod podłogę wsadzą. W wilgoć, w zimno, między mikroorganizmy. Albo w sieć kanalizacyjną spuszczą głowę na dół. I zmuszą mnie bym przez kloaki cyrkulował aż do końca świata. Na wzór Żyda Wiecznego Tułacza, zwanego Ahaswerem. Czytaliście powieść Eugeniusza Sue pod tym samym tytułem. Otóż to. Tym samym systemem. Z jednego klozetu do drugiego.

A i wam też nie ujdzie na sucho. Otoczą was zewsząd ohydne mordy, koczkodany, upiory. Przerażenie was ogarnie. Zaczniecie pić więcej niż kiedykolwiek. Im więcej bę-

dziecie pić, tym większe przerażenie. Aż się wam w rozumie wszystko pomiesza, jak biednemu Mikołajowi Mikołajewiczowi!

Trzeba uciekać. Wszystko jest przewidziane. Przyjdę do was jutro, o pół do dwunastej. Przed samym rozpoczęciem święta, przed Wielkim Kuchennym Sowieciem. Bądźcie przygotowani. Tamci na gości będą czekać, stroje przygotowywać. Zajmą się przygotowaniem zakąsek. Z padliny, z zepsutych jaj. W zamieszaniu kontrola niewątpliwie osłabnie. W odpowiedniej chwili wsadźcie mnie do kieszeni (sam jakoś postaram się tam umieścić), włożycie palto, żeby wiatrem mnie nie zawiało, i szybkim krokiem wyjdziecie na ulicę. Że niby wypiliście coś niecoś i postanowiliście wyjść na ulicę, odetchnąć świeżym powietrzem.

Pierwszą biedę jakoś w hotelu będziemy klepać. Później — dom, mieszkanie urządzimy. Bez lokatorów, bez sąsiadów. Gospodarze sami dla siebie. „Żaden bóg, ani car, ni bohater!”.

Na wszelki wypadek, profilaktycznie, ikonę można zawiesić. Nie przejmujcie się tym, takie przyzwyczajenie, na wsi się wychowywałem. Wśród ludu takie przesady są jeszcze bardzo rozpowszechnione.

A jeżeli nie chcecie ikony, jeżeli przekonania wam nie pozwalają, to z „Historii powszechnej” jakiegoś tam Rafała z Dzieciątkiem wytniemy i przykleimy na widocznym miejscu. To również broni przed diabelską mocą i od złego spojżenia ochrania. A jednocześnie przyzwycię, postępowo. Sztuka bądź co bądź. Nikt się nie przyczepi.

Najważniejsze, Sergiuszu Sergiuszowiczu, żeby razem się trzymać. Bez waszej, bez ludzkiej pomocy nigdy się stąd nie wydostanę. Wewnątrz mieszkania mogę spacerować, ile zechcę. Po ścianach, po suficie — według życzenia. Ale za próg ani krokiem. Fizjologia mi nie pozwala.

Wy beze mnie — cóż tam udawać skromnego! — także zginiecie. A przy mnie, jak Bóg pozwoli, zdobędziecie wszechświatowy rozgłos. Charles Dickens, Mayne Reid... Wiem przecież, wszystko wiem? chytrus z was nie byle jaki. Ledwie wyjdę z pokoju, zaraz za pióro chwytacie. Nawet kiedy samopoczucie słabe i nad językiem kiepsko panujecie...

Cóż tam, te nasze pogwarki! Drobna część tego co wiem. Mam w zapasie cały Dekameron takich bajek. Wszy-

stko oparte na osobistym doświadczeniu. W pięciu tomach można by wydać. Z ilustracjami. We dwójkę, Sergiuszu Sergiuszowiczu, bracia — Grimm to dla nas mięta.

Aj, aj, aj! Cóż wy robicie? Po co koniak we mnie wlewacie? Przecież zakrzyszczę się! Natychmiast mnie odpłuczcie...

Aleście mnie nastraszyli, Sergiuszu Sergiuszowiczu! Weźcie pod uwagę — jutro żeby ani-ani! Ani jednej kropelki! Bądźcie czujny i ostrożny. W postępowaniu i w mowie. Powstrzymajcie się, proszę, od wzmiankowania w gwałtownej formie. Bo to różnie się zdarza. Ninoczkę wczoraj widzieliście? No, tak, Ninoczkę, zamienioną w szczura. Teraz tak już zostanie na zawsze... Nie ma powrotu.

Kola wytrzymawał to wszystko przez długi czas, aż wreszcie mu się wyrwało: — Idźże ty, Ninka, do diabła! Uprzykrzyły mi się te awantury!

Ledwie wypowiedział te fatalne słowa, wchodzi do ich pokoju Anczuter. Że niby w jakiejś sprawie, papieroska poprosić. Patrzy uporczywie na Ninoczkę, a ta patrzy na Anczutera, i bardzo się sobie nawzajem owej chwili spodobali.

Ninoczka w owym czasie nie była już jak dawniej. Włoski przerzedzone, oczka zapadnięte, a brzusek — odwrotnie — wypięt się. Od tej wewnętrznej złości. Tylek u niej też, wiecie, jakby wyraźnie przejrzały. Krótko mówiąc, przypadła mu do smaku i zaczęły się między nimi schadzki, podszcypywanie, różne pieszczotliwe figle-migle i w ogóle. Zrobiła się z niej prawdziwa czarownica. Pogodziła się z Krowatkiną. Nawet po nocach zaczęła uczyć się latania na zlewie. Jak raketowy silnik. Przy pomocy gazu, nagromadzonego w kiszkach.

A kiedy Mikołaja Mikołajewicza zabrali do domu wariatów, współlokator puścił ją w trąbę. Porzucił ją w odmiennym stanie. Żeby nie płacić alimentów i zadość uczynić zazdrosnej Jewdosze, zamienił Ninkę w stworzenie, pozbawione ludzkiej mowy, i w tej samej sytuacji zostawił. Potem w szczurzej jamie okociła się. Siedem sztuk na świat wydała.

Może nawet żałować jej wypadu. Osobiście jednak widzę w tym wydarzeniu prawdziwą alegorię. Podcinała podstawy moralności, więc słusznie ją to spotkało. Szkoda nawet, żeście nie utrafili butem w jej głowę. Byłby nie-

wątpliwy pożytek i sprawiedliwa kara. Za Mikołajka. Jak w powieści „Anna Karenina”. Porządny był człowiek.

Zagadałem się tu z wami. Widać, słusznie Szestopalow gadułą mnie nazwał. Tylko że to łatwo powiedzieć! Od ludzi jestem odseparowany. Słowa nie mam z kim zamienić. Milczę i milczę po całych dniach. I po całych nocach. Tylko walonkami po posadzce szuram.

No, już dobrze. Byle by stąd się wydostać. O tymże samym Szestopalow takie historyjki znam, że ze śmiechu będziecie umierać.

A więc postanowione — jutro! Więc do jutra. Słowo honoru? No, no!

W tej chwili odchodzę, niepostrzeżenie, tak jak przyszedłem. Proszę tylko nie denerwować się. Nikt nas nie widział, nikt nie słyszał. Czysta robota, można powiedzieć!

IV.

Ej!

Sergiuszu Sergiuszowiczu!

Już czas!

Najwyższy czas!

Gdzie jesteście? Gdzieście się schowali?

Poszedł? Poszedł beze mnie! Zostawił starca na zgubę. Bezdomnego starca!

Co to? Na podłodze rozwalił się? Czyżby umarł? Sergiuszu Sergiuszowiczu, kochany... Serce bije. Oczka mru-gają. Zbudźcie się! Uciekajmy! Ostatni termin przyszedł. Przed chwilą był telefon: z powodu święta przyjdzie Szestopalow. Lada chwila przyjdzie. Teraz o nas nie myślą. Rwetes, przygotowania.

Jakże tak, Sergiuszu Sergiuszowiczu? A ja myślałem... Jakże wam nie wstyd! Przecież daliście mi słowo... I to akurat teraz... Nie mogliście się powstrzymać?

No, jakże w takim stanie pójdziecie przez miasto? Przecież milicja was zabierze!

Wszystko jedno — wstawajcie! Mamy do dyspozycji cztery minuty. Słyszeliście? Podnosić się natychmiast!

Co to znaczy, że nie macie siły? Nogi odmawiają posłuszeństwa? Nie wygłupiajcie się!

Kochaneńki, no, spróbujmy razem. Postarajcie się. Uchwycicie się rękami za szyję. O tak! Jeszcze raz. Ależ ty, bracie, ciężki jesteś! Czekaj, czekaj, nie przewracaj się!

Tsss! Zwariowałeś?! Huk poszedł po całym mieszkaniu. Domyślą się — przyjdą po nas. Co ja wtedy ze sobą zrobić? Odpowiadaj na pytanie: Co ja mam robić ze sobą?

Co tam mamroczesz? Mam gdzieś twoje przeprosiny! Słyszysz, słyszysz? Krowatki na ucho do drzwi przykładają. Przepadliśmy! Zaraz Anczutkera zawoła, Szestopałowa...

Sergiusz Sergiuszowicz! Syneczku! Ratuj! Spróbuj choćby podnieść się na kolana. Czekaj, pomogę ci. O tak... O tak... Teraz módl się. Przytrzymam cię z tyłu, za ramiona. Módl się! Módl się — powiadam — ty, mordo pijacka!

Co to znaczy — zapomniałeś? A ja skąd umiem? Ty ty powinieneś umieć! Ty jesteś człowiek, a nie ja. Ty partię rozgrywasz. A mnie nie wolno, nie ma na to przepisu.

Jakże to, Sergiuszu Sergiuszowiczu? — z diabłami mieszkasz, opowiadania o diabłach zapisujesz, i nie nauczyłeś się modlić?!

Dobra! Niech będzie w pozycji leżącej. Przekręć się na plecy. Zrozum-że wreszcie, że to jedyny sposób... Czy w innej sytuacji przyszłoby mi to do głowy?! Złóż palce. Najpierw do czoła. Teraz — tu... Dlaczego udajesz? Łżesz! Możesz chrapać, ja i tak nie uwierzę! Ze wszystkiego doskonale zdajesz sobie sprawę, wszystko rozumiesz... Czy może sam jesteś szatanem, czy jak?

A tu kto znowu? A-aa... Ninoczka? Jak się masz, Ninoczka... Nie bój się, nie bój. Nic ci nie zrobię. Teraz mi wszystko jedno...

Właśnie! Patrz, jaki urodziwy, zachwycaj się. Twój przyszedł małżonek. Trzeci z kolei. W szturczyj jamie razem zamieszkacie... Obwąchaj mu oczy. Poliż. Teraz już pozwala... Ty go nie obchodzisz. Zakołowało go, pokój wiruje. Diabełki w oczach już skaczą. I szturczy...

Doczekaliśmy się. Idą całą gromadą. Tupią w korytarzu. Zaraz wedrą się do pokoju. Po mnie przyszedli. I po was także, Sergiuszu Sergiuszowiczu. Po was także! Po was także!

GOŁOLEDŹ

Od autora

Piszę tę opowieść tak, jak rozbitek sygnalizuje swoją katastrofę. Ze szczątków łodzi, czy z bezludnej wysepki wrzuca do zbatwanionego morza butelkę, ufny, że wiatr i fale doniosą ją do ludzi, a oni odczytają tragiczną wiadomość, kiedy nadawcy już dawno nie będzie na świecie.

Ale butelka czy dopłynie? Czy wyciągną ją chwytliwe ręce żeglarza, i poleją się na pokład łzy współczucia i żalu? Czy też woda morska rozpuści lak i strawi papier, a butelka pusta, może rozbiwszy się o rafy, spocznie na wieki na dnie wód?

Moje zamierzenie jest jeszcze trudniejsze! Bez żadnego przygotowania naukowego czy literackiego, zabrałem się do pracy z myślą nie tylko o druku, ale o rozgłosie i uznaniu: bo tylko w ten okólny sposób mam szansę trafienia do ciebie, o Wasylu! Tak, Wasylu, wierz mi, nie zabiegam o pieniądze, ani o honory — ty, Wasylu, tylko ty, jesteś mi potrzebny, nie szukam innych czytelników poza tobą — ale przez ile rąk musi moja książka przepłynąć, nim trafi do twoich!

Bo i jakże inaczej: ogromny jest ocean życia, a butelka taka nikła, musi przepłynąć tysiące i tysiące kilometrów, za nim znajdzie adresata.

Wybacz mi więc, Wasylu. Nie mam twojego adresu. nie znam nawet twojego nazwiska, nie zdążyłem się w porę dowiedzieć, a kiedy się połąpałem, było za późno. Ale wiem: żyjesz, jesteś zagubiony — jak i ja — w falach czasu i przestrzeni. I oto pewnego dnia wchodzisz od księgarni i widzisz na ladzie moją książczynę!

Czy przypomnisz sobie? Czy drgnie twoje serce i nagle ożyją zamglone obrazy przeszłości? Czy wyciągniesz do mnie rękę, czy pospieszysz z pomocą i przyjaźnią?

Wasylu, o jedno tylko proszę: Odnajdź Nataszę. I ona jest tam gdzieś w twoich okolicach. Pamiętaj, Natasza. Inna Natasza, nie podobna do tamtej. Bo ja wierzę w fatalizm imion! I jeśli nawet nie rozpoznasz jej w moim opowiadaniu, wiem, że serce podszeptnie ci, o kim mówię.

Powtarzam: odszukaj Nataszę i — ożeń się z nią! Prędko, zanim nie będzie za późno. Ożeń się z nią, choćby była starsza od ciebie i otoczona liczną dziatwą. Zresztą, i ty masz żonę — to nie ma znaczenia, rzucić żonę i zamieszkać z Nataszą. Zrozum, jedyny to sposób, abym ją odzyskał. Przepuszczę okazję i nigdy już się nie odnajdziemy...

Nie gniewaj się, Wasylku, wszystko ci wytłumaczę, wyłożę kolejno, a zrobię to ar-ty-stycz-nie, bo zależy mi na dużym nakładzie: łatwiej do ciebie trafię. Bądź spokojny, dam radę, naczałem się różnych powieści. Wiem, jak się zabrać do rzeczy. A co najważniejsza, mam mnóstwo czasu. Koniec końców, nie trudno zostać wielkim pisarzem, kiedy się ma przed sobą tak długie życie.

A ty, Wasylku, idąc za wątkiem mojej opowieści, wsluchaj się z uwagą w swoje wnętrze. Być może, coś się w tobie poruszy i rzucisz się na ratunek biednemu rozbitkowi. Oto siedzisz sobie z Nataszą w cudnej altanie, obejmujesz jej wiotką kibić i mówisz słowami poety:

*Niech moja śliczna pani dla mnie
nie śpiewa smętnej Gruzji piosnki,
bo z zapomnienia się wyłamię
daleki brzeg i czas beztroski.*

*Nieposkromione pieśni tony
obudzą pamięć, aż wymarzy
tę noc, i stęp, i oświetlony
księżycem zarys lubej twarzy.*

*Kiedy na ciebie patrzę — znika
to widmo miłe i uroczne...
Tylko w twym śpiewie wraca dzika
tragiczna miłość — szczęście mroczne...*

A propos, wierszyk ten napisał Puszkina, ten sam, którego znasz dobrze. Ale myliłeś się mówiąc, że go rozstrzelano. Zabito go w pojedynku z pistoletem — o tym wiem ja z całą pewnością.

Jeszcze jedno: czy warto przeczytać Nataszy mój smutny utwór? Czytaj jej lepiej Puszkina i kochaj ją, kochaj tak, jak ja kochałem. I bądźcie ze sobą szczęśliwi.

O nic innego nie proszę.

I.

Siedziałem z Nataszą na bulwarze Kolorowym. Byliśmy sami — w taką gołoledź nikt nie ryzykuje tu spaceru. Nikt, z wyjątkiem nas obojga, ponieważ kochaliśmy się bardzo i żaden upadek, żadne potłuczenie nie było nam straszne.

— A to paskudztwo! — narzekałem. — Zwariować można. Jeżeli pogoda się nie zmieni i do jutra nie będzie śniegu, stanowczo nie obchodzę w tym roku Sylwestra! Czyś ty widziała kiedy coś podobnego? — w końcu grudnia? Bo ja — nie. A wszystko — przez te doświadczenia atomowe, wyścig zbrojeń. Latem ziąb, zimą deszcz. Dochrapaliśmy się.

Chciałem wdać się w rozważania na temat zakażenia atmosfery, które — tylko patrzeć — sprowadzi nowy okres lodowcowy. „Tak, tak, sierść kosmatą — powiadam — sobie zapuścimy, hodowlę mamutów założymy”. Natasza przerwała mi: przypominała sobie z wczesnego dzieciństwa śnieżną zawieruchę w środku czerwca. Było to pod Saratowem, na letnisku, latem 1928 roku.

Fantazje. Nie mogło to być prawdą, choćby z tej przyczyny, że Natasza w 1928 miała dwa lata. Gdzieżby tam mogła spamiętać śnieg! Wiedziałem z własnego doświadczenia, że pojemność naszej pamięci ma swoje granice. A tu, na dodatek, plątały się w jej wspomnieniach osy, kosy...

— Nie rób ze mnie wariata — powiedziałem ze złością.
— Albo mnie okłamywałaś: zataiłaś swoje latka. Pewno urodziłaś się nie w 26-ym, ale w 23-im?

Chciałem jej dokuczyć. Byłem urażony. Zdawało mi się dotąd, że znam ją na wylot. Byłem z nią dostatecznie blisko, zdążyliśmy opowiedzieć sobie wszystko, cośmy o sobie wiedzieli. Nie pomijając nawet takich momentów, których na ogół nie lubi się wspominać, a coś dopiero opowiadać. Nie byliśmy małżeństwem i na razie nie mieszkaliśmy razem, ale rok już minął, odkąd zmusiłem Nataszę, by ostatecznie wyprowadziła się od Borysa. Przez ten rok spotykaliśmy się jeżeli nie co dzień, to co drugi. A tu naraz okazuje się, że w jej życiu było więcej zdarzeń, niż mogłem przypuszczać. Więc na przykład, jeszcze nie umiała chodzić, kiedy, pewnego razu bawiąc się zapalnikami, spaliła sobie włosy. Płonęły takim żółtym płomieniem — przypomina to sobie wyraźnie.

Byłem od niej starszy, i mądrzejszy, i bardziej czytany — nie miałem zwyczaju ustępować. Tak więc wywiązała się dyskusja na temat mglistych przypomnień, a sprzeczałem się tym zajadlej, im mniej miałem szans na wygrana.

— A ja właśnie pamiętam... — upierała się Natasza.

— A ja też właśnie pamiętam... I sam zacząłem grzebać we wspomnieniach z wczesnego dzieciństwa — a nuz coś nowego wygrzebię z głębi niepamięci?

Należy sądzić, że ten wysilek był psychicznym bodźcem do zmian fizjologicznych, które tego wieczoru zaszły w moim mózgu i w szybkim tempie nadały inny bieg naszemu losom...

Teraz, po latach tylu, trudno mi powiedzieć dokładnie, jak to się stało. Być może, byłem do tego przygotowany całym przebiegiem dotychczasowego życia? jak to się mówi: było mi z góry przeznaczone przeżyć to wszystko, co przeżyłem? Może tak, może nie — nie wiem... Tak czy owak, w tamtym momencie nic a nic o tym nie myślałem, po prostu tłukłem się o barierę pamięci, usiłując ją przesunąć jak najdalej i przypomnieć sobie to, co było *przedtem*. I raptem jakaś fatalna przegroda runęła, a ja sam poleciałem w próżnię, doświadczając wprost fizjologicznie przykrego odczucia upadku. Spadałem zatem i spadałem, nic nie ro-

zumiejąc, a kiedy wreszcie oprzytomniałem, wszystko nakoło było to, i nie to, i ja sam byłem niezupełnie ten sam.

Jestem więc w długim wąwozie, wciśniętym pomiędzy oble góry i jałowe pagórki. Dno zaciągnięte skorupą lodu. Po brzegach stoją pojedyncze drzewa, również nagie. Nie wiele tych drzew, ale głuchy zgiełk wiatru świadczy o bliskości obszarów leśnych. Woń padliny. Roje świetlików. Nie, to nie świetliki, to chyba strzępki księżycy, poszarpanego przez wilki. Ale niedługo gnaty jego znowu zaczną obrastać białym świecącym mięsem i wypłynie on znów na niebo, pod akompaniament zawistnego wycia wilków...

Nie zdążyłem się z tym oswoić, ani tego pojąć, bo już nacierała na mnie bestia z rozdziawioną paszczą. Z ogromną szybkością przebiegała niewidocznymi łapami, wydawało się, że ma ich nie cztery, ale tyle chyba, ile ja mam łącznie palców u rąk i nóg. Ładna historia! Nie miała co prawda wzrostu normalnego mamuta, ale za to była tęższa, bardziej spasiona, a na pewno o wiele silniejsza od niedźwiedzia. Z bliskości zwróciłem przede wszystkim uwagę na jej brzuszysko: przezroczyste i jasne jak rybi pęcherz, a wewnątrz bełtały się żywe ludziatka! Ależ ścierwo pazerne: łykała żywcem swoje ofiary! a te kręciły się i wierciły w jej brzuchu...

Ma się rozumieć, opisuję to dzisiaj w grubym przybliżeniu, pierwszymi z brzegu słowami. Bo wtenczas w głowie mojej w ogóle żadnych słów nie było, były natomiast odruchy warunkowe i jakieś tam, jak to się mówi, przeżytki religijne. Zdjęty strachem, zamamrotałem zaklęcia, których dziś nie śmiałybym wyklądać na papier. A jednak! Zaklęcia odniosły skutek, bo udobruchany zwierz oddalił się i wbiegł pomiędzy skały, wystrzeliwszy na pożeganie snop elektrycznych iskier...

Kiedy uprzytomniłem sobie, że w moim zamroczonym mózgu te iskry skojarzyły się z elektryką, łatwo już doszedłem do wniosku, że zwyczajnie, wyminął mnie boguduchawinny trolleybus! Wniosek ten przywrócił mi chwilowo utraconą świadomość bieżącej chwili.

Okazało się więc, że ciągle siedzę jakby nigdy nic na ławce na bulwarze, a obok najspokojniej w świecie siedzi moja Natasza, która w ogóle nic nie zauważyła, a wielkie, wieczorne, nigdy nie milknące miasto huczy i stęka, jak las w czasie niepogody.

— Jeżeli pogoda się nie zmieni — powiedziałem zgnębiony — i do jutra nie będzie śniegu, to ja, moja droga, w tym roku nie obchodzę Sylwestra.

Już nie miałem odwagi dłużyć sobie w mózgu. To nagłe zaćmienie pamięci podziało na mnie przygnębiająco. Staralem się nie poddawać zdenerwowaniu i nie natężyć umysłu. Milczałem wciągając w płuca swojską smrodliwą mgłę, przepojoną wyziewami benzyny. Podgniłe, mżące światło ulicznych latarni przypomniało mi — co prawda nie za bardzo — księżycową poświatę, ale wiedziałem z pewnością, że i ono ma źródło, najkonkretniej w świecie, w zwykłej elektryczności. Z niejakim zaleknieniem patrzałem na budynki, latarnie, drzewa, trolleybusy, które raz po raz przelatywały wzdłuż domów i szpaleru drzew — a wszystko to było tak konkretne, tak tożsame z sobą, tylko z sobą i z niczym innym!

W pewnej chwili zobaczyłem postać ludzką — nadchodzącą otyłą kobietę. Szła po gołoledzi balansując z lekką jak baletnica. Mijała nas w dość znacznej odległości. Nie mogłem zatem żadną miarą rozpoznać ani jej wieku, ani rysów twarzy. Ale masywna sylwetka, kokieteryjnie rozkołysana, nie wiedzieć czemu podszeptała mi domysł, że leciwa osoba musiała być kiedyś baletnicą i że występując w roli Odetty podbiła sobie serce niejakiego admirała Kurbatowa. Skąd się wzięła w mojej głowie ta dokładna informacja? — pojęcia nie miałem, widziałem babę po raz pierwszy w życiu! Nie chciało mi się nawet sprawdzić prawdziwości mego domysłu! Ale jednocześnie nie opuszczało mnie przeczucie, że domniemana baletnica w chwili, gdy wyminie ot tamtą latarnię, do której się właśnie zbliża, poślizgnie się i zwali jak długi. Pomyślałem sobie nawet, czy nie powinienem jej ostrzec? — ale przez ciekawość zaniechałem i z zapartym tchem obserwowałem jej ewolucję. A kiedy stara na fatalnym miejscu zwała się jak na rozkaz, zamachawszy krótkimi rączynami, poczułem w głębi duszy coś jakby wyrzut sumienia. Jak gdybym sam ją był potrafił na śliskim trotuarze.

Podbiegliśmy do niej oboje z Nataszą, ciągniemy ją każde w inną stronę, ale przestraszona starucha nie chce wstać i wciąż na nowo opada zmoczonym siedzeniem na lodowaty trotuar. „Nie dam rady — stęka. — Złamana... prawa noga”. I zachrypniętym szeptem zapewnia nas, że

padając słyszała wyraźnie trzaśnięcie kości. Z bezzębnych jej ust zalatuje zapaszkiem wcale dobrego portu.

Pókiśmy się męczyli z tą sapiącą kupą, w mózgu moim cała sytuacja ostatecznie się wyklarowała. Stara wyraźnie przesadza. Mowy być nie mogło o złamaniu prawej nogi, bo takową straciła w katastrofie, lat temu trzydzieści, a w zamian, w najwyższym sekrecie, wprowadzono jej wsporną protezę — i o tę właśnie protezę turbowało się babsko. Ale ja mogłem przysiąc, że precyzyjny aluminiowy aparat, wykonany w Berlinie na koszt admirała Kurbatowa, wyszedł z przeprawy nie uszkodzony, nawet nie drażnięty. — Susanna Iwanowna, niech się pani podniesie, jeszcze się pani nabawi ischiasu — musiałem troszkę na nią pokrzyczeć, zanim wstała.

Za to później entuzjazm jej przeszedł wszelkie wyobrażenie. Przekonawszy się o solidności niemieckiego aluminium, dziękowała mi z istic francuską wylewnością. Nic była wcale zdziwiona, że nieznajomy zwraca się do niej per „Susanna Iwanowna”. Uważała to widać za rzecz naturalną. „Cieszę się — rzekła — że spotkałam tak uprzejmego młodego człowieka” — który zapewne pamięta ją w niezapomnianej roli Odetty na scenie Sankt-Petersburskiego Maryjskiego Teatru.

— Ach, gdybym mogła odzyskać swoje dziewiętnaste lata! — wołała Susanna Iwanowna i przyłożywszy do bezzębnych ust końce podartych rękawiczek przesłała mi całusa. Z niemałą trudnością pozbyliśmy się ex-baletnicy, zalecając jej, aby ostrożniej przebiegała swoimi śliskimi kończynami...

Natasza uśmieła się do łez. Oczywiście spytała, skąd znam Susannę Iwanowną. Wymyśliłem skomplikowaną historijkę: zapamiętałem jej fotografię z jakiegoś starego czasopisma, z czasów, kiedy pasjonowałem się historią rosyjskiej sceny. Na co Natasza, z miłym wdziękiem, rozegrała scenę zazdrości. I tak była przyjemna, taka pieśczośliwa tego wieczoru... Odwzajemniałem się jak mogłem...

Ale Susanna Iwanowna tkwiła mi w głowie. Tłukło się we mnie przecucie, że grozi jej nieszczęście. Nogi? nie, z nogami wszystko w porządku. Groziło jej zgoła co innego — rak macicy i od dziś za dwa miesiące — koniec. (W głowie mojej zresztą kłębiło się od wszelakich przecuć)...

Kiedyśmy porządnie zmarzli, Natasza spytała, czy pójdziemy piechotą, czy pojedziemy trolleybusem? Długo nie mogłem się zdecydować, który wariant jest bezpieczniejszy. Co do siebie nie miałem obaw, ale Nataszę nie tyle prowadziłem pod rękę, ile niosłem niczym pakiet jaj. O tym, jak łatwo tłuką się jajka, starałem się nie myśleć.

Pojechaliśmy trolleybusem: było zbyt ślisko.

II.

A przecież nazajutrz rano popadał śnieżek i okrył cienką warstwą trotuary i jezdnie, późnym zaś wieczorem powstało złudzenie prawdziwej zimy, jakiejś szczególnej schludności i przywróconego w naturze porządku. Toteż przewyciężając niechęć, zgodziłem się na prośbę Nataszy spotkać z nią i z Borysem Nowy Rok, w nieznajomej zresztą kompanii. Domyślałem się, że Borys — na prawach dawnego bądź co bądź męża — od dawna ją o to prosi. Już drugi tydzień Natasza uprzykrza się: — Zrozum, jak Borysowi jest źle. Obojgu nam — dobrze, a jemu — tak źle! Została biedakowi w życiu jedna tylko przyjemność — od czasu do czasu popatrzeć na mnie. Popatrzeć, nic więcej. Przecież on sam prosił, żebyśmy oboje przyszli. W dodatku — w cudzym domu, na neutralnym że tak powiem gruncie. Nikt tam nikogo nie zna...

Nie rozumiałem zgody Borysa na moją obecność. Ja bym tego na jego miejscu nie zniósł. Co mi tam. — Koniec końców, miałem w nosie jego przeżycia wewnętrzne, a starałem się nie odmawiać Nataszy w niczym. Jak gdybym już wtedy przeczuwał, jak prędko się to wszystko skończy... — Niech tam! Czort z wami, z twoim Borysem, z twoją filantropią! — powiedziałem w końcu, godzinę przed północą. No i pojechaliśmy do obcych ludzi, z dwiema butelkami pod pachą. Dla przyzwoitości.

Jak to zwykle w przygodnej kompanii, zgarniętej byle jak i byle gdzie, czas ciągnął się nam wolno i nudnawo. Wyryczało się pierwsze toasty, nawinszowaliśmy sobie wszelkich pomyślności z Nowym Rokiem, i naraz wszyscy jakoś zmęczyli się, osowiali i oklapli. Każdy z współbiesiadników zapewne z niecierpliwością czekał na tę chwilę, szykował się do niej od dobrego tygodnia, a może i mie-

siąca, a oto ledwośmy zasiedli za świątecznym stołem, okazało się, że nie mamy sobie nic do powiedzenia i że najrozsądniej — rozejść się, iść spać. Ale tyle nadziei wiązano z tą nocą! Toteż nikt nie odchodzi, siedzimy wszyscy, czekamy i wytrzeszczamy na siebie zaspane oczy. Jak gdybyśmy się spodziewali, że raptem któryś wstanie i coś takiego zaiwani, że na zawołanie urzeczywistnią się wszystkie nasze nadzieje.

Przystojniak kaukaskiego typu, dziarski, z junackim wąsikiem nad namiętными ustami, już przeszło pół godziny starał się rozruszać nudną kompanię, opowiadając anegdoty o wariatach. Kiedy na koniec, z niemałym opóźnieniem, stwierdził, że ani temat, który od dawna wszystkim obmierzał, ani szarżowany akcent wschodni nie pobudził nikogo nawet do skromnego uśmiechu, dał spokój minom, grymasom i chichotom i zamilkł rozmarzony, wydymając swoje malinowe, bezwolne, niewieście-słodkie wargi.

Lotnik — as próbnych lotów, z nienaturalnie zaafektowaną miną rozprawał ze swoją żoną na tematy ich budżetu domowego, jak gdyby nie mieli okazji omawiać tej sprawy we właściwszym miejscu. Beżenni kawalerowie, nie mając nic lepszego na widoku, z zapalem kurzyli papierosy. Niezameżne babki, jedna szpetniejsza od drugiej, na przemian biegały do toalety — musieliśmy, ja i Natasza, ciągle wstawać, by dać im przejście między kanapą a stołem.

Prawdę mówiąc, tylko Borys nie tracił czasu. Zaklinowany w odległym kącie, nie spuszczał z Nataszy zakochanych i żałośliwych oczu. Rzygać mi się chciało od tego patrzenia. Natasza, z opuszczonymi rzęsami — jak umarła — siedząc przy mnie, pozowała dla niego. A ja, nie zagłębiając się w sekrety ich wzajemnych stosunków piłem kieliszek za kieliszkiem, piłem — nic nie jedząc.

Moje pijane oczy bezwiednie pociągnęły ku choince, na której nareszcie pozapalano świeczki. Zażądałem głośno, by wygaszono wszystkie inne światła, zostawiając świecom pełnię inicjatywy. A one mrugały tak wesoło i trzaśkały tak przyjemnie, że zaraz powstała owa świąteczna atmosfera, której nam brakło, i oto stopniowo wszyscy, może tylko z wyjątkiem Borysa, znaleźliśmy się pod ich urokiem, skupieni nareszcie i zjednoczeni wokół choinkowego ikonostasu. Przez kilka minut panował nastrój podniosły, zapewne taki właśnie, jakiegośmy szukali schodząc się w tym obcym mieszkaniu.

Dla tych minut, mówiłem sobie, warto pomęczyć się w towarzystwie obojętnych a nawet odpychających nudziarzy!

Ale świece jedna po drugiej zaczęły dogasać, i znowu opadł mnie wczorajszy niepokój, który zdawać się mogło — ulotnił się z oparem alkoholu i wsiąkł bez śladu w choinkę. Z niepokojem zatem obserwowałem, jak to poszczególne płomyki, które zapłonęły wszystkie razem wesoło i zgodnie, teraz wypalają się w różnych odstępach czasu, w różnej że tak rzeknę mimicznej inscenizacji. Pewnie wynikało to z różnej długości knotów i w ogóle z technologii produkcji świec — bardzo być może, ale ja osobiście, z przyczyn aż nadto zrozumiałych, interesowałem się i przejmowałem wyłącznie inną stroną tego zjawiska.

Nie uważam się za pesymistę, ale muszę powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że wystarczy wmyśleć się z właściwym skupieniem w istotę życia, żeby stwierdzić w sposób oczywisty, że wszystko kończy się śmiercią. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego, byłoby to nawet niedemokratyczne, gdyby ktoś z nas raptem przetrwał i zakonserwował się na wieki wieczne. Ma się rozumieć, każdy chciałby żyć wiecznie, ale kiedy się pomyśli, że taki Leonardo da Vinci — że i ten pomarł, to doprawdy ręce opadają.

Wszystko to byłoby jeszcze znośne, gdyby w tym względzie przestrzegano całkowitej równości, braterstwa i żelaznej prawidłowości. Gdybyśmy na przykład opuszczali padół ziemski w zorganizowanym trybie, dużymi kolektywami, seryjnie, podług wyznaczników pokoleniowych czy, dajmy na to, narodowych, nieuchronna rozłąka utraciłaby swoją bolesność. Przeżyła wyznaczony sobie termin jedna nacja, amen i kropka, podawaj następną. Ale na tym właśnie polega podstawowa komplikacja, a zarazem i pikantny urok istnienia, że nigdy nie wiesz, kiedy ono się dla ciebie skończy. Zawsze masz w rezerwie szansę wykonywania partnera i przeżycia go choćby o miesiąc. Czyni to nasze życie ciekawszym, nadaje mu ryzyko, strach, element gry i różnorodność. I oto patrząc na dogasające ogarki, które w moim małotrzeźwym umyśle skojarzyły się jakoś i pomieniały z poszczególnymi osobami, z ostrym zaciekawieniem i trwogą obserwowałem ich niejednakowe ugasanie.

Jedne zatem dogorywały z tą samą beztroską, z jaką zapłonęły, a nawet bliżej końca wzmogły rozrzutny blask płomyka. Inne już w połowie życia zaczynały się oszczędzać. Jak gdyby oszczędzanie się pozwalało przetrwać! (Niezawsze, bratku! Zdarzało się, że oszczędny knot zamierał z nadmiaru własnej parafiny, o parę dobrych centymetrów powyżej parafki).

Inne wreszcie dopiero pod koniec uświadamiają sobie nagle grozę sytuacji: ciskają się od brzegu do brzegu na blaszanym swoim łożu, rzucając na ściany i sufit wyogromniałe odbłaski, wycieńczają się z ostatnich soków i gazów i wreszcie topią się udławione we własnych rozkładających się za życia wnętrznościach — wystawiając na pokaz cały repertuar nieprzyzwoitej agonii.

Teraz zdaję sobie sprawę, do jakiego stopnia byłem nieostrożny, oddając się tej zabawie rozgorączkowanego umysłu! Ba, drugi mój błąd był groźniejszy! i odegrał w moim życiu rolę równie fatalną, co ów pamiętny wieczór na bulwarze Kolorowym. Polegał zaś na tym, że nie oparłem się pokusie, aby spośród wszystkich świeczek wybrać dla siebie jedną, która wydawała mi się najodpowiedniejsza, i z niej wyróżnić terminy swego życia i śmierci.

I co się okazało? Gdy wokoło mnie wszystkie płomyki stopniowo jeden po drugim gasły, ja sam żyłem sobie śpiwając w postaci skromnego ogienka! Już ciemność zaległa w pokoju, a ja wciąż kopciłem, ku własnemu zdumieniu przeżywszy wszystkich tu obecnych o lat co najmniej dziesięć.

Ktoś wstał, aby przekręcić wyłącznik. „Niech będzie ciemno” rozkazałem, „póki nie dogaśnie ostatni ogarek”. I nie spuszczać z niego wzroku, zacząłem w duchu odliczać: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... — żeby określić liczbę lat, która należała mi się, że tak powiem, legalnie.

W sumie, doliczając moje ówczesne lata, wypadło mi osiemdziesiąt i dziewięć lat życia. A kiedy dociągnąłem do tej liczby zjawiała się pielęgniarzka, a właściwie salowa, podeszła do mojego łóżka i nachyliła się nad wezglowiem.

Iskra życia wciąż jeszcze we mnie tliła: konałem w pełni świadomości, niespiesznie i spokojnie, i jakoś skonać nie mogłem. Naokoło sąsiedzi chrapią, majaczą przez sen; czuć karbolem, kałem; salowa, przycupnąwszy na skarbowym taburecie, wypatruje niecierpliwie, kiedy ją wreszcie

zwolnię. Spać jej się chce, bardzo, ziewa głośno, robi znak krzyża, czochra się i z wyrzutem patrzy na mnie od czasu do czasu, sprawdzając, czy jeszcze żyję, czy już wykitowałem. A ja tymczasem, chociaż doskonale rozumiałem słuszność jej ponagień i własny brak taktu, nie mam dość sił, by powiedzieć słowami, albo w inny jakiś sposób dać do zrozumienia, że ona może sobie iść stąd. Patrzę więc na nią z zażenowaną miną i tylko to jedno uczucie nurtuje we mnie: wstyd wobec pocziwej kobiety, która jedyna na świecie zachowała do mnie jakiś osobisty stosunek. Ten to wstyd, że ja wciąż jeszcze żyję, doprowadzał mnie do istnej desperacji... Było mi tak wstyd i przykro, że wstałem i zdmuchnąwszy szybko ostatni płomyk, zapaliłem elektryczne światło.

...Osowiałe oczy współbiesiadników i współbiesiadnic wpatrywały się we mnie badawczo. Jak gdybym i w stosunku do nich nie był w porządku, jak gdybym miał obowiązek zabawiać ich w zamian za towarzystwo. Ktoś ziewając zaproponował zabawę w szarady. Albo w fanty. I znów wszyscy potakująco wpatrywali się we mnie, jak gdybym ja tu był wodzirejem, i nastrój tylko ode mnie zależał. Na co, zabawnym grymasem otrząsając się z pajęczyny wstydu i strachu, która oblepiała mi twarz, zawołałem:

— Uwaga! Uwaga! — i pstryknąwszy palcami jak wyłącznikiem. — Teraz wystąpi przed wami słynny jasnowidz-chiromanta! Czyta przeszłość, wróży przyszłość! Kto śmiały, niech próbuje!

Z początku, naturalnie, nikt nie uwierzył w moje talenty, a i ja sam nie zanadto sobie ufałem. Ale gdy z szybkością matematyczną zacząłem wyklądać fakty i daty i jakieś wyjątkowe detale z biografii lotnika, a ten za każdym razem potwierdzał, wszyscy zaczęli wyrażać mi swój podziw i rozochoćeni, jeli się tłoczyć jeden przez drugiego...

Migawkowo oglądnąwszy diagramy czyjejs fizjonomii, bez zastanowienia wymieniałem rok urodzenia, liczbę podstawowego uposażenia, numer paszportu, ilość skrobanek... Wolałem podawać cyfry, tylko cyfry, ponieważ w naszych czasach one najwymowniej wyrażają realne życie.

— A przyszłość, towarzyszu, wróżyście? — zapytała studentka Instytutu Przemysłu Lekkiego.

— Coś nie coś i owszem — odpowiedziałem wymijająco. — Na ten przykład, za tydzień na egzaminie dostaniecie piątkę z marksizmu-leninizmu. Nie musicie się przygotowywać — podam wam treść biletu: piąty Zjazd Partii i czwarte prawo dialektyki.

Klasnęła w dłonie, zapowiadając, że tylko z tego się przygotowuje.

— Skąd możecie o tym wiedzieć? — dobadywał mnie przystojny Gruzin. — Kto wam uwierzy?

— Proszę odczekać tydzień i sprawdzić — odpowiedziałem, cokolwiek urażony.

Nikt nie chciał czekać. Wszyscy chcieli natychmiast się upewnić, czy rzeczywiście posiadam dar przewidywania wypadków. Akurat w porę coś strzeliło mi do głowy:

— Zgoda — powiedziałem — Zaczekajmy minutę. Dokładnie za minutę na tej ścianie ukaże się pluskwa. Tam — widzicie tę reprodukcję? Giorgione, zdaje się. Pluskwa zakreśli regularne koło i popęźnie w lewo, pod najbliższą ramkę...

I rzeczywiście, jak przepowiedziałem, po minucie na ścianie pojawiła się pluskwa. Wypęzła spod Śpiącej Wenus i zakreśliwszy zapowiedziane koło, włązła pod inną babkę, tę ze stłuczonym dzbanem. Niewiasty — w pisk. Ktoś wyraził opinię, że pluskwy żadnej w ogóle nie było, że była najzwyczajniejsza hipnoza. Inni naszeptywali sobie, że pluskwa tresowana i sam ją niepostrzeżenie wytrząsnąłem z rękawa. A mój sceptyk Gruzin odezwał się:

— Wielkie mi rzeczy — pluskwa. Przewidzieć pluskwę nie trudno. Drobne stworzenie. Niech nam lepiej towarzyszy wywróży, kiedy na całym świecie zapanuje komunizm?...

Puściłem propozycję mimo uszu: Gruzin był provokiem.

Przypatrzwszy mu się z ukosa zauważyłem, że gdzieś między obojczykiem a brzuchem wyrastają mu z błyskawiczną szybkością prawdziwe damskie piersi. Po chwili młody, dziewiczy, ale wcale uformowany biust ujawnił mi się z całą wyrazistością. A przecież wąsy i inne oznaki męskości zachował — wszystko to w łączności nadawało mu typowy wygląd hermafrodyty.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, jak to sobie wszystko wytłumaczyć: może to skutki mojego mało trzeźwego

stanu? Ucieszyła mnie ta interpretacja: bo może też inne dziwactwa i wysoki ostatni dzień tłumaczą się równie prosto i przyzwoicie? Niestety! niedługo ludziem się tą nadzieją: nie wino i nie wódka, wypite w porządnej porcji, ale odmienne moce zniewoliły mój mózg i pokazały otaczający mnie świat w spaczonych postaciach.

Po przystojniaku Gruzinie inni współbiesiadnicy zaczęli się dziwnie przeistaczać. Sylwetki i rysunek twarzy ulegały jakimś drżącym, która przypominała wibrację przyrządów sygnalizacyjnych. Linie przesunęły się i rozplywały, stwarzając dziesiątki pulsujących zarysów. Kobiętom wyrastały brody, blondyni stawali się brunetami, po czym łysieli aż po czubek, i znów porastali obfitym włosiem. To okrywali się zmarszczkami, to młodzieli, aż stawali się dziećmi, krzywonogimi, wielkogłowymi. mętnookimi bachorami, a te z kolei rosły, przybierały na cięle, zaokrąglały się, żeby znów szczupłeć.

Przy tym wszystkim każdy zawsze zachowywał jakieś ogólne podobieństwo pierwotnego wyglądu. Dzięki temu, nie bez trudu zresztą, rozpoznawałem osoby i utrzymywałem z nimi łączność środkami ludzkiej mowy. Ale teraz już nie miałem śmiałości mówić im prawdy o ich życiu i przyszłych losach!

Jeszcze niedawno wiedziałem z całą pewnością, kto tu jest złodziej, kto bigamista, a kto zakonspirowana córka zbiegłego białogwardzisty. Teraz wszystko pomieszało się, wpłątane w nieustające przemiany. Niesposób się połapać gdzie się kończy jedna osobowość a zaczyna druga. W tym niejaki Bielczykow, młody inżynier, poprosił mnie z przesadną grzecznością, czy nie byłbym łaskaw i nie zechciał wymienić jego roku urodzenia. Spontanicznie cisnęła mi się na usta absurdalna data, obalająca podstawowe prawa natury: 237 rok przed naszą erą!

Odpowiedź ta wyłoniła się w moim mózgu, bez udziału mojej woli, automatycznie, pod działaniem zapewne zmian, jakie zachodziły w inżynierze Bielczykowie. Na głowie bowiem inżyniera efemerycznie jakoś zaświecił starożytny hełm strażacki, a spod zbyt obszernego wełnianego garnituru zarysowały się białe jakieś ni to prześcieradła, niezgrabnie owijające tułów, tylko gołe nogi (w spodniach) były nieokryte. Ale ma się rozumieć, nie te spodnie, nie hełm strażacki i jeszcze jakieś inne nieuchwytnie cechy podszeptęły

mi myśl, że inżynier Bielczykow urodził się w roku 237-ym, i to przed naszą erą!

Nie powiedziałem tego na głos, na szczęście. Bo w następnej chwili hełm znikł, a spod rozkołysanych przesćieradeł wynurzyła się naga babka, nie pierwszej co prawda młodości, ale wcale jeszcze do rzeczy. Nie było wątpliwości, miałem przed sobą kurtyzanę, pochodzenia że tak rzeknę mocno starożytnego. Uskuteczniała całym ciałem kuszące wygibasy, ale nie zdążyłem się w tym rozsmakować, gdy lekkomyślne stworzenie znikło, zluzowane przez dziwną marę — ni to mnicha, ni to kastraty. Ten zaś po paru sekundach drżączki przepostaciował się z kolei w nierządnicę, tyle że na oko mniej pociągającą od tamtej. I tak się na odmianę luzowali, asceci z prostytutkami, w coraz to innych wcieleniach, aż zajechali do mojego inżyniera Bielczykowa. Stał oto przede mną i ponawiał swoje pytanie: — Bądźcie łaskawi, proszę was: mój rocznik?

Powiedziałem w pośpiechu (póki jeszcze był inżynierem Bielczykowym, a nie diabli wiedzą kim), że urodziłem się 1 marca 1922 roku w Semipałatyńsku. Żeby zaś przestał naprzykrzać się głupimi pytaniami, dodałem głośno, że ojciec jego przed rewolucją posiadał w Semipałatyńsku jatkę i zatrudniał u siebie obcych ludzi. Z czego wynika, że nie był bezrolnym chłopem (jak to inżynier podawał w ankietach). Na co mój Bielczykow sponsowił, przestraszył się na dobre i z przestachu znowu począł się trząść i w tempie przyspieszonym — przeistaczać.

Na początku wydawało mi się, że obserwowane przeze mnie przemiany odbywały się w przeszłości, w czasach starożytnych, w każdym razie nie później niż w roku 1922 naszej ery. Teraz natomiast kurtyzany pływały się w grzechu, zaś pokutnicy gładzili ascezą i modlitwą ich grzechy, na innym, wyższym etapie dziejowego procesu, przy czym ich dialektyczna sprzeczność reprodukowała się w dalszej ewolucji inżyniera Bielczykowa. Z pobieżnego podsumowania tych efemerycznych karier wyciągnąłem wniosek, że dobrnęliśmy do połowy dwudziestego czwartego stulecia! Niestety, sprawowanie ich świadczyło ponad wątpliwość, że nawet w tej odległej promiennej przyszłości nie będziemy jeszcze wolni ani od popiego narkotyku, ani od niewieściej, że tak powiem, lekkomyślności, chociaż przy-

wary te, oczywiście, wyrażać się będą w odmiennym układzie społecznym i w odmiennej formie...

Spieszę się zastrzec: nie robię z tego żadnej teorii i jestem jak najdalej od kreciej roboty ideologicznej. Dobrze wiem, że każdy człowiek, choćby to nawet był sam Leonardo da Vinci we własnej osobie, jest pochodnym produktem sił ekonomicznych, które produkują dosłownie wszystko. Chciałbym tu tylko zrobić jedną uwagę: że ludzkie — tak rzeknę indywiduum, charakter, osobowość czy tam nawet — za pozwoleniem — dusza, w życiu nie grają żadnej istotnej roli, stanowiąc tylko miraż, złudzenie optyczne, w rodzaju dajmy na to plam, które latają przed oczyma, gdy nacisnąć palcem oko, albo długo i bez zmrużenia wpatrywać się w słońeczko.

Zżyliśmy się z tym, że osobnik ludzki porusza się w atmosferze, która wydaje się pusta i przezroczysta, co przez kontrast nadaje ludzkiej postaci pozorną twardość i gęstość w sobie. I właśnie to równomierne zagęszczenie, twardość i wyrazistość sylwetki, tak dobitnie występujące na tle atmosfery, błędnie przenosimy w świat wewnętrzny ludzkiego osobnika i nadajemy temu nazwę „charakter”, albo i „dusza”. W istocie duszy nie ma, jest tylko dziura w powietrzu, a przez tę dziurę przebiega w te i tamte nerwowy prąd takich i owakich stanów psychicznych, które zmieniają się od wypadku do wypadku, od epoki do epoki.

Kiedy wspomniałem wyżej, że w losach inżyniera Bielczykowa na pierwszy plan wysuwały się kurwy i popi, nie chciałem bynajmniej obrazić tego sympatycznego człowieka, po prostu stwierdzałem stan rzeczywisty. Przecież to nie inżynier Bielczykow, ale ten, kto w danym momencie historycznym bytował pod jego pseudonimem! Mówiąc dokładniej — owa niewyraźna dziurka, która na danym etapie była zatkana jego inżyniersko-bielczykowską zawartością, a w innym czasie gościła inną zawartość. I odmieniały się one i odnawiały regularnie — a po co? bo ja wiem po co, może dla jakichś celów dziejowej równowagi?

Każdy z nas — niech no tylko zacznie grzebać w sobie, z łatwością znajdzie najbardziej nieoczekiwane relikty przeszłych i przyszłych swoich stanów. Na przykład: nagle cię podkusi, żeby co ukraść, zabić, sprzedać się drogo. Uczciwie mówiąc nieraz odczuwałem takie zachcianki w swojej — tak zwanej, za pozwoleniem — duszy. Żeby

tylko takie! A i ty, czytelniku mój podłubaj w sobie, a znajdziesz tego po licha i trochę, o ile nie jesteś bezwstyd-
nym obłudnikiem. Grunt, nie bądź obłudny a wtedy łatwo
zrozumiesz, że nie masz prawa mówić o kimś: „on jest
złodziej”, a „ja jestem inżynier”, albowiem w rzeczy samej
nie ma w ogóle żadnego „ja”, ani „on”, a po drugie —
wszyscyśmy złodzieje i kurwy a może i co gorszego. Jeżeli
naprawdę myślisz że jesteś czymś lepszym, to znaczy, że
wyciągnąłeś los na loterii życiowej. Ale w przeszłości, choć-
by lat temu tysiąc, wszyscyśmy byli złodzieje i kurwy,
albo w przyszłości dojdziemy do tego ideału, o czym zresztą
zapewniają nas nieustająco nasze słodkie wspomnienia i
gorzkie przecucia.

Dopiero znacznie później zapanowałem jako tako nad
tą niebezpieczną sztuką docierania wzrokiem tam, gdzie
ludzki wzrok nie sięga.

Tak, znacznie później osiągnąłem dostateczny stopień
samokontroli i w stosunkach z ludźmi nauczyłem się tak
każdego traktować, jak gdyby rzeczywiście mieścił się w
utrwalonych granicach swojej osobowości i biografii. Ale
owej fatalnej nocy doznawałem wrażenia, że przebywam
w towarzystwie nie parudziesięciu, ale co najmniej paruset
ruchliwych fizjonomii. Zaledwie muskałem je wzrokiem,
aby nie zapaść się w głąb stuleci, tysiący, dziesiątków
tysięcy lat. Wszystko nakazywało mi najdalej idącą ostro-
żność: chwile grozy, odczute na bulwarze Kolorowym, kiedy
raptem znalazłem się w epoce jaskiniowych trolleybusów,
hańba mojej własnej niedawnej agonii na łóżku szpital-
nym... Mimo to niełatwo mi było utrzymać rozbiegane
oczy, którym żaden obiekt nie wydawał się wystarczająco
trwały i godny zaufania...

Więc szukając jakiej bądź pomocy, rozglądałem się
za Nataszą, chociaż wiem, że nie wolno mi tego robić.
Przecież sam rozumiałem, że Natasza jest też istotą ludzką,
mogłem się zatem spodziewać, że odkryję, na przykład,
wąsy na jej twarzy, albo coś zgoła bardziej radykalnego.
I chociaż jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, co mi z tej
strony grozi, ale na wszelki wypadek starałem się nie pa-
trzeć na Nataszę: z tym, bracie, nie ma żartów.

Ale w chwili rozterki, szukając punktu oparcia, bez-
wiednie utkwilem w niej wzrok. I cóż, pierwsze spojrzenie
uspokoilo mnie: ani śladu wąsów, brody, czy innych pas-

kudztw, które by mogły mi na zawsze zbrzydzić jej urodę. Ale po chwili zmiarkowałem, że Natasza jest w ogóle bez głowy. Zrazu dorysowywałem ją do tułowia, ot, z przyzwyczajenia, ale im dłużej się wpatrywałem, tym oczywistszy stawał się fakt braku głowy. Szyja — owszem, aż do podbródka. A przecież ciało zachowywało naturalną siedzącą postawę i palce od czasu do czasu poprawiały niewidzialną fryzurę, wykonywując w próżni bezprzedmiotowe piruety.

Musiałem się niemało wysilić, by lawirując zręcznie wzrokiem odtworzyć dawną postać Nataszy, złożyć w jedno jej twarz, głowę i tułów, jak to czynią restauratorzy z potłuczonym wazonem. I zaraz poczęły pchać się do głowy złe myśli i skojarzenia: o kruchości wazonów w ogóle, o tym, że wazon może się wyslizgnąć z rąk i rozbić o trotuar, albo o kawał lodu, albo rozprysnąć się pod czymś ciężkim, co spadło z dachu. Opędzałem się jak mogłem tym obrazom. W ogóle starałem się nie myśleć o Nataszy: była zbyt krucha i mogła nie wytrzymać nagłego zderzenia z moją rozigraną wyobraźnią.

— Idziemy do domu, Natasza — powiedziałem niegłośnie, poczuwszy w sercu znużenie i jakąś dziwną jałowość. Poczucie bezpowrotnej utraty było tak dojmujące, że nie zwróciłem prawie uwagi na odezwanie się Borysa:

— „Więc powiedz mi, wróży” — powiedział z krzywym uśmieszkiem. — A odgadnij no, wróżybito, co robiłem w zeszłą niedzielę od godziny dziesiątej do jedenastej rano?

Nic więcej nie powiedział tego wieczoru — w pytaniu, wystrzelonym z kąta, skupiła się cała wezbrana w nim zawiść, i zazdrość o Nataszę, i poczucie upokorzenia. Nie liczył się już nawet z obecnością Nataszy — właśnie w jej obecności ujawnił dokładnie dzień i godzinę: „w zeszłą niedzielę od dziesiątej do jedenastej” — aby tym celniej ugodzić we mnie, a jednocześnie wypróbować stopień mojej przenikliwości.

W innych okolicznościach nabiłbym mu pysk i narobił mnóstwo innych szaleństw. Może nawet w przystępie wściekłości zerwałbym z Nataszą i zwrócił ją Borysowi ze stosownym epitetem. Ale w obecnym stanie rzeczy wiedziałem o Nataszy znacznie więcej, niż on mógł sobie wyobrazić. Wśród kupy bied, które zwały się i miały zwalić

*) Z wiersza Puszkina o Olegu: *Słazi mnie Kudiesnik, lubimiec bogow.*

na mnie w najbliższym czasie, fakt, że Natasha zeszłej niedzieli zdradzała mnie od godziny dziesiątej do jedenastej, wydał mi się błahy. Zresztą, nie do jedenastej, ale do pół do jedenastej, jeżeli już dbać o dokładność.

Nie patrząc na nią i nie odpowiadając Borysowi, powiedziałem miękko i powoli, jak gdyby nic nie zaszło:

— Chodźmy, Natasha, do domu. Idziemy, kochanie.

Wstała bez wahania, wzięła mnie czule pod rękę i tak przeszliśmy przez pokój. Byłem jej wdzięczny za ten znak stałości uczuć. Co z tego, że po trochu zdradza mnie, ulegając namowom i prośbom dawnego męża? Z litości to robi, no i z przyzwyczajenia. Ale kocha tylko mnie, kocha mnie, że tak rzeknę, systematycznie, jak tylko może i póki może... Trzeba to cenić w naszych niepewnych czasach.

W przedpokoju dopadł mnie lotnik i, przycisnąwszy do wieszaka, domagał się odpowiedzi na pytanie, które go bardzo trapiło. Szeptem, w sekrecie przed żoną dopytywał, kiedy — orientacyjnie biorąc, przeznaczono mu zginąć? Zadręczał się tym, nie wiedząc, czy może sobie pozwolić na dziecko i czy jeszcze warto kupić lodówkę?

Tej nocy dałem sobie słowo, że nikomu nie ujawnię daty śmierci — nie chciałem gasić romantycznego nastroju i osłabiać hartu i zdrowej inicjatywy. Ale w tym wypadku musiałem zrobić wyjątek. W jego zawodzie śmierć była zjawiskiem regularnym; nie przedmiotem cieższej ciekawości, ale owszem, czymś, co się traktuje spokojnie. Toteż powiedziałem lotnikowi, jak mężczyzna mężczyźnie, że zostało mu życia równo pięć i pół roku. Po czym, osiągnąwszy rekordową szybkość, zamieni się w parę w strefie Pacyfiku, nie zdążwszy nawet zrozumieć technicznej przyczyny bolesnego zniknięcia.

Informacja ta wzbudziła wybuch entuzjazmu! Pięć i pół roku — ba, nie wąski to termin. Na tyle nie liczył. Przypuszczał, że nastąpi to znacznie wcześniej. Teraz mógł sobie pozwolić na kupno lodówki i mieć rozkosz z żoną nie zepsutą środkami antykoncepcyjnymi. Cieszył się jak dziecko.

— A przyznaj się, bratku — mówił trzęsąc się ze śmiechu i klepiąc mnie po ramieniu. — Przyznaj się, pluskwa twoja jest uczona, tresowana jak pies? Sprytnie nabrałeś nas tą pluskwą! No, powiedz, ujawnij swój sekret, nikomu nie powtórzę...

Uwierzył bez wahania, kiedy wróżyłem mu śmierć w rakiecie za pięć i pół roku. Ale uwierzyć, że można przewidzieć marszrutę pluskwy na ścianie — to przekraczało jego możliwości.

III.

Trafiony głuszec spadł z brzozy, jak gdyby go pociągnięto za sznurek. Nacisnąłem cyngiel, wycelowałem i widzę, że siedzi na gałęzi — masywny, czarny kur, i gapi się ścierwo na Dianę. Zleźliśmy z koni i hajda galopem! „Życzę pudła” — Kasiunia w różowym peniuarze kiwa nam ręką z ganku. Skoczywszy w siodło, zbiegam ze schodów i wzuwam buty. „Jaśnie panie, proszę wstać, świta” — krzyczy mi do ucha Nikifor. Moje palce wpiły się w jego muskularne łydki: — „Nie opuszczaj nas, na miłość Boską”, błagam, zlituj się nad twoim synem”... Patrzy w bok, błady ze złości: „Jaśnie pani, mogą nas zobaczyć”... Chwyciłem skalp w zęby i popłynąłem. Pośrodku rzeki poczułem mdłości. Z zaciśniętymi ustami dałem głębokiego nura...

— Powiedz mi, Wasylku, kto to był Puszkina? — pyta mnie żona przy obiedzie.

— Był taki starożytny pisarz rosyjski. Rozstrzelany. Pięćset lat temu.

— A Bołdyriow?

— A to, kochanie, też wielki pisarz. Autor sztuki „Po omacku”. I kupy wierszy. Rozstrzelany. Dziesięć lat temu.

— Ty wszystko wiesz, mój Wasylku — stwierdza żona z westchnieniem...

Strzelam z armaty, strzelam z arkebuz, strzelam z katapult. Wróg ucieka. Wpadamy do grodu.

— Do piwnicy, koleżko — powiada Bernardo — Białka! Szkoda, że martwa. Ale jeszcze nie drętwą.

Schodzimy do piwnicy. Dziewczyna leży na kamiennej podłodze, twarz nakryta zadartą spódnicą.

— Nie nadaje się — mówię. — Bój że się Boga!

— Przecież jej już wszystko jedno — mówi Bernardo.

Podkłada jej pod krzyż deskę. Przeżegnałem się i dawaj pierwszy. Bernardo nogą naciska deskę. Dziewczyna porusza się pode mną jak żywa.

— Pospiesz się — mówi Bernardo.

— Przymknij dziób, nie przeszkadzaj — odpowiadam i mrużę oczy...

— Kocham cię, Sylwio!

— Kocham cię, Greto!

— Kocham cię, Krzysztofie!

— Kocham cię, Stepanie!

— Kocham cię, Wasylku!

— Kocham cię, mój skarbie, mój kotku, mój guziczku, moja ostrzyżko, moja przekąsko!

— odpowiadają i całują mnie w usta.

A tful...

Bąk tłucze się o szybę. Śnieg skrzy się w słońcu. W butelce wystyga mleko. Mitia kicha.

Raz kichnął — lawina w Himalajach, kamienie zasypują ekspedycję.

Drugi raz kichnął — piorun trzasnął w krzyż u Świętej Trójcy, grzmi, pali się poszycie stodoły, płoną stogi siana.

Trzeci raz kichnął — powódź, pastor Zinowji Szwarz okrakiem na krowie przeprawiał fotel.

— Mitia — mówi do mnie stryj Sawelij, odsuwając numer „Wiadomości Moskiewskich” — jak nie przestaniez kichać, to dam ci w skórę...

I tak oto kilka dni z rzędu nie wychodziłem z domu, oddając się wizjom. Były urywkowe, chaotyczne, nie potrafiłem odseparować jednej mojej biografii od drugiej, ułożyć w chronologicznym porządku. Z drugiej strony, brak pośrednich ogniw intrygował mnie z naukowego punktu widzenia. Ale widać, umysł mój nie dorósł do wyśledzenia podziemnych kanałów: nie chwytalem logiki własnych przemian, ktoś robił ze mnie pośmiewisko — ale kto? To byłem Indianinem, a dalej patrzcie Włoch, a to znów niewinne dziecię, Mitia Diatłow, który umarł nie wiedzieć po co w ósmym roku życia, na przełomie 30 lat XIX wieku...

Tylko raz jeden uchylono przede mną zasłony, która raz po raz zapadała w tych zbyt częstych antraktach. Zobaczyłem samego siebie na stole w czepek, w sukni batystowej, w klasycznej pozie umrzyka, ładnie uformowanego

i przygotowanego do pochówku. Przy stole szlochał mój mąż, a dziatki unosiły się na palcach, z trwogą i zaciekawieniem wpatrując się w twarz, która zaczynała się wypaczać. Ale ja sam, człowiek żywy, patrzałem na tę scenę gdzieś z boku a zarazem z góry, i także samo płakałem, wrzeszczałem na cały głos, żeby nie spieszyli mnie chować, bo a nuż jeszcze zbiorę się z siłami i wstanę z mar! Prosiłem też, by zabrano kwiaty, mdliło mnie od zapachu cukierni. Ale oni nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi i wynieśli moje truchło — jak to się godzi, nogami na przód, a ja biegłem za nimi po naszych schodach marmurowych, i krzyczałem, żeby na mnie zaczekali, i straciłem przytomność...

Niekiedy, w tym burzliwym strumieniu wspomnień zatracalem świadomość, kto ja jestem i gdzie. Zaczynało mi się wydawać, że mnie w ogóle nie ma, jest ot, nie kończący się szereg oddzielnych epizodów, których aktorami są inni — przede mną i po mnie. Żeby to jako tako uporządkować i uwierzytelnić własną autentyczność, skradałem się do lustra i skupiony wpatrywałem się w siebie. Ale pomagało to nie na długo.

Człowiek na ogół tak jest urządzony, że jego własna powierzchowność wydaje mu się wątpliwa. Patrzy w lustro: czyżby ten pysk parszywy należał do mnie? to być nie może! Ta podstawowa niemożność odseparowania się od samego siebie — toć to fatalność naszego życia! Niech mi wolno będzie powiedzieć, mnie, który obserwowałem kiedyś własny pogrzeb, że uczucie, którego wtenczas doświadczyłem, powtarzało tylko, w uwielokrotnionych wymiarach, przeżycia każdego z nas przed lustrem. Uczucie niezgody na to, że cię wykładają gdzieś na zewnątrz, kiedy ty cały jesteś tu — we wnętrzu! Ktoś — tak myślę — kto siedzi w nas, za każdym razem żywo protestuje, kiedy usiłują go przekonać, jakoby był indywiduum, które widzi przed sobą. Podsuń mu pod nos ile chcesz luster najbardziej wymyślnych, a on — tkwiący w nas bezwyjściowo i bezwyjzadowo — popatrzy i pomacha rękoma:

— Coście, zwariowali! To mam być ja?

— A kto?

— Nie, nie, nie ja, nie ja! — drze się, wbrew oczywistości.

Tylko ładne kobiety potrafią godzinami delectować się sobą bez obawy. Ale to się tłumaczy tym, że ładne kobiety w ogóle mało myślą, a patrzą na siebie nie swoimi, ale oczami swoich koneserów i konsumentów. Wszyscy zaś inni, normalni i myślący ludzie, nie wytrzymują próby lustrzanej. Bo lustro, jak śmierć, jest sprzeczne z naszą naturą i wywołuje w nas podobnyż lęk, nieufność i zaniepokojenie.

Problematyczna to rzecz: aby ułamek szkła, posmarowany jakimś świństwem, mógł prawidłowo odtworzyć całą głębię człowieka! Więc po mału zaczynamy sobie dodawać kurażu, stroić miny i grymasy, jak gdybyśmy w ten sposób chcieli zmanifestować swoją wątpliwość, swój brak wiary w widmo, które oto, z miną niezależną, majaczy przed nami. Niby że — mam cię gdzieś! Paszoł won! zgiń! szczeźnij!

Przerażające jest to, że widmo, wbrew zdrowemu rozsądkowi, robi te same grymasy, i fuka na ciebie, i mówi ci prosto w oczy: — Szczeźnij, durniu!

Aż koniec końców nie wiesz, komu wierzyć — sobie czy jemu? — udręczasz się zagadkami bytu, i wątpisz, i stroisz głupie miny, i wreszcie spluniesz na widmo ze złością i odejdziesz precz, kontent z tego przynajmniej, że i ono podaje tyły, a zagadnienie twojej nieśmiertelności narazie zostało w zawieszeniu...

Spróbuj, mój czytelniku, godzinę albo i dwie spędzić przed lustrem, a wtedy mnie zrozumiesz.

Ale moje wątpliwości były o wiele bardziej udręczające. Po kilku minutach skupionej konfrontacji zaczęły wyłaniać się gęby tych wszystkich, którzy kiedyś byli mną i w swoim czasie gapili się na siebie w różnego rodzaju lustrach. Szpetne ich pyski spychały na dalszy plan mój własny, odwieczny kształt, znany mi odkąd siebie pamiętam i uwierzytelniony dziesiątkami fotografii. Gęba wykrzywia się w chichotkach i mrugach, to przewraca oczyma, prycha nosem, dmie się, namydlona do golenia, i łzawi, i wyciska sobie wągry i pryszcze, chociaż ja sam nie robiłem nic takiego, owszem, z niemałym wysiłkiem zachowywałem kompletny spokój i powagę. Musiałem się hamować, żeby moja twarz, z dawnego nałogu, nie utożsamiała się ze swoim odbiciem. Gdybym sobie popuścił i zaczął małpować nieswoje ticki, wykołebałbym się ostatecznie jako samodzielna

jednostka. Toteż ilekroć podchodzę do lustra, przybieram kamienny wyraz twarzy.

Nie wiem, czym by się zakończyły te doświadczenia, gdyby takie jedno spotkanie nie uprzytomniło mi całego ryzyka zabawy z widmami pamięci, które jak nic mogły mnie w końcu wyeksmitować z zależącego miejsca.

Niziutki, czarniawy, starszawy, koślawy typ, podobny do nietoperza ze zwiniętymi przeponami. Przyglądał się sobie w szkiełku, którego liczne fasety łamały jego dostatecznie już połamaną postać. Potem ukazała się w pierwszoplanowej wizji głowa całkiem łysa, koścista, ściśle obciążnięta zapiekłą, brunatno-czarniawą skórą. Sterana życiem twarzyczka popatrzyła na mnie tak przenikliwie, że domyśliłem się: on mnie też widzi. Ależ tak, ja widziałem jego, on widział mnie, i zamarliśmy jeden wobec drugiego w przerażonym zdumieniu, bo i on od razu połapał się, że ja patrzę na niego, i też był zdumiony i przerażony, niemniej ode mnie. „Boże, czy to możliwe, że ja kiedyś byłem taki?” — przemknęło mi przez głowę i odległe piekące przypomnienie obezwładniło moje mokre, moje zmrożone do szpiku ciało...

Pustynia. Minerały. Słońce. Trzymam w ręku szkiełko. Jaki ja będę po siedemdziesięciu pięciu wcieleniach? Zapytać?... Nie wolno stawiać pytań! Zapytam! Nikt się nie dowie... Widzę, widzę siebie. Mądra, piękna głowa. Ze skóry. Skórzana głowa. A to, kto jest? Coś białego, spotniałego. Podobny do ostrygi. Jaki odrażający! Strzęp mięsa. Sznur na szyi. Samobójca. Wymoczek. Już mnie zauważył. Patrzy. Stamtąd patrzy? Czy naprawdę widzi? A jakże, widzi mnie... Drgają mu wargi. I to jestem ja, ja?...

I nie przestając widzieć jego, zobaczyłem w lustrze siebie — takiego, jakiego on wtedy zobaczył w swoim szkiełku — i pamięć o mojej ówczesnej percepcji mojego obecnego wyglądu błyskawicznie obrysowała się: w idiotycznej marynareczce, z krawatem okręconym wokół białej wątlutkiej szyi... I oto ja, ten skórzany, zachłysnąłem się nienawiścią do tej galarety w marynarce i uciekłem od szkiełka (lustra?) — przez pustynię (pokój?) i padłem na łóżko (piasek?) i zasłoniłem twarz rękoma. Wydało mi się, że i on powtórzył za mną ten gest i zasłonił swoją — nie wiem już którą: skórzaną czy galaretową — twarz...

Tak oto spotkali się i rozeszli:

*ten, który widział tamtego,
który zobaczył,
jak ten widzi.
I tamten, który zobaczył tego,
który widział,
jak ten go zobaczył.*

Dzieliło ich mało-wiele 5000 lat. Było ich dwóch. Nie, mnie między nimi nie było.

...Natasza wyrwała mnie z tego stanu nieobecności.

— Ty śpisz? — spytała zdziwiona. — Śród dnia? Ty nie jesteś chory?

Mile „ty” Nataszy mogło się odnosić tylko osobiście do mnie. bo nikogo prócz nas dwojga nie było w pokoju.

— Ja śpię — odpowiedziałem, z radością wstając z łóżka. — Ja spałem. Ja jestem zdrow. Ja doskonale się czuję. Ja cieszę się, żeś przyszła. Ja tak się cieszę. Ja tak, ja tak bardzo, tak bardzo cię kocham.

I całowaliśmy się ile wlaźło...

Wizyty Nataszy w tym okresie były dla mnie prawdziwym olśnieniem. Wnosiły w moje życie brakującą dawkę realności. Przy niej czułem się mocniejszy, pewny siebie, życie wydawało mi się nie tak efemeryczne, kiedy miałem ją przed sobą, moją Nataszę, o której z całą pewnością wiedziałem, że kochałem ją i kocham. Szczególną przyjemność sprawiało mi słuchanie jej gadek o profesorach, egzaminach i pracach dyplomowych (pisała pracę o Turgieniewie na zakończenie studiów). Przyjemnie mi było patrzeć jak w pięć minut robiła jajecznicę z trzech jaj. Jak zwyczajną serwetką wytwarzała iluzję komfortu i czystości, jak ze zwyczajnego ręcznika upinała sobie fartuszek i od razu przeistaczała się w młodą gospozię, jak ząbkami uciinała nitkę przy samej igle — wszystko to dawało mi wiele satysfakcji a nad to umacniało mnie w przekonaniu, że wszystko na świecie jest na swoim miejscu.

A jednak, w dalszym ciągu starałem się nie patrzeć na nią ze zbytnią uwagą. Nie żebym ze strachu unikał widoku przyszłej katastrofy, która przecież stanie się lub nie niezależnie od tego, czy ją zobaczę. Po prostu nie chciałem

widzieć Nataszy bez głowy. Woląłem przeto całować ją po ciemku, a gdy rozmawiałem z nią, spoglądałem w podłogę lub w okno.

Natasza, rzecz jasna, dostrzegła zmianę w moim zachowaniu. Przypisywała ją intryżce swojej z Borysem. Nie poruszaliśmy jednak tych śliskich tematów, każde z nas z innego zresztą powodu. Wy tłumaczyłem jej z grubsza swoje sylwestrowe wyczyny w roli jasnowidza. Że niby kiedyś, dawno temu, pasjonowałem się głośną metodą eksperymentów naukowych i rozrywek profesora Toma Teetha. Natasza nie zadawała niepotrzebnych pytań. Tyle tylko, że częściej niż dawniej pytała, czy aby nie przestałem jej kochać z powodu jakichś głupich przywidzeń? Na co niezmiennie odpowiadałem, że nic się w moim stosunku do niej nie zmieniło. W dowód czego brałem ją w objęcia patrząc przy tym na podłogę. Albo i w okno.

Na dworze mimo stycznia miało się ku odwilży. Z dachów zwisały sople. Co dzień stręcane, mimo to mnożyły się jak grzyby. Napatrzywszy się na ten złowrogi widok — serce moje ścisnęło się na myśl o nieuchronnym — zacząłem namawiać Nataszę na szybki wyjazd.

Naturalnie, słówka nie pisałem o dniu 19 stycznia, który to dzień zbliżał się fatalnie. Ani o groźbie, która zawisła nad nami — z dachu dziesiątego piętra domu na ulicy Gniezdnikowskiej. Ale wszystko obmyśliłem, wszystko zważyłem i oświadczyłem Nataszy, że zamierzam spędzić z nią urlop z dala od miasta, na łonie natury. Pięć dni przed terminem, zatem 14-go stycznia, powiedziałem kategorycznie, że czekać dłużej nie będę, jedziemy jeszcze dzisiaj, pociąg odchodzi w nocy, bilety kupione. W rzeczywistości nie miałem biletów, ani pieniędzy, i kiedy Natasza poszła układać walizki, udałem się do Borysa. Nic lepszego nie mogłem wymyślić. Przypuszczałem, że Borys nie będzie mi mógł odmówić, jeżeli zaskoczę go i bez żadnych wstępów zażądam pożyczania 1500 rubli. Za pokwitowaniem.

Ale Borys wymigiwał się, protestował, że nie ma. Spokorniał dopiero, kiedy wskazałem, w jakiej skrytce trzyma pieniądze, a nawet, w jakich odcinkach.

— To jednak widzisz, bracie, widzisz na wylot? Ja bym na twoim miejscu został tajniakiem — rzekł wykrzywiając się brzydko w drętym uśmiechu. — Aha, winszuję!

Ta studentka — pamiętasz — rzeczywiście dostała piątkę z marksizmu. Tak, jak wróżyłeś: piąty Zjazd Partii i czwarte prawo dialektyki. A Bielczykowa wylano z partii. Sam sprawdzałem. Sklepik w Semipałatyńsku był? — był...

Żal mi się zrobiło tego Bielczykowa. Nie chciałem mu zaszkodzić. Po prostu nie pomyślałem wówczas o konsekwencjach. A z Borysem trzeba uważać, ścierwo zdolne do wszelkich świństw. No tak, widzę przecie nad jego głową zielonkawo-burą mgiełkę — znak niezawodny podłego charakteru, w dodatku skombinowanego z usposobieniem depresyjnym. Gęstniała owa mgiełka na zapadniętych policzkach i wichrzyła się nad czubkiem. Można by pomyśleć, dym od papierosa, ale Borys nie palił.

— Posłuchajno, serce — rzekł przymilnie, ale już bez uśmiechu. — Bierz te półtora tysiąca, niech tam. Ale po cholerę ci Natasza! Czy to kobieta dla ciebie? Z twoimi fenomenalnymi zdolnościami miałbym bracie, damy, auta. Dyplomata na wysokim szczeblu, śledczy w światowej skali! Nikt się nie skryje, ani jeden przestępca! A Natasza dla ciebie — tylko zawada. Prześpi się z każdym, kto zechce. Znam ja ją — na durch. Przecie i ze mną żyje. Chociaż jasnowidz, nie widzisz co się pod nosem dzieje. Przychodzi do mnie w każdą niedzielę. Możesz sobie wybierać. Na tym właśnie tapczanie...

I puścił się na takie konfidencje, że nakazałem mu przymknąć buzię. Bo i ja nie będę się ceckał i zaraz wymienię mu wszystkie choroby, które go w końcu zgnoją.

Ale nawet to nie nauczyło go rozumu. Żeby odzyskać Nataszę, wytarzał ją w błocie. Zachłystywał się, bezwstydnie przechwalał się, z grubą przesadą i w jaskrawych barwach malując i to, co było, i czego nie było.

Co do mnie, mówiąc uczciwie, nie dbałem w tej chwili o prawdę. Plotłem, co mi ślina na język przyniosła i blagowałem bez skrupułów — byle go zmusić do zamilknięcia. Miałem ochotę ugodzić boleśnie to cherlawe ciało, które śmie przede mną wychwalać swoje miłosne wyczyny z Nataszą z taką mściwością i bezwstydem. Nasze repliki krzyżowały się, mówiąc obrazowo, jak szpady, jak strzały z pistoletu, wymieniane w gestej salwie z małego dystansu:

— Właśnie na tym tu tapczanie. Dwanaście sposobów. Pierwszy: kładziemy się...

— ...a tak, gruźlica. W cztery miesiące stracisz dwa-
naście kilo. Będziesz skrzypiał od nieustannego kaszlu. A
jeszcze łudzisz się nadzieją, że to bronchit.

— Trzeci sposób: ona leży na wznak, ja na boku,
no i...

— Resekcja żeber. Prawe płuco na durch zgnite. W
lewym — takie dziury! Pomijam, naturalnie, wrzód w żo-
łądku. Ani siedzieć, ani wstać...

— ...ja wstaję, ona też, i zaczynamy...

— ...kaszel z wymiotami...

— ...teraz gryźć...

— ...śmiertelne poty...

— ...Uda!

— Żołądek!

— Cyce!

— Kościotrup!

— Kuperek!

— Tylek!

— Właśnie na tym tapczanie.

— Na tym właśnie tapczanie...

— Pod siebie...

— Pod się...

— Ale najbardziej lubię, kiedy...

— Skóra i kości...

— ...kiedy przy szóstym sposobie...

— Odleżyny!

— Więc szósty sposób...

— odleżyny! Odleżyny!

Wykończyłem drania przy jego szóstym sposobie. Za-
pomniawszy o swojej niezwyklej potencji, którą się przed
chwilą chełpił, zatkał sobie uszy i zaczął popiskiwać jak
baba:

— i-i-i-i-i-i-i-i!

Coś mu tam jeszcze naopowiadałem o odleżynach.
Borys zachował się jak bydlę: skowyczał, tupał nogami.
Nie chciał nic wiedzieć o delicjach, które mu ponoabiecy-
wałem. Po czym już bez zbytecznego gadania wysunąłem
z biurka zamaskowaną szufladkę i sporządziłem pokwi-
towanie.

Teraz i on milczał. Zatykając w dalszym ciągu uszy,
patrzył wystraszony na moje wargi. Sprawiał wrażenie
człowieka ciężko chorego.

Podałem mu receptę, który głosił, że niżej podpisany zobowiązuje się zwrócić sumę 1500 rubli w terminie miesięcznym. Zachowując wciąż milczenie, skinął głową potakująco. W pogaduszki i spory nie śmiał się już wdawać. „Bądź zdrow” — powiedziałem i wycofałem się czym prędzej: było mi bowiem ciężko i paskudnie na duszy...

W tym pojedynku, co tam gadać, odniosłem kontuzję... Naturalnie, byłem zawczasu przygotowany i potrafiłem odróżnić prawdę od blagi. Ale być zmuszonym wysłuchiwać, jak to on każdej niedzieli wyprawia z Nataszą to samo, co ja w dni powszednie! Więc zastanawiałem się nawet, czy nie wyjechać bez niej i niech się dzieje wola Boska. Ale wnet rozstrzygnęła świadomość, że życie Nataszy wsi na włosku.

Nakładając drogi, skręciłem w zaułek Gniezdnikowski. Niebezpieczne miejsce było odgrodzone. Z dachu domu pod numerem 10 zgarniano śnieg. Pociski z lodu uderzały w asfalt, rozchlapując fontanny wody i błota. Jezdnia aż stękała. Grzmoty wstrząsały powietrzem. Gapeusze narażali się na zimny prysznic, podziwiając bohaterstwo dozorców domowych.

A przecież wszystkie te środki ostrożności nie miały sensu! Mój sopel był poza ich zasięgiem. Na razie w postaci embrionalnej, wielkości guziczka, zagnieżdżony gdzieś pod spodem, skupiał siły na potem. Nikt go w ogóle nie przywazył.

Jedyny ratunek — to wyjechać jak najdalej od piekielnej maszyny! Udałem się na dworzec i kupiłem dwa bilety.

Czy już wtenczas zdawałem sobie sprawę, że nieszczęście jest nieuchronne? Że i moje starania nie będą skuteczniejsze od poczynąń dozorców, że my torujemy tylko drogę wypadkom — pomagamy im odbyć się w terminie?

Gdzie tam! Odpędzałem od siebie takie myśli. Z pewnością instynkt samozachowawczy zaślepił mnie — (bo tylko to pozwala nam żyć).

Mówiłem sobie: przecie to głupio i śmiesznie bać się — nie wojny, nie epidemii, ale idiotycznego sopla, ułamka (milionowego rzędu) prawdopodobieństwa trafienia! Oddał się o krok jeden, przejdź na drugą stronę ulicy, a włos z głowy ci nie spadnie. A przecież oddalimy się o tysiące kilometrów, odsiedzimy się za górami Uralu i powrócimy

do domu dopiero za miesiąc, kiedy sopła już dawno nie będzie; stopniał albo spadł na przygodnego przechodnia.

Byle by Borys nie połapał się w porę! myślałem sobie, byle by nas nie zadenuncjował, byle by nas nie zatrzymano na dworcu, nie udaremnilo ucieczki z tego miasta, od tej przeciągającej się gołoledzi!

Zdawało mi się, że nigdy nie ruszymy! Dopiero, kiedy pociąg drgnął i popłynął, ciężar spadł mi z serca. Poprosiłem o dwa posłania i podczas gdy Natasza układała się, paliłem papierosa za papierosem i i przypatrywałem się jej spode łba.

Wagon nasz podrzucało w te i tamte, ale Natasza lekko i zręcznie. jak gdyby całe życie nic innego nie robiła, zapychała poduszki do powłóczek z wypłowiałymi pieczęciami. W jej gestach był taki spokój, że nachylając się nad nią:

— Natasza — powiedziałem — Natasza, wiesz ty co, pobierzmy się.

Z wprawą założyła rogi prześcieradła i usiadła na przeciwko, podginając prawą nogę.

— Zapomniałeś? Borys nie daje mi rozwodu.

— Nie to nie. Wszystko jedno, zamieszkajmy razem. Rozpocznijmy prawdziwe zdrowe życie rodzinne. Umówmy się, że odbywamy podróż poślubną, dobrze, kochanie?...

Natasza nie odpowiedziała, ale uprzedzając moją podejrliwość, musnęła mi oczy swoją lekką rączką.

IV.

Ech, ptaku mój, ptaku żelazny! Kto ciebie, ptaku, wymyślił? Chociaż nie roztropny chłopiec rosyjski, nie majster z Tuły czy Jarosławla*), ale jak twierdzą, praktyczny Angielczyk, mister Stephenson, diabelnie gracko ściele się pod tobą nasza rosyjska równina, i oto niesiesz się skocznie przez pagóry i wądoły, wzdłuż szpaleru telegraficznych słupów, to zwalniając, to rozpędzając się, aż ci zaświecą świece przed oczami. A przyjrzeć się tobie: ot, piec na kółkach, wsiowy samowar z przyczepką. Na oko furiat, ale pocziwy, wyrozumiały, kędzierzaty.

*) Aluzja do znanego opowiadania Leskova „Pchła”.

Fuka, pyka, sapie, syka, a jak gwizdnie w dwa palce, załamawszy czapę na bakier, to z taką-ci fantazją, z takim szykiem, z takim zadziorem, że — dalej z drogi! Kłękajcie narody! Uważaj, bratku, bo cię zrobię na marmeladę!

Stacja. Zaaferowane babiny, obładowane bachorami i kuferkami, pchają się wprost pod koła. Dmuchając w kulek, proponują ziemniaki jeszcze gorące, apetyczne, zawinięte w szmatkę, ogórki, kury. Strzygą oczyma na wszystkie strony, w strachu przed władzą, obławą, grzywną. Beznogi kaleka w marynarskiej bluzie, z czapką w zębach podpierając się rękoma, zajęczymi skokami przesuwają się przez wagony. Wrzątek. Bufet z pierniczkami. Napis: „I Maj” jeszcze z zeszłorocznej wiosny, odbarwiony przez czas. Minuta do odjazdu. Zawiadowca z czerwonym otokiem chodzi po peronie, nastroszony, nieufny, czujny.

Nie zdążyliśmy się połapać, kiedy pociąg ruszył ze stacji. Mignęły w przelocie baby, dzieci, hasła, toboły. Ostatnia chałupa z ostatnimi szmatkami, które wietrzą się na parkanach. I oto znów mkniemy samotnie przez lodowatą pustynię, z hukiem i trzaskiem, w kłębach dymu biorąc lekko zakręty, na pełnym biegu, przez sioła, grody i królestwa...

Obudziło mnie zimno za Jarosławlem. Wagon pędził w drgawkach tęgim galopem. Natasza jeszcze spała zwinęta w kłębuszek. Przetarłem szybę i wygodnie oparłszy podbródek, z mojej górnej półki kontemplowałem mijane krajobrazy.

Przejeżdżaliśmy właśnie przez las, bieluśki, nieskalany. Wczoraj w Moskwie był początek odwilży, a tu w około — zima, jak należy, czysto jak w cerkwi w wigilię świąt. Drzewa w szronie, oblepione śniegiem — piękne! Były w istocie! Niby figowe i kokosowe palmy, jakie rosną tylko w Indiach, czy Brazylii... a w każdym razie nie pasują do naszej skąpej przyrody! Ta jej obecna hojność, wszystkie te wspaniałości dookoła nadały inny kierunek mojej myśli: ku epoce węgla kamiennego, kiedy to w naszej ojczyźnie, jak utrzymują uczeni, była niemniej pyszna od brazylijskiej podzwrotnikowa flora. Którą to florę w czasach obecnych eksploatujemy i puszczamy z dymem w postaci antracytu.

Refleksje na temat niegdysiejszych olbrzymich paproci i porostów nie wtrąciły mnie bynajmniej w stan przynę-

bienia i bezwyjściowego pesymizmu! Kominiaste pędy, wachlarze z piór, rozgwiazdy, pawie ogony, cudne pierścienie spalając się na miał w parowozie, powracały oto — uformowane w śniegu, po obu stronach toru kolejowych. Jedne znikwały, jawiły się inne i chociaż nigdy nie były identyczne, w samej ich istocie było coś kryształowo, bosko trwałego, co nadawało ubogim tutejszym brzózkom i jodełkom niezniszczalny kształt paproci.

Zaś konsekwentnie snując tę myśl dalej, dochodzę do wniosku, że przecież nic w przyrodzie nie ginie, że jedno wkorzenia się w drugie, odciska się, utrwała. Tak też i my, istoty ludzkie, zachowujemy w ruchomej grze twarzy, w naszych nałogach, kaprysach, w przelotnych uśmiechach — utrwalone cechy tych wszystkich, którzy bytowali niegdyś w naszych kominiastych duszach — w jej katakumbach, jaskiniach — i zostawili nam na pamiątkę relikty swojej egzystencji.

Jeszcze nie dawno myśl taka przejęłaby mnie grozą. Moje miniaturowe „ja” przeciwstawiłoby się egoistycznie intruzom, którzy łegli się jak wszy w mojej głowie, grożąc kompletnym rozstrojem tak zwanego centralnego systemu. Aliści teraz, wobec przyrody, tak porządnej, tak harmonijnej — obecność w mojej duszy obcych cieszyła mnie tylko i bawiła. Dawała mi miarę mojej głębi, siły i pełnowartościowości. Wszystko, co do głowy lazło, wciągałem w proces mojej medytacji. Leżąc na brzuchu na górnej półce, obracałem na wszystkie strony moje obserwacje podkładając pod nie solidną bazę filozoficzną.

Dziwne to zaiste, że nauka do tej pory nie odkryła wędrówki dusz i nie udowodniła jej ściśle naukowo i logicznie. Przykładów — co niemiara, na każdym kroku, ile zapragniesz. Żeby nie sięgać daleko, zastanówmy się nad łożeczkami, które rodzi się na przykład z sześcioma palcami. Zamiast pięciu — sześć. Pytanie: skąd się wziął dodatkowy paluch? Medycyna milczy rozkładając ręce. A przecież jeżeli się dobrze zastanowić, poruszyć mózgiem? Jasne: ów schowany głęboko postronny, co umarł temu wieki, zdecydował się dać znak życia i, skorzystawszy z pierwszej okazji, wkręcił swój paluszek do cudzej ręki. Że niby, proszę, jestem, siedzę tu i nudzę się i podkusiło mnie, żeby bodaj jednym palcem pokiwać na świat Boży.

Albo, dajmy na to, wariat. Jaka niekiedy fenomenalna dalekowzroczność! Pyszny, wszem wobec oświadcza: Jestem Juliusz Cezar. Nikt nie wierzy, a ja — owszem. Wierzę, bowiem: był on w istocie Cezarem! A jeżeli nawet nie samym Juliuszem, to w każdym razie też wodzem. No, cokolwiek się pomylił. coś tam poplątał: kiedy, przy jakim wojsku, w jakiej szarży...

Ale po cóż sięgać do wariackich ekstremów? Czy każdemu z nas, najpotulniejszemu, nieśmiałoemu, zastraszonemu życiem obywatelowi, nie zdarzyło się poczuć naraz w piersi przypływ odwagi, zapału, ba, politycznej mądrości? Ano właśnie, może w tej chwili zbudził się w nas na małą sekundę jakiś tam Clovis, albo i Byron? A my, ot, żyjemy sobie boczkiem i nawet nie domyślamy się...

A może — może i sam Leonardo da Vinci?...

Nie upieram się przy Leonardzie. Ot — wysuwam hipotezę. Ważna jest zasada, a nie Leonardo. I nie o sobie myślę — mnie wystarczą moje własne wcielenia: Greta, Stepan Aleksejewicz — ten, który ustrzelił głuszcza... niewinne maleństwo Mitia Diatłow, który umarł w ósmym roku życia, na przełomie lat trzydziestych XIX wieku... Niesposób wymienić wszystkich... A jednak byłoby fajnie, gdyby na dodatek do Miti i Grety przyszyć jakiego, no, choćby Byrona... Przyjemnież byłoby, psia kość, przejść się po bulwarze Kolorowym i rzucać na przechodniów oryginalne bajroniczne spojrzenie...

Po historii przypomniły mi się inne przedmioty: jako to, geografia, zoologia. Nawet rydom, nawet żabom dano szansę w moim organizmie pofikać, troszkę poswawolić, poznać siebie i na ludzi popatrzeć! Tylko że, widać to wyraźnie, nie powiedział nam całej prawdy nasz profesor szkolny! Bo nie o abstrakcyjne stadia chodzi, które organizm ludzki przechodzi będąc głupim embrionem — ważne jest że konkretny i niepowtarzalny karaś jest moim bliźniakiem, i że tak powiem, współlokatorem — ten sam zapewne karaś, który pływał w Amazonce 18 milionów lat temu. A inne rybki — każda na swoją, że tak powiem, rękę — rozlokowały się w innych moich współczesnych.

I tak oto z biegiem pociągu rozwijała się moja teoria, jedyna moim zdaniem, która zadowoli wykształcony umysł. Umocniwszy zatem od wewnątrz szkielet żelaznych dedukcji leżałem na górnej półce i marzyłem o nieśmiertelności, o

nieskończoności, o powszechnej równości. Albowiem teraz wiedziałem z całą pewnością: nikt z nas nie zniknie, jak głosi piosenka, „nigdy i donikąd nie zaginiemy” po prostu przeprowadzamy się do nowego, może bardziej komfortowego mieszkania. Całą bandą. Razem z Mitią Diatłowem, Gretą, Stepanem Aleksejewiczem, razem z karasiem. Uwaga: nie zapomnieć Byrona!

Ano więc rozlokujmy się we wnętrzu jakiegoś, dość przestronnego obywatela przyszłości. Myślę, że nie będzie to pierwszy lepszy. Myślę, że będzie to delikatny, uprzejmy, postępowy człowiek lepszego jutra i nauka w tych postępowych czasach wszystko mu wytłumaczy dokumentnie. I oto siedząc przy okienku w cichy letni wieczór poczuje on nagle w duszy niespokojne kotłowanie. Dziwne nastroje osmęca jego serce, i fantastyczne rojenia oświecą jego znużony umysł. Z początku zdziwi się i stropi, aliści zaraz przypomni sobie, wszystko co wie o dusz wędrowaniu i powie:

— Ba, to ty, przyjacielu? A jakże, poznaję. Jak się masz? A pozdrówże ode mnie Clovisa i Leonarda da Vinci.

O ty, człowieku jutra! Zwróćże i na mnie uwagę! Nie zapomnij o mnie w ten cichy letni wieczór. Patrz, uśmiecham się do ciebie, uśmiecham się w tobie, uśmiecham się tobą. Czyliż można powiedzieć, że umarłem? Czy nie oddycham ciągle z każdym drgnieniem twoich płuc?

Ano właśnie! Myślałeś, że mnie nie ma? Myślałeś — przepadł, znikł? na zawsze? Wolnego, przyjacielu! Umarli śpiewają w twoim ciele, umarli huczą w twoich nerwach. Wsluchaj się! Tak brzęczą pszczoły w ulach, tak huczą druty telegraficzne. Myśmy też byli człowiekiem, myśmy też płakali i śmiali się. Obejrżże się na nas!

Powodowany nie złością i zawiścią, ale owszem, przyjaźnią i solidarnością, ostrzegam cię: i ty również umrzesz i przyjdiesz do nas równy do równych, i podążysz dalej, coraz dalej w niezbadane czasy i przestrzenie.

...W takich pogrążony rozmyślaniach, zapomniałem na śmierć o Nataszy. Dokładniej mówiąc, nie tyle zapomniałem, co przestałem o niej myśleć i niepokoić się jej losem, i tylko podświadomie pamiętałem, że ona jedzie tu ze mną, nieodmiennie ta sama, jaką była dla mnie zawsze — ta sama śliczna Natasza — i nikt więcej. I chociaż rozumowo zakładałem, że także w jej wnętrzu rezyduje

ktoś inny, przecież nie wiadomo czemu nie chciałem o tym wiedzieć. Moja rozkiełznana fantazja ją, Nataszę, oszczędzała — nietkniętą, wieczystą, jedyną i niepodzielną Nataszę. Z zabobonnym lękiem omijałem niebezpieczne miejsca. Nawet układając plany naszego szczęśliwego pożycia, nie zanadto precyzowałem, nie zapuszczałem się w szczegóły, starałem się nie wybiegać naprzód poza chwilę, kiedy Natasza obudzi się i poprosi mnie do śniadania.

Jaka to laba — pożywasz się, bracie, a tymczasem wożę cię w dal! I cokolwiek sam robisz — jedziesz. Patrzysz w okno — i jedziesz. Obracasz się w inną stronę — i jedziesz. Czytasz, palisz, dłubiesz w zębach — i ciągle jedziesz.

A te miłe kolejowe cudeńka — te spluwaczki, przyśrubowane do podłogi, te zakrzywione rączki u drzwi (naciskasz lekko — i otwierają się) rzeźwiacy, cokolwiek podniecający wiaterek z toalety, cienka ale za to jak gorąca herbatka z goryczką!

Żeby się trochę rozgrzać i podnieść o stopień moje świetne zresztą samopoczucie, łyknąłem szklankę wina i czymś tam przekąsiłem. Natasza zawsze wydziwiała na mój apetyt — jadłem za trzech.

Nie powiem, żebym był bardzo głodny. Odczuwałem — po raz pierwszy w życiu — dziwną jakąś potrzebę: przełykać! Nie tyle jeść, ile połykać, przełykać. Jak gdyby do spółki ze mną pożywiała się cała kolonia dzieci. I mówiłem sobie w duchu, przy każdym kąsku: „To — dla ciebie A to — dla ciebie. A to — dla mnie...”.

Chciałem być sprawiedliwy wobec nich wszystkich. Nawet czarniawemu dziadkowi, który nie wiedzieć czemu od pierwszego wejrzenia okazywał mi niechęć, rzuciłem ogryzek kielbasy, przymawiając: „Żryj, na zdrowie”.

Szczególną jednak sympatię, o ile nie zgoła miłość budził we mnie Mitia Diatłow. Bo i co dziwnego — kruszyna, sierotka, a figlarz, a urwis, jakich mało. Naprzykrzał się o łyk wina. Naturalnie, odmówiłem: masz czas, dorośniesz. A szelmutek — co na to? Wyłożyła Natasza na stolik cukierki do herbaty, a on, jak zobaczył, wrzasnął: „Daj mi! Daj mi!” — darłem się nie swoim, jakimści dziecinnyim piskliwym głosikiem i capnąłem ze stolika trzy cukierki.

Natasza roześmiała się, ale bardzo jakoś niepewnie. Wziąłem się w garść, obróciłem incydent w żart. A urwisa Mitkę swoją drogę ukarałem. Cukierki dostał nie pamiętam już który z moich podopiecznych, być może mój pierwotny, ten, który pamiętnego wieczoru przed Nowym Rokiem przestraszył się trolleybusu. Ssał głośno, z apetytem, pomrukując z wdzięczności jak niedźwiadek...

— Natasza — odezwałem się po chwili namysłu. — Czy nie zauważyłaś we mnie jakiejś zmiany?

— Co masz na myśli? — popatrzała na mnie tak jakoś, jak gdybym to ja zauważył w niej zmianę.

— Nic takiego... Ale czy nie wydaje ci się, że jestem jakiś grubszy? Grubszy niż zawsze?

I ręką zakreśliłem szeroki obwód, który miał pokazać moją wewnętrzną tuszę.

— Zawsze wymyślasz jakieś głupstwa, kiedy sobie podpiszesz — rzekła Natasza z wyraźnym niepokojem.

Wiedziałem, jaki będzie ciąg dalszy.

— A nie przestałeś mnie kochać?

— Co znowu! W moim stosunku do ciebie nic się nie zmieniło.

— Że co?

— Powiadam: nic się nie zmieniło w moim stosunku do ciebie — powtórzyłem z irytacją, żalując, że wdałem się w tę rozmowę.

Bo i rzeczywiście, wystarczy o czymś pomyśleć, coś powiedzieć a zaraz zaczyna się ta historia. Już dawno to stwierdziłem: moje przepowiednie może dlatego się sprawdzają, że kiedy wszystko jest z góry wiadome, nie szuka się alternatywy, a gdybyśmy nie wiedzieli zawczasu, co się z nami stanie, prawdopodobnie nic by się nie stało...

— Natasza! — zawołałem błagalnie. — Kocham cię! Kocham bardziej niż kiedykolwiek! Nigdy, nigdy, nigdy cię nie porzucę!

Chciałem ją objąć i całować, korzystając z tego, że byliśmy sami w przedziale i mogli się całować bez krępacji.

— Zaczekaj — rzekła Natasza ocierając usta — Och, gdybyś wiedział... Muszę ci coś powiedzieć...

— Nie trzeba nic mówić. Wiem wszystko. Lepiej popatrz, dziecko, na ten domek. Dziwny, prawda? Z komi-nem, dachem — a z komina dym wali. Żebyśmy to mogli zamieszkać w takim domku! Jeździłoby się na nartach —

po chleb, po naftę. Póki dzieci nie podrosną. Syn albo i córka. Czuję, że dojrzałem do ojcostwa. Coś się we mnie rusza, pewno coś takiego, co odczuwają kobiety podczas ciąży...

Ale Natasza nie rozumiała mnie. Nawet nie spojrzała na domek, który już zresztą się skrył. Widać, przycisnęło ją: musiała ulżyć sumieniu i wyznać mi wszystko. O czym wiedziałem bez jej wyznań. O czym lepiej milczeć, by nie wywołać licha. Skoro ja sam powściągałem swoją zadróżkę i nie robiłem scen, by nie narażać jej zdrowia i życia — to i ona mogła, psia kość, poczekać i nie opowiadać mi o swoim stosunku z Borysem. A zresztą i cóż nowego mogła mi powiedzieć!

Raz jeden rzekomo, pod wpływem przelotnego nastroju pozwoliła Borysowi na coś więcej, niż zasługiwał, a teraz strasznie tego żałuje! Ale te nieśmiało, łzawym głosem wypowiedziane słowa nadały inny bieg i kierunek moim myślom.

Ledwo usłyszałem imię „Borys’’, zaraz sobie pomyślałem, że bydlak na pewno prędko się zreflektował, że zatem trzeba się spodziewać pościgu. Naturalnie, jeszcze wczoraj wieczorem zadenuncjował mnie w stosownym urzędzie, a tam już postarają się — wszystko udaremnią, wszystko zburzą.

Ledwom to sobie pomyślał, od razu uprzytomniłem sobie z całą pewnością, że nie ma ratunku! Że los już przygotował nam niespodziankę i że, na dobrą sprawę, wiem ja o tym od dawna i tylko dla kurażu udaję, że wszystko układa się pomyślnie.

— Błagam cię, nie myśl o mnie źle — jęczała Natasza szlochając na mojej piersi. — Ciebie jednego kocham, Borysa nienawidzę. Ale, widzisz... zdaje mi się... zaszłam w ciążę... a z kim — nie wiem... rób, jak uważasz.

Boże wielki, tego mi jeszcze brakowało! Bo i rzeczywiście, dużo mnie obchodzi, że gziła się z Borysem! Czy to nie wszystko jedno, moje czy jego dziecko? Czyż nie byłem gotów przyznać się do ojcostwa, byle by nie wymieniała imienia Borysa — no i nie ściągająca na nas uwagi tych czterech wojskowych, którzy chodzą od wagonu do wagonu i sprawdzają dokumenty!

Musieli wsiąść do naszego pociągu za Jarosławlem. Skrupulatnie rewidując wagony, zwolna zbliżają się do nas.

Dzielił nas już tylko trzy wagony i chociaż z tej odległości nie widzę dokładnie, nie mam cienia wątpliwości, kogo mianowicie szukają i jaka jest treść instrukcji, która leży w górnej kieszonce ich szefa. A nazywa się on — nie wiedzieć czemu — Sysojew.

A równocześnie, od drugiego końca pociągu, nadchodzi już inna czwórka, dopiero teraz ją zauważyłem. My w środku — a oni podchodzą do nas z obu stron.

— Och, Natasza, przestań beczeć. To wszystko głupstwa. Ale powiedz, po coś ty dzwoniła do Borysa przed odjazdem? Podałaś mu numer pociągu! Nie? No dobrze już, dobrze...

Nie czas na robienie awantury. Poczulem się dziwnie zagubiony, roztrajkotany. Sprzeczne uczucia, ba — wszystkim moje darmozjady, które podróżowały ze mną za jednym biletem kolejowym, wpadły w prawdziwą panikę i ciągną mnie w różne strony. Jedne — te zapewne, które były płci damskiej — radzą puścić Nataszę w trąbę, i to zaraz, czego się ceckać z taką zdziłą, ratuj siebie, póki czas. Inne żałowały pieniędzy, wydanych niepotrzebnie na podróż, które trzeba będzie zwrócić za miesiąc. Ktoś tam nawet poradził stawić zbrojny opór.

Nie orientowałem się, kto by to mógł być: Stepan Aleksejewicz ze swoimi szlagońskimi fanaberiami? Czerwonoskóry, który dając głębokiego nura, nie wypuszczał skalpu z zębów? A może jakiś -ci, jeszcze nierozpoznany, żołnierz nieznany, pochowany we mnie bok o bok z pieniaczem i tchórzem? Miły, przemiły a tak naiwny mój wojaku!...

Tak czy owak, jego moralne i fizyczne poparcie tak mnie pokrzepiło, że migiem uśmierzyłem moją wszawą hołotkę: „Milczeć, ścierwo, bo zaraz was wszystkich powieszam” — wycodziłem przez zęby. Kiedy umilkli, słychać było, jak stukają koła i skrzypią drewniane przegródki, głuszac skrzypienie butów i odległe jeszcze głosy łapsów.

Rzekłem więc do Nataszy, że trzeba natychmiast wsiąść! Nie zapytała: „w jaki sposób”, przecież mknęliśmy przez zaśnieżoną równinę — ale: „A walizki?”. Chwyliłem ją za rękę i pociągnąłem za sobą. U wejścia, na nasze szczęście, nie było nikogo, drzwi na wolność, jak to zresztą przewidziałem, nie były zamknięte na głucho, cho-

cięż zazwyczaj — owszem, są — aby nikt nie prysnął w pełnym biegu i nie poniósł szwanku. Zimny wiatr, łagodzony śniegiem, uderzył nas w oczy.

— Skocz! Skocz? — ponaglałem Nataszę, przekrzykując huk kół. — Patrz, jakie sterty, nie zrobisz sobie krzywdy. Słowo daję! Skoczże, do cholery!

Bała się skakać z takiej wysokości, przy tym pędzie. Nie wiedziała przecie, że nie ma tu żadnego ryzyka, że tutaj nic jej nie grozi, zrobiłbym to zresztą pierwszy, dla przykładu i zachęty, ale bałem się, że ja zeskoczę a ona pojedzie dalej, a wtedy nic jej już nie uratuje.

Czterej wojskowi weszli do naszego wagonu i podchodzili do naszej kryjówki. Wypychałem Nataszę, biłem ją po łapkach, przymuszając do skoku, ale ona czepiała się z całej siły futryny, błagała, bym nie spychał jej pod koła, między nią a Borysem w ogóle nic nie zaszło...

Może bym nawet zdołał ją w końcu zepchnąć i skoczyć za nią, ale już wdarli się łapsy i w okamgnieniu otoczyli nas. Już padają pytania i rozkazy: a kto? a co tu robicie — a dla czego drzwi otwarte? Odpowiedziałem, że chcieliśmy zaczerpnąć świeżego powietrza, bo żonie mojej zrobiło się niedobrze.

Natasza trzęsa się, dosłownie. Była wciąż pod strasznym wrażeniem, że chciałem ją zepchnąć pod koła. Mimo to potwierdziła, że „czerpaliśmy powietrze” — raz jeszcze oceniłem jej klasę... Zresztą, w tej chwili nie miało to znaczenia, wszystko to nie miało znaczenia. Rozpoznano mnie bez trudności.

— Jesteście zatrzymani, proszę iść z nami — powiedział ten, którego nazywano towarzyszem Sysojew. Wsunął mój paszport do górnej kieszonki i podał mi jakiś papier. Nawet nie musiałem go czytać. Zdawało mi się, że gdzieś to już kiedyś przeżywałem. Nawet buty Sysojewa, pierwszorzędne oficerskie buty, gdzieś kiedyś widziałem. A przecież na pewno nigdy ani Sysojewa, ani jego butów na oczy nie widziałem. Ale co tu kręcić: wiedziałem, od samego początku wiedziałem wszystko!

Najsmutniejsze, że nie aresztowali Nataszy. Puścili ją, beze mnie. Naturalnie, nie zwlekając wróci do Moskwy. Biedna Natasza, płakała trzecim czy czwartym tego ranka płaczem.

— Nie martw się — mówiła do mnie. — Nie wrócę do Borysa. Poczekam na ciebie. Oni cię prędko zwolnią. To pomyłka. Głowę daję.

Wysadzono nas na najbliższej stacji. Ranek był suchy i mroźny. Połowa pociągu zbiegła się pogapić na aresztanta. Babina w kozuchu przeżegnała mnie jak umarłego. Ośmiu w mundurach eskortowało mnie z wyniosłą kurtuazją, niby jakiego znakomitego gościa zza granicy. Z nich co najmniej czterech zaciskało niepostrzeżenie w kieszeniach rękojeści naganów.

— Możecie się pożegnać z waszą znajomą. A wy, obywatelko — zwrócił się do Nataszy — odpocznijcie sobie na stacji. Pociąg powrotny przychodzi dopiero wieczorem.

Objąłem Nataszę i bardzo cicho ale dobitnie powiedziałem:

— Natasza, myśl o mnie co chcesz. Uważaj mnie za wariata, ale pamiętaj o jednym: gdy wracasz do domu, nie chodź zaułkiem Gniezdnikowskim. Wiesz, wąska przecznicza Gorkiego, tuż koło placu Puszkina. A już szczególnie nie chodź tam w niedzielę 19 stycznia. Pamiętaj, 19-go! Za cztery dni! O godzinie dziesiątej rano! Nie wychodź wtedy w ogóle z domu. W najgorszym wypadku, jeżeli pójdziesz do Borysa... Nie kiwaj głową, co wiem, to wiem. Dziewiętnasty wypada w niedzielę, więc przypadkiem może cię podkusić, żeby odwiedzić Borysa. Wielkie rzeczy! Bez znaczenia. Nie zabraniam. Tylko żebyś mi nie szła Gniezdnikowskim. Zresztą, dłuższa droga, spóźnisz się. Oboje przywykliście punktualnie o dziesiątej. Do wpół do jedenastej. To i dobrze. Będziesz zajęta. Ani zauważysz, jak czas przeleci. Możecie choćby i do dwunastej. Teraz to nie ma znaczenia. Najważniejsze, pamiętaj: byle nie Gniezdnikowskim... 19-go... Dziesiąta rano...

I ledwo wypowiedziałem te słowa, nekające mnie od tak dawna, wiedziałem, że nie powinienem był ich nigdy wypowiedzieć! Gdyby nie moje ostrzeżenie, Nataszy nigdy by na myśl nie przyszło pójść tamtędy. To ja podszeptałem jej marszrutę — teraz nic już nie można zmienić.

— Gniezdnikowski? — zdziwiła się. — Czego ty ode mnie chcesz? Nigdy w życiu tam nie byłam...

Machnąłem tylko ręką i, marszcząc się z bólu i złości, zwróciłem się do eskorty. — Idziemy!

No i poszliśmy. Odwróciłem się: Natasza stała wciąż na tym samym miejscu, ale nie widziałem wyrazu jej twarzy. Bo głowa jej była jakby odcięta mostem kolejowym... Tym wyraźniej widziałem resztę Nataszy, od biustu w dół. Była po dawnemu wiotka, zgrabna, wcale się nie roztyła. Tylko w jej wnętrzu, zdrowym i czystym jak złoto, dostrzegłem ciemną plamkę.

Cóż by to mogło znaczyć? Dlaczego ta parszywa plamka, zainwestowana przez Borysa, nie rozwija się zgodnie z prawami natury? Przecież zgodziłem się usynowić bękartą, na wszystko się z góry godzę. Dlaczego by nie plusnął choćby w postaci rybki i nie pokiwał mi rączką na pożegnanie?

Ano cóż, plamka — pomimo moich awansów, nie rozrastała się i nie przybierała należnej postaci. Aż mi w oczach ciemniało od naprężenia, a ona — nic.

— Gdzie wasza maszyna? — odezwałem się do Sysojewa, który z niejakim uszanowaniem zdawał się czekać, aż mój ból ostygnie. — Wiecznie się spóźniacie, kapitanie Sysojew.

— Będzie za pół godziny — odrzekł Sysojew i naraz, trzasnąwszy obcasami, zasalutował.

V.

Wpadłem w ręce pułkownika Tarasowa. Moja znajomość z tym szczerym, byczym chłopem zaczęła się od tego, że Tarasow, pomłynkowawszy zamkniętą papierośnicą z „Trzema bohaterami” na drewnianej pokrywie, zarechotał wesoło i spytał z głupia frant:

— Hopla, raz — dwa! Potrafisz liczyć? Ile sztuk?

Myślałem, że ma na myśli trzech rosyjskich bohaterów malarza Wasniecowa, toteż odpowiedziałem z miną znużoną.

— O papierosy pytam, ile, no? — wrzasnął. Wymieniłem dokładną ilość — nie pamiętam już liczby — papierosów. wypełniających jego bohaterską papierośnicę.

Sprawdziwszy w ten sposób moją przenikliwość że tak rzeknę przestrzenną, stwierdziwszy zatem, że przebijam wzrokiem przegrody grubości pięciomilimetrowej, z kolei

zajął się problematyką czasu. Wycelował mi prosto w twarz lufę solidnej spluwy i zapytał, za ile sekund padnie strzał?

Figiel pułkownika wzbudzał politowanie. Kołysząc się na taburecie, ryczałem ze śmiechu tak długo, aż ręka pułkownika zdrętwiała, a oczy zaszyły czerwoną mgiełką — tak się biedak zmęczył tym wysiłkiem trzymania na muszce mojej rozkołysanej gęby. Po czym rzekłem:

— Po pierwsze, drogi pułkowniku, brauning nie jest nabity. Po drugie, własną głową odpowiadacie za moją całość, i chyba nie macie ochoty postradać jej dla głupiego eksperymentu. A po trzecie — dodałem — zaraz schowacie tę zabawkę do szuflady i będziecie do mnie mówić inną mową. Bo inaczej odmawiam współpracy, którą — jak mi wiadomo, zlecono wam zaproponować tu obecnemu...

Pułkownik mruknął coś obrażony, schował broń i przeszedł ze mną na „wy”... Tak rozpoczęła się nasza przyjaźń.

Nie miałem powodu zataić przed nim mojej psychicznej nadbudowy, przewyższającej limity przeciętnego obywatela. Tym bardziej, że miał on przed sobą czarno na białym dokładny wykaz wszystkich wróżb, które publicznie zaprodukowałem w noc Sylwestrową — wykaz, skrupulatnie sporządzony przez Borysa w obszernym donosie. Ów to dokument, sprawdzony i uwierzytelniony przez licznych świadków, stanowiący podkładkę do aresztowania wróżbity — „który może być wykorzystany z pożytkiem dla obrony ojczyzny” — przechodząc od instancji do instancji, trafił w końcu do rąk pułkownika Tarasowa w celu dalszego rozpracowania i wyciągnięcia praktycznych wniosków.

Nie chciałem robić sobie reklamy i stroić ze siebie cudotwórcy. Ale poczytywałem sobie za obowiązek obywatelski pomagać pułkownikowi w jego strategicznej — że tak powiem — misji. I bez fałszywego wstydu, mogę stwierdzić, że w krótkim bądź co bądź okresie mojej współpracy coś niecoś zrobiłem ku pożytkowi narodu i całej pokój miłującej ludzkości. Więc, na ten przykład, rozszyfrowałem kilka zagadkowych depesz, nadanych przez korespondenta pewnej podejrzanej zagranicznej gazety. Więc na 24 godziny naprzód przewidziałem upadek pewnego rządu w jednym małomiasteczkowym mocarstwie i w ten sposób pomogłem naszej dyplomacji rozegrać mądrą gierkę... Wdawać się w kon-

krety i szczegóły nie mogę ze względu na ich ściśle poufny charakter. Powiem tylko jedno: o tak, coś niecoś się zrobiło! i moja praca na coś się przydała! i ja także mam swoją cegiełkę w naszym wspólnym czynieniu!...

W pierwszym okresie przełożony mój był bardzo ukontentowany naszymi sukcesami, a mając do mnie wyraźną słabość, często powtarzał:

— Daleko, bracie, zajdziesz. Za tydzień — dwa zde-maskujemy jakiś grubszy spis — coś mi już dawno o tym nie słyszeć... a dochodzenie przy twojej współpracy — pójdzie piorunem... Za jednym zamachem nakryjemy całą bandę...

Projekty te, co prawda, nie zanadto mnie nęciły. Wcale nie dlatego, bym sprzyjał spiskowcom. Po prostu, za bardzo zakorzeniły się we mnie inteligenckie nałogi: było mi cokolwiek nieswojo za pomocą jasnowidzenia i telepatii łapać ludzi, przeprowadzać dochodzenia. Zawsze uważałem, że w robocie demaskowania przestępcy powinien występować element romantyki i sportowego, że tak rzeknę, współ-zawodnictwa. W przeciwnym wypadku tropienie i nagonka na ludzi nabierają cech gospodarskiej że tak powiem akcji i tracą cały swój blask i atrakcyjność dla młodzieży. Poza tym — pamiętałem dobrze, jak mnie samego nie tak dawno łapano. Toteż bynajmniej nie zachęcałem mego szefa w tym kierunku.

— Zaczekaliście z tym, pułkowniku. Moje kompetencje też mają swój limit. Obawiam się, że z wyławianiem obcych agentów nie pójdzie mi łatwo... Zanadto rozprośzeni, trudno wypatrzyć... Ilu ich tam znajdzie, może jeden na stu, i to nie... jakiś ułamek procentu.

— A ty się, bracie, wysił! Ile się tylko da. Przecież to macierz-ojczyzna na ciebie patrzy. Oczekuje! Ufa! Żywi, odziewa! Bezpłatne nauczanie! Żłobki, dziecińce! Świetlice! Biblioteki! Dla matki ojczyzny, nie dla kogoś tam! Skoro rozkazuje macierz-ojczyzna, ojczyzna twoja mać! Wszystkich was! ech, samego by siebie pod lułę!...

Oczy pułkownicze zaciągnęły się rosą. Rwał guziki na piersi i zgrzytał zębami. A ja słuchając go, byłem głęboko zawstydzony.

Bo i w rzeczy samej, dano mi najlepsze warunki, o jakich tylko marzyć można w więziennej praktyce. Wyściane fotele. Abażur z frendzlą. Osobista łazienka. Czterech

młodych ludzi — w randze nie niżej lejtnanta — pilnowało mojego apartamentu i spełniało po kolei funkcje pomocnicy domowej, sekretarza, posługaczki i fryzjera. Kurierzy, dyżurujący przez 24 godziny, gotowi na pierwsze wezwanie przespierać archiwa, biblioteki, fototeki w poszukiwaniu rzadkiego świstka, który mógł mi pomóc w pracy.

A wikt — jak w najlepszej restauracji! Obiad bezwarunkowo z trzech dań. Kawa z likierem. Prawda, koniak w ograniczonej ilości. Butelka dziennie, nie więcej. Ale w dni, kiedy pułkownik zachodził do mnie na pogawędkę — nie na dopros, ale ot — żeby po pracy posiedzieć sobie i pogwarzyć, po domowemu — przydział powiększono. Pułkownik słusznie osądził, że koniak zaostreza przenikliwość i utrzymuje ją we właściwym kierunku.

Pamiętam, od razu pierwszego dnia zasiedzieliśmy się do późnej nocy przy butelce „Araratu”. Koło północy pułkownik kazał przynieść atlas geograficzny i poprosił, żebym z niego powróżył. I chociaż zarzekałem się — „to nie leży w mojej kompetencji!” — on upierał się przy swoim, a i sam zresztą starał się rozwikłać międzynarodową sytuację.

Z łatwością forsował rzeki, przeprawiał się przez łańcuchy górskie i paznokciem na mapie wytyczał szlaki światowej historii — na ileś tam dziesięcioleci naprzód. Z początku wszystko szło jak po maśle. Europę-śmy unieszkodliwili. Ale pułkownika, nie wiedzieć czemu, wciąż ciągnęło na południe i na południe, za Ararat i Gibraltar.

Ledwo za nim nadązałem, a w końcu zaplątałem się w dyzlokacjach i przestałem w ogóle rozumieć, kto z kim się bije. Na chwilę udało mi się, cokolwiek popchnąwszy łokieć pułkownika, wyrównać front: szybkim marszem szturmowym przebiliśmy się do morza.

Było to gdzieś za równikiem, za lat pięćdziesiąt. Pułkownik, licząc na murzyńską piątą kolumnę, zamierzał wysadzić desant w Australii.

— Oszaliście, pułkowniku! po pierwsze nie stoimy tam, ale tutaj. Poza tym zapominacie o Madagaskarze. Tam są Japońcy... Dokąd? tam nie można! Dostaniemy w skórę! Nie można, powiadam. Chyba ja wiem lepiej, jak będzie...

Obrzucił mnie łzawym spojrzeniem i wyskrzypiał:

— A z Australią — co?

— Co z Australią?

— To my Australię — psu pod ogon?

— Ano wiecie, nie od razu wszystko. Kiedyś, przy innej koniunkturze, przyjdzie kolej na Australię. Na wyższym etapie dziejowego rozwoju.

Pułkownik łokciami doskoczył do mnie po stole:

— Serce, czy nie można przyspieszyć? Choćby troszki.

— Co przyspieszyć?

— Ano, niby ten rozwój... Tak długo się cackać! Wysił się! No, zrób to choćby dla mnie, dla kumpla. Proszę cię po naszemu, jak towarzysz towarzysza, bądź człowiekiem, pomóż Australii...

Zdaje się, że pomieszał mnie z Panem Bogiem. A ja — jeżeli byłem w jakimś stopniu wszechwiedzący, to w żadnym razie nic z tego nie wynikało na punkcie wszechmocy. Bo i cóż ja mogłem?! Wszystko wiem, a nic nie mogę! Im więcej wiem, tym mniej mam słusznych podstaw by w ogóle coś robić i na coś liczyć...

Ma się rozumieć, gdybym był trafił nie na pułkownika Tarasowa, ale na jakiegoś liberalizującego docencika (bývają tacy nudziarze, z Żydów), już by ze mnie wszystkie żyły powyciągał: a to, a owo, a problem wolności woli, a rola jednostki w historii. Ale jużem to raz powiedział i jeszcze raz powtarzam: żadnej szczególnej roli wasza jednostka nie odgrywał! Gdzie miejsce na samodzielność jednostki, skoro wszystko zostało z góry ułożone?! Wstać? Wstaję. Kłaść się? Kładę się. Wcale mi się nie chce a kładę się. Ponieważ bo — prawo! Konieczność dziejowa! Wierć się, brykaj — wszystko jedno, w ostatecznym rachunku będziesz musiał się położyć. I nawet jeżeli zamiast — jak to było ustanowione — położyć się i leżeć, spróbuję w sekrecie podnieść się i wstać — to znaczy, że była dodatkowa instrukcja, i postąpiłem dokładnie tak, jak nakazywała wszechmogąca wola.

O nie władam ja nad sobą, bezwolny i bezwładny jak kamień. I w „jasnych chwilach” życia proszę o jedno: Panie mój! Wspomóż! Nie opuszczaj mnie w potrzebie! Jestem kamień w twoim ręku. Wysił się... i rzuć tym kamieniem w kogo chcesz!...

— No dobra — rzekł pułkownik, kiedy się przyznałem, że nie mam wpływu na bieg wypadków. — Nie chcesz dać Australii, to dawaj Nową Zelandię. Bagatelka, nieduże dwie wysepki. Plunąć i już.

Powtórzyłem, powołując się na dialektykę, że nie jesteśmy upoważnieni do ulepszania czy pogarszania historii, i wprowadzałoby to tylko anarchię oraz subiektywny idealizm.

— Ale przecie byśmy tylko troszki ulepszyli, ciut'-ciut'. No, co ci to szkodzi! Po przyjaźni — Nową Zelandię... Holandię-śmy wyzwolili, a Nową Zelandię — psu pod ogon?

Nie był mocny w dialektyce, bynajmniej. A jednak była to dusza ambitna, wspaniała. Kto wie, może wcielony Tamerlan? Piotr Wielki? Fryderyk Nietzsche? — przebierałem w umyśle różne warianty...

Aliści przy bliższym wejrzeniu — co się okazuje? Policaje różnych szarż oraz więziennicy — formowali długi szereg za plecami mego szefa — dopiero teraz ich zobaczyłem, kiedy wpatrzyłem się z zaostrzoną uwagą w głębię jego dużego, ociężałego ciała.

Szereg ten gubił się w mgławicy najdawniejszych cywilizacji i wylął się z mroków w tak stopniowanej gradacji, że z początku odniosłem wrażenie, iż wszyscy są urobieni na jedno kopyto. Ale po chwili dostrzegłem różnice: każda z kolejnych szarż była o stopień wyższa od poprzedniczki. Jak gdyby rodzili się w tym tylko celu, by szczebel po szczeblu awansować w służbie. Ostatni dociągnął do rangi podpułkownika już za Aleksandra II — nasz pułkownik stał u szczytu ewolucji.

Ale i on sam, i każdy z jego poprzedników, wkraczając na scenę dziejową, musiał rozpoczynać karierę od prostego dozorczy i powtarzał w swojej służbo-genezie wszystkie poprzednie stadia wielowiekowej hierarchicznej ewolucji. I bez żadnych wróżb i zgadywań można było założyć, że tytuł pułkownikowski nie jest jeszcze uwieńczeniem ich postępujących trudów, lecz służy na przystanek na drodze awansów.

Wobec tej nieodpartej potrzeby samoudoskonalania, wobec tej integracji wszystkich działań w jeden ciąg postępu — odczułem to wyraźnie — w ostatecznym rachunku nie ustoi żadna tam Australia czy Nowa Zelandia, nie mówiąc o mniejszych płótkach! I kiedy pułkownik Tarasow, żegnając się ze mną przed zaśnięciem, po raz drugi i trzeci poprosił o pomoc w przyszłej bitwie o Nową Zelandię, byłem mocno zachwiany w swojej nieustępliwości. Przy-

rzekłem zastanowić się i znaleźć jakieś wyjście, które pozwoli bez obrazy materialistycznej dialektyki — przyspieszyć dojrzewanie oraz proces adaptacji tych oderwanych od rzeczywistości wysp.

Tylko że — powiedziałem pułkownikowi — i mnie trzeba pomóc w jednej delikatnej sprawie, dotyczącej mojej nielegalnej żony, z którą zresztą każdej chwili gotów jestem wstąpić w związek małżeński.

— A bierz sobie choćby i dziesięć żon! — zawołał pułkownik z tak szczerym zapałem, że zrobiło mi się przykro z powodu mojego małostkowego wybiegu. A jednak, mojej sprawy mu nie wyłożyłem, chciałem, żeby się wyspał i rozważył sobie sytuację na trzeźwo. Sam zresztą miałem potężny ból głowy od piekielnego „Araratu”, huśtało mną jak w kołysce, póki nie zasnąłem...

Tej nocy przyśnił mi się sen — jeden z tych snów, które wpływają na bieg naszego życia. Zdawało mi się, że idę sobie szosą i naraz natykam się na patrol. Bardzo być może, że pobudki moje były karygodne (może ukrywałem się przed kimś, a może skądś zbiegłem), ale nękała mnie jedna natrętna myśl: Puszkina rozstrzelali, Bołdyriowa rozstrzelali, to i mnie nic lepszego nie czeka. Więc gdy zamierzali mnie zatrzymać i sprawdzić dokumenty, dałem chodu w ciemność, mimo ich krzyków „stój”. Zdaje się, że nawet strzelali za mną. Na szczęście, nie chciało im się ścigać mnie na wyboistej drodze.

Z parę razy potykałem się i przewracałem, ale jakoś biegłem dalej, rad, że wykręciłem się z biedy. Lekko, ruchem opływowym smyrgałem wzdłuż parkanów, wiedziałem, że zbliżam się do domu i już niedługo zobaczę swoich bliskich, których od tak dawna nie widziałem! Ale do domu nie poszedł, postanowiłem najpierw wpaść na chwilkę do znajomej. I rzeczywiście, zaraz znalazłem się pod jej okienkiem, a wspiąwszy się na ganeczek bez szmeru, nie obudziłem nawet śpiącego pod gankiem psa.

Moja Natasza była sama, siedziała przy stole i przy świetle lampy naftowej czytała książkę. Pamiętam, że śnie pomyślałem sobie, że wszystkie moje strachy były bezpodstawne, skoro znajduję Nataszę w tak dobrej formie. Nagle zdjęła mnie ciekawość: a cóż ona czyta? Bo już przed wojną urabiałem jej smak literacki, nawet podarowałem jej — ku niezadowoleniu mojej żony — poezje Pus-

kina i Böldyriowa. Ale teraz miała przed sobą mój własny mocno sfatygowany egzemplarz pewnej starożytnej powieści pt. „Śniedz”, czy „Zamiec”, którą kupiłem przed ostatnią wojną na dokładkę do kompletu dzieł jakiegoś przedpotopowego autora z czasów Puszki. Musiałbym ją jeszcze raz przeczytać, nie bardzo ją pamiętam — w każdym razie coś pouczającego — ale czyżby Natasza w dalszym ciągu korzystała z mojej biblioteczki? — pomyślałem sobie i cichutko zastukałem w ramę okienną.

Okno było zamknięte. Pewno dlatego, żeby z ciemnego ogródka nie wtargnęły ćmy, komary i inne muszki. Ale spora ich ilość mimo to krążyła wokoło lampy i tłukła się o szklany klosz, pozostawiając na nim białawy pyłek. Chwilami Natasza, odrywając się od książki, otrzepywała stronicę i patrzyła w okienko, rzecz jasna, nic nie dostrzegając w tych ciemnościach. Spojrzenie jej wyrażało tylko oczekiwanie i puste, jałowe życie samotnej kobiety, mnie zaś dręczyło poczuciem niewypełnionych wobec niej obowiązków, którym teraz wreszcie mogłem uczynić zadość. Zabębniłem w szybę, ale widzę, Natasza nawet nie drgnęła na to bębnienie, zapewne biorąc moje sygnały za dokuczliwą muzykę owadów? A ja nie jestem w stanie zagłuszyć szmeru ich biednych skrzydełek! — perswadowałem sobie, że dzieje się tak zapewne dlatego, że wszystko w ogóle odbywa się we śnie i moje sygnały — senne drapanie w szybę — nie dochodzą do Nataszy.

Więc odłożyłem nasze spotkanie na później i poszedłem do domu, prosto przez ogródek, po trawie, gdzie roilo się od pasikoników, aż na drugi koniec posesiadka.

Nasz pies, którego na noc trzymano w budzie, nawet nie szczerknął na moje powitanie. Pomyślałem sobie, że może zdechł w czasie mojej nieobecności. A w ogóle — czy nasz domek jeszcze stoi, czy dzieci zdrowe? Wyglądało jednak na to, że wszystko jest po dawnemu, na parterze w kuchni, która służyła również za jadalnię, paliło się światło. Za długim pustym stołem siedzieli: mama, tato, wuj Grisza, ciocia Sonia i inni krewni i przyjaciele, których nie spodziewałem się tu zastać. Wszyscy oni jak gdyby czekali na mój powrót, siedzieli w milczeniu, z wyciągniętymi na stole ciężkimi pustymi rękoma, a ledwom wszedł, unieśli głowy, i ktoś, zdaje się wujek Grisza, rzekł:

— Patrzcie, Wasyl...

Co znowuż za Wasyl? Za kogo mnie tu biorą? — pomyślałem i od razu spasowałem: no, naturalnie Wasyl. Któż by inny?!

Ale wyczuwałem coś niedobrego w tej radzie rodzinnej i zapytałem, dlaczego nie widzę wśród nich mojej żony i dzieci?

— Proszę cię, nie denerwuj się — rzekła mama.

— Nie żyją? Chorzy? Wywiezieni?

— Nie, nie, wszyscy żywi, na wolności, dobrze się miewają, a Zeńka zrobiła się taka duża...

Mama starała się mnie uspokoić, ale ta jej gorączkowość wzmagająca tylko mój niepokój.

— Więc gdzie się podzieli? Dlaczego ich tu nie ma? Odpowiedźcie wreszcie!

— Całkiem niedaleko... pojechali do miasta... niedługo wrócą.

— Przestałabyś, Lizawieto — wtrącił się tato i wstał od stołu. — Wasyl nie mały, nie ma się co ceckać. Powinno mu się powiedzieć.

— Nie, nie, zaczekaj, niech się trochę oswoi — denerwowała się matka, ale ojciec brutalnie odsunął ją i, nie patrząc na mnie, powiedział:

— Zrozum, Wasyl, tyś przecie umarł.

Wszyscy siedzieli za tym stołem ze spuszczoneymi oczyma. Wtedy dopiero połąpałem się, że przecie stoję i rozmawiam ze zmarłymi. I dalej uprzytamniałem sobie: ach, tak, przecie i ojca, i mamy, i wuja Griszy dawno już nie ma na świecie. Chciałem więc odejść stąd, póki czas, pożegnać Nataszę, usprawiedliwić się — ale tato ścisnął mnie mocno za łokieć i odciągnął na bok.

— Zapal — powiedział nakazująco i podsunął mi pod nos naddartą paczkę papierosów.

I po cichu, by nikt nie słyszał, dodał:

— Miej litość nad matką — uspokój się. Jak to możliwe, żebyś nie wiedział, że cię zastrzelili? A jakże, dopiero co, za posiołkiem. Na szosie. Cóż ty tak oczy wylupiasz? Nie trzeba było uciekać. Sam sobie jesteś winien.

— Ale co będzie z Nataszą? Jak ja się spotkam z Nataszą?! — krzyknąłem i obudziłem się z rozpaczy.

...Do tej pory nie wiem, co ten sen oznaczał i czy mam go rozumieć w jakimś wyższym, alegorycznym sensie? Czy może, w rzeczy samej, pod imieniem Wasyla mam jesz-

cze raz przeżyć w przyszłości i tę ucieczkę nocną, i to poronione spotkanie z nieosiągalną Nataszą, która już nigdy nie usłyszy mojego zapóźnionego stukania, bo w międzyczasie zastrzelono mnie... I co tu robi Puszkina? I ktoś to jest Bołdyriow? I jaką przedpotopową książkę wzięła z mojej biblioteczki Natasza, i jaki jest naprawdę jej tytuł: „Śniedz”, czy „Zamiec”, i czy aby nie jest to moja własna opowieść, którą właśnie piszę, pod nieco tylko odmiennym tytułem?

Ale z drugiej strony, w tym śnie było wiele takich elementów, które tłumaczą się łatwo moim ówczesnym stanem ducha oraz wrażeniami z życia więziennego. Bardzo być może, że po prostu — naturalnie wciąż we śnie — próbowałem wydostać się na wolność, i ta moja próba przybrała zagmatwaną postać. A może jedno i drugie, przyszłość splątała się z przeszłością? Trzeba dożyć do właściwego momentu, żeby móc w praktyce sprawdzić spełnienie się marzeń sennych.

Ale w owej chwili, pod świeżym wrażeniem snu, nie przyszło mi to na myśl. Wiedziałem tylko, że Natasza ciągle wymyka mi się z rąk. Doprowadzało mnie to do rozpacz.

Nazajutrz zatem od rana rozpocząłem pertraktacje z pułkownikiem: prosiłem, aby bodaj na jedną dobę zasekwestrował Nataszę i dla jej dobra umieścił ją pod kluczem, najlepiej w mojej celi, na familijnym że tak rzeknę etacie. Ma się rozumieć, musiałem mu przy tej okazji wyłożyć wszystko, co dotyczy miejsca i terminu szykującego się wypadku, któremu zapobiec — obowiązkiem jest i honorem władzy radzieckiej.

Ale, jak gdyby zażenowany z powodu swoich wczorajszych wyczynów przy „Araracie”, pułkownik Tarasow był teraz jak na złość nad swój stan logiczny i rezolutny:

— Na jakiej podstawie przypisujecie taką rolę zwyktemu sopłowi? Czemuż by ten sopel — przygodna i nieważna kruszyna lodu — musiał akurat ugodzić waszą Nataszę w głowę? I to koniecznie pojutrze, w dodatku o dziesiątej rano?... Takie coś się w życiu nie zdarza. Nie widzę w tym żadnej logiki, żadnej prawidłowości. A poza tym — sami opowiadacie — ostrzeżliście przecież waszą Nataszę! po co miałyby pójść tamtędy?! Akurat w tej samej chwili, kiedy sopel ma jej spaść na głowę!...

— Ech, pułkowniku, nie znacie kobiet. Przecież pójdzie, jak Boga kocham, pójdzie. Choćby z przekory. Wie, że nie powinna, więc pójdzie. A poza tym — co za różnica: sopel czy bomba? Mikrob, na ten przykład, jest jeszcze mniejszy. Każdy przypadek, zechciejcie to zrozumieć, jest nieuchronny, nieodwracalny, o ile się go przepowiedziało. Jak wyrok Sądu Najwyższego. Przecie sami wiecie — nieodwołalny! Jednych rozstrzeliwają mikrobami, innych — soplami, a innych znowu — przy usiłowaniu ucieczki. Każdemu co mu się należy. Między nami mówiąc, wszyscyśmy skazani. Tylko nie wiemy dnia, ni godziny. A ja — wiem, wiem i denerwuję się. Ach, gdybyż to móc nie wiedzieć!

Po godzinie dysput i targów namówiłem go wreszcie, by złożył wniosek. Nie chciał bowiem bez upoważnienia władz wyższych zatrzymać mojej żony. Czekamy zatem na znak z góry. Za to przez ostatnie dwa dni nie rozstawał się ze mną i nawet kazał wstawić do mojej celi łóżko polowe.

Pomyślałem też o sobie: zakratowane okno szczelnie zasłonięto, zegar wyniesiono. Tak będzie lepiej.

Piliśmy i pracowali przy świetle elektrycznym. Rozkład dnia całkiem się poplątał, jedliśmy śniadanie czasem o ósmej, a czasem o jedenastej wieczór. Niestety, niesposób wyzbyć się radykalnie poczucia czasu — odczuwałem wyraźnie, jak czas rozciąga się od śniadania do obiadu, pozerając po kawałeczku przeznaczony mi termin. Unikałem wszelkiej wzmianki o przedmiotach, które mogły mi przypomnieć feralny sopel. A jednak ciągle na nowo wyobrażałem sobie, do jakiej wagi doszły te polipy z lodu, te ślimaki ze spuszczoneymi w dół łebkami.

Najszkaradniejsza była okoliczność, że sopel miał niepoważne rozmiary i formę, sugerującą poczucie bezpieczeństwa. Gdyby był cokolwiek grubszy, bardziej kłkowaty, zauważono by go od dawna i usunięto. Pułkownik na moją prośbę wysłał dwukrotnie na miejsce oddział żołnierzy z obrony przeciwlotniczej. Przeszperali cały zaułek — nic nie znaleźli. A tymczasem sopel wisiał niedostrzeżony i uciskał moją psychikę, a Natasha z dala ode mnie profitowała z wolności, a raport pułkownika Tarasowa koczował od instancji do instancji, bez żadnego pożytku. Bo, krótko mówiąc, wszędzie panuje nasz przysłowiony bałagan.

W czasach późniejszych często zadawałem sobie pytanie, co by też było, gdyby pułkownik, łamiąc dyscyplinę, jednym pilnym zarządzeniem ulokował Nataszę pod bezpiecznym dachem? Co by się w tym wypadku stało z so-plem? Koniec końców, wszystko to wyglądało na szopkę! Zbieg groteskowych okoliczności, w zasadzie każdej łatwo zapobiec. Zresztą, mój dar odgadywania czy przewidywania, który był pierwszą przyczyną naszych nieszczęść, czy i on również nie był przygodną pomyłką? Gdybym tego wieczoru na bulwarze Kolorowym nie był się durnie pospie-rał z Nataszą na temat śniegu, gdyby tego wieczoru po prostu pogoda była inna — nic by nie nastąpiło! A tym-czasem wszystko działa się tak, a nie inaczej i siedząc oto pod kluczem, wypatrywałem końca nieomal z niecierpliwo-ścią: żebyż to prędzej! No, spadnijże nareszcie! I niech ja już mam święty spokój...

Męczyła mnie myśl, że bezlitosna przyroda, na do-miar udręki, pokaże mi naocznie i tę fatalną scenę, na swój błazeński sposób. Niby że: „na masz, przekonaj się, jak trafne było twoje proroctwo”. I ot, wygodnie rozparty w fotelu więziennym zobaczę, niczym w kinie, Nataszę — wbitą w śnieg szklistą strzałą, a zaraz potem i dozorczynię, zasypującą piaskiem mokre miejsce, i tłumek, rozchodzący się niechętnie, wpatrzony z respektem w dach...

Ale wszystko odbyło się inaczej. Pewnego razu sie-dzieliśmy i pracowali, gdy naraz Tarasow spytał jakby żartem:

— Jak wam się zdaje, czy zaawansuję na generała? Czy też pomrę w szarży pułkownika?

Po raz pierwszy pułkownik okazał zainteresowanie własnym losem. Naturalnie, bez wahania powiedziałem, że niewątpliwie z biegiem lat zaawansuje do rangi generalskiej, a może i wyżej. Ale odpowiadając mu machinalnie, byle zbyć, równocześnie zamyśliłem się nad tym zagadnieniem i oto przed moim wzrokiem wewnętrznym zamajaczyła zamglona panorama... Tak jest, poniosło mnie tego w przy-szłość: pominąwszy wiele pośrednich ogniw, zobaczyłem ziemię, którą zresztą niebardzo można tak nazwać, bo była pokryta wieloma warstwami lodu. Zresztą, pojęcie „lodu” podaję warunkowo i raczej w metaforycznym sensie, albo-wiem na razie jeszcze nie wiadomo, z czego się mianowicie składały te stalaktyty i stalagmity, sterczące niby kolosalne

sople. Być może, były produktem jakiegoś skamieniałego gazu, a może i ducha, sprasowanego pod najwyższym ciśnieniem. Nie byłem nawet pewien, patrząc na ten obraz, czy wciąż jeszcze przebywam na planecie Ziemia, czy już gdzieś w kosmicznej przestrzeni?!

Aliści, jakimś nieuchwytnym zmysłem, pojąłem ponad wątpliwość, że mam przed sobą bynajmniej nie bezwładną i bezkształtną naturę, ale na wskroś żywe, rozumne, choć sztuczne istoty o najwyższej strukturze. Co więcej, najbliższej umieszczony i jak gdyby kierowniczy w tym landszafcie sople był ni mniej ni więcej — samym pułkownikiem Tarasowym, z tą, ma się rozumieć, różnicą, że w innej randze, pod innym nazwiskiem i z całkiem nieomal odmienną powierzchownością. Przecież, w samej wewnętrznej organizacji i w stylu życia niejako tego polipa z lodu, który to się okrywał potem, to zastygał w oślizgłych, polerowanych spiralach, a nade wszystko bez ustanku rósł i rozwijał się a rosnąc, drapieżnymi kłami zagrażał innym tworom — w tym wszystkim, powiadam, czuło się dawny upór oraz rozum polityczny pułkownika Tarasowa i nawet jakąś jego wewnętrzną rzetelność i serdeczność.

Proszę mnie nie zrozumieć opacznie i nie szukać w tych słowach aluzji, czy oszczerstwa pod adresem dziejowego procesu, albo zgoła podstępnej intencji oczerniania lepszego jutra. „A za pozwoleniem — zawoła ten i ów czytelnik — a słychaneż to rzeczy, aby zdrowy człowiek, ba, w pewnym sensie działacz państwowy, występował na wyższym etapie w postaci sopla?! Więc jakże mamy to wszystko rozumieć, czyż nie mamy tu do czynienia z najtypowszym pomniejszaniem i oczernianiem?!”.

Nic podobnego — odpowiadam stanowczo — i nie trzeba tu w ogóle nic rozumieć, bo i ja sam jeszcze nie bardzo rozumiem, w jaki to rzeczywiście sposób energia ożywająca Tarasowa w jego pułkowniczym życiu, wcieli się w odległej przyszłości w tak dziwną, oryginalną formę?

Zresztą, żeby się nie narażać na fałszywe interpretacje, godzę się wycofać wszystko, com na ten temat napisał, a także uznać to dziwne zjawisko za odbicie mojej własnej psychicznej traumy. Proszę bardzo! Z drugiej jednak strony, od tego czasu upłynął już dostateczny szmat czasu, by przystąpić do zagadnienia z większym obiektywizmem i spokojem, a mówiąc między nami, nie dopatruję się niczego

złego w stalaktytowej formacji, choćby nawet, jak wierzę święcie, kontynuowała na innym etapie doniosłą misję mego szefa. I chociaż, jak się w następstwie okazało, pułkownik Tarasow przeszedł na emeryturę, nie doczekawszy się awansu, obietnice moje w tym względzie nie były oszukańcze: wówczas brałem pod uwagę dłuższą perspektywę, przekraczającą miarę życia jednostki.

Ów bowiem ukazany mi gigantyczny sopel był w sensie progresywnym większej wagi niż jakiś tam generał, czy nawet marszałek. Mimo braku widocznych dystynkcji wysokiej godności wojskowej, wedle których nauczyliśmy się rozpoznawać naszych naczelników, sopel ów inteligencją i stopniem rozwoju zakasałby nawet cara, gdyby takowy istniał w naszej rzeczywistości. Trzeba tu tylko uwzględnić, że wychował się i rozwijał w zgoła odmiennych, jak się już rzekło, warunkach dziejowych, a nawet — można by pomyśleć, na innej w ogóle planecie, i właśnie coś co stąd wydaje się nieważnym sopelem, tam być może jest uwiecznieniem wszechstworzenia.

Tak czy owak, przyszłość pułkownika Tarasowa wydawała mi się wówczas w najwyższym stopniu obiecująca i promienna, i nie mogłem odwieść oczu od jego gładkiej lodowatej powierzchni, która okrywała się coraz to nowszą warstwą.

— Czego wylupiasz na mnie gały? — zapytał pułkownik z właściwą sobie — wówczas! — ludową dosadnością.

I ledwo to powiedział, sopel znikł, jak gdyby stopniał, albo pacnął pod stół, a na jego miejscu, pod piśmiennymi przyborami, najwyraźniej obrysowała się masywna, męska sylwetka, siedząca vis-à-vis w zwykłej swojej postaci.

A właśnie że nie w zwykłej! Jakoś-ci od razu pobladł, mój Tarasow, jakoś-ci oklapł, — jak gdyby, przekazawszy sopolowi całą swoją potencjalną krzepę, wyczerpał się, postarzał o lat wiele. Powiedziałbym nawet, że zmienił się nie do poznania: stary, zmęczony człowiek w zatłuszczonym mundurze ze strzępiącymi się wyłogami, podreperowanymi nieumiejętną igłą.

A przecież pewno ma i żonę i dzieci — pomyślałem ze zdziwieniem, bo przedtem ani mi na myśl wpadło zastanowić się nad życiem rodzinnym Tarasowa, którego, zdawało się, w stu procentach pochłaniały sprawy publiczne. Ale moje zdziwienie niepomniecznie wzrosło, kiedy próbując

rozwiązać tę prostą zagadkę, nie zdołałem sobie żadną miarą wyobrazić ani żony, ani dzieci tego tu Tarasowa, który stał się dla mnie raptem nierozstrzygalną zagadką, mimo że tak nachalnie uzewnętrzniał się wszystkimi swoimi zmarszczkami, zwiędłą cerą, wyłogami.

— Czego się na mnie wysłepiasz? — rzekł pułkownik z wyrzutem, jeżąc się mimowoli, jak gdyby mu się zimno zrobiło.

— Powiedźcie, pułkowniku, mieliście kiedy żonę, dzieci? — zapytałem.

Nie zdążył odpowiedzieć. Zasapany adiutant przybiegł z wiadomością, że pułkownika pilnie wzywają do telefonu. Wyszli natychmiast, obaj czegoś zdenerwowani, zapominając nawet zamknąć za sobą stalowe drzwi.

W innych okolicznościach podążyłbym za nimi myślą. I wiedziałbym przed nimi, o co chodzi. Ale teraz głowa moja funkcjonowała marnie, pusta, mdła, jałowa; nie chciało mi się nic robić. Osaczony przez masę informacji które bez ustanku wpływały ze wszystkich stron, za dużo w ostatnich czasach myślałem, a myślałem tak intensywnie, w takim naprężeniu, że teraz mogłem sobie przecie pozwolić na odsapkę.

Rozglądałem się zatem po moim lokalu służbowym, który jeszcze niedawno wydawał mi się urządzony z takim przepychem a teraz w sposób uderzający zmatowiał i zbidniał. Powszędy wylazły jakieś szpary, śmiecie, ślady butów, zbieranina z różnych rekwizycji — wątła szafeczka nocna z dykty, kanapka na kurzych łapkach, pomalowana na mahoni, ze śladami zatłuszczonych palców na poręczy, z na pół odłupanym rysunkiem, wyobrażającym dziewczę z zartartym nosem — cały ten mikrobrud człeczkiej egzystencji, który mówi o długoletniej mizerii...

Ale wszystkie te detale, nagle unaocznione, nie mówiły mi nic poza tym. Patrząc na jakiś śmieć, z którego jeszcze nie dawno wyciągnąłbym tyle strasznych historii, myślałem sobie po prostu: no i co, że śmieć, no i Bóg z tobą, polatuj sobie śmieciuszkę.

Kiedy pułkownik wrócił i jękając się oznajmił mi śmierć Nataszy, zapytałem go tylko, kiedy nastąpiła.

— Kwadrans temu — rzekł pułkownik i opowiedział pokrótce, co mu dyżurny powiedział przez telefon: Dyżurny ów kontroler — a mówiąc z prosta, szpicel — trzymał

się w pewnej odległości od Nataszy i ustalił na chronometrze godzinę punkt dziesiątą.

Pułkownik był wyraźnie zmieszany. Żeby siebie usprawiedliwić, urągał zwierzchniej władzy, która była zawczasu uprzedzona, ale diabli wiedzą dlaczego nie rozpracowała sprawy w porę. Słuchałem go niedbale. Chciałem powrócić myślą do sopła — nie tam tego, który zabił moją Nataszę, ale tego który utworzy się za lat być może milion po nas. Nie wiem, co mną kierowało, najpewniej chęć — niestety, spóźniona — odkonspirowania natury tego stworu, tak marnego, nieszczęśliwego i zagadkowego w swoim nieszczęściu. Pamiętałem dobrze, że potrafi być groźny i twardy jak ów sopel, ale nie mogłem już sobie tego wyobrazić. W ogóle nie mogłem sobie wyobrazić, co bywało i będzie w życiu tego postarzałego sflaczałego oficera z pomarszczoną głową i wytartymi wyłogami. Jakoś nie mogłem go zebrać w jedno, cały się rozsypywał detalicznie — jakieś ci tam guziki, plamy, zmarszczki.

— Czego się na mnie wysłepiacie? — wrzasnął i rąbnął w stół pięścią. — Może myślicie, że was bujam?!... Sami wiecie najlepiej — nie mogłem, nie mogłem, nic nie mogłem... łatwo udowodnić. Nie moja wina. Ale od jutra znów zaczynamy...

— Nie, pułkowniku, nic nie zaczynamy — powiedziałem, odwracając oczy od nieuchwytnych zmarszczek. — Żałuję bardzo, ale nie będę już wam na nic przydatny. Jakiś kwadrans temu cały mój dar jasnowidzenia poszedł w diabły. Nie umiałbym nawet powiedzieć, czy mieliście kiedy żonę. Teraz już nic nie wiem. Koniec, szlus...

E P I L O G

Oto i skończona opowieść moja, i pozostaje mi tylko dodać kilka wyjaśnień, które nie zmieściły się na początku ani w środku opowiadania, a mogą oświecić czytelnika, o ile zechce zagłębić się w niniejszą historię myślą i uczuciem. Ale któż to w istocie jest — ten mój czytelnik? Do

kogóż to, właściwie mówiąc, przemawiam, na kogo liczę? Czy to aby nie ja sam? Bo i rzeczywiście: czy chcesz czy nie chcesz a pisząc, czytasz coś napisał, raz, i drugi — dziękować za to Panu Bogu, bo przynajmniej jeden czytelnik gwarantowany.

— Za pozwoleniem — wtrąci ktoś, — przecie nie dla samego siebie zadajecie sobie tyle trudu, pisząc po nocach, nie śpiąc i tracąc resztę sił?!

— Dla siebie — odpowiem uczciwie i szczerze. — Ale nie dla tego „siebie”, którym jestem w chwili bieżącej, ale dla tego, którym będę kiedyś. Zastrzegam się że owszem, każdy współczesny mi czytelnik może, jeśli ma ochotę, przyłączyć do mnie z łatwością. Bo nikt z nas nie wie, kto był kim i kim będzie. Może to właśnie ty, czytelniku, jesteś mną? Dlatego trzeba na razie komunikować się ze wszystkimi, a dalej — zobaczy się.

Bo i co widzimy, w rzeczy samej? Żyje sobie jakiś ktoś, żyje — i naraz trach! — i już go nie ma, zamiast niego w tym samym miejscu są inni ktosie i kolejno oddają się absurdalnemu procesowi destrukcji. Przecież wokoło nic innego nie słyszysz, tylko wciąż: trach! trach! bęc!

Co czynić? Jak z tym walczyć? Na szczęście, tu znajdujemy pomoc w światowej literaturze. Bo ja osobiście jestem przekonany, że większa część książek — to listy, wysyłane w przyszłość z informacją o tym, co się działo. Listy, ma się rozumieć, na poste-restante, z braku dokładnego adresu. Próby, ażeby ex post nawiązać kontakt z samym sobą, z dawnymi swoimi krewniakami i kumplami, póki jeszcze żyją i nie pamiętają, że zaginęli bez wieści.

Zaginął człowiek — szukaj wiatru w polu. Rozpadł się na składniki, zagubił się w tłoku, nie widać go. Trzeba by te wszystkie składniki zwołać, na nowo zebrać: — hej, Wasylku! hej, hej, Natasza! Gdzieś ty, Greta! Odezwiij się, Stepan Aleksejewicz! Gdzieście się wszyscy podzieli? Hej, Clovis! Leonardo da Vinci! Odezwiijcie się!...

Nikt się nie odzywa... Pusto wokoło. Jak gdyby wszystko wymarło. Jak gdyby nigdy nie było tych zdumiewających trzech tygodni, które zmieściły więcej niż mógł wytrzymać mój słaby mózg...

...Wypuszczono mnie zatem z więzienia, po roku i czterech miesiącach. Pułkownik Tarasow długo męczył się, usiłując mi przywrócić utraconą wrażliwość. Strzelał nawet

we mnie ślepyimi nabojami, posądzał mnie o sabotaż. Ale i to nie pomogło.

Zawieziono mnie w końcu do zamkniętego zakładu i przez osiem miesięcy leczono. W rezultacie odzyskałem władzę w nogach.

Przyczyna mojej choroby tkwiła w utracie pewności. Bałem się przesunąć nogę: pośliznę się, ani chybi. Tak przywykłem wiedzieć wszystko z góry, że niełatwo mi było wrócić do normalnego życia, pełnego niespodzianek. Bywało, podchodził do mnie lekarz w białej mycce, a mój puls od razu puszcza się w galopadę. Bo i co można wiedzieć: a nuż doktor zamiast mierzyć puls, szurnie mnie w głowę.

Poza tym tenże sam pułkownik! Ale w końcu przestał mnie katować. Posmutniał. Dostał za mnie porządną wciurę: za długo zadawał się z jawnym szarlatanem, odchylił się, uległ antynaukowej hipotezie. Wypomniano mu też wszystkie koniaki, któreśmy razem wytrąbili. I nigdzie nie brak zawistnych kolegów. A i czasy się zmieniły. Był już rok 1953. Powszechnie rozluźnienie. Ha, wypadnie postawić krzyżyk na karierze służbowej pułkownika Tarasowa.

Pomimo to rozstaliśmy się po przyjacielsku. Przyrzekłem pułkownikowi, że go zawiadomię na wypadek odzyskania mojego daru proroczego. Poradzono mi podpisać zobowiązanie, że nie będę prywatnie uprawiał magii i czarnoksięstwa. Chętnie przystałem na wszystko.

Nie wolno mi było mieszkać w stolicy. Urządziłem się zatem na prowincji, w okolicach Jarosławla, jako anachoreta, z profesji hydraulik. W ciągu dwóch lat uciulałem półtora tysiąca rubli i sumkę tę wysłałem na adres Borysa.

Przekaz wrócił. Okazało się, że Borys ciężko zachorował i w lutym 1954 zmarł na gruźlicę. Któż by przypuszczał! Kiedyśmy się spotkali po raz ostatni, nie wiedziałem, że słowa moje mają moc wyroku. Spełniły się nawet moje błagi...

Teraz, w tej mojej pustelni, opłakiwałem jego przedwczesną śmierć. Byłoby nieźle spotkać się, pogadać o Nataszy. Ma się rozumieć, i on w tym maczał palce, pośrednio był winien. Gdyby nie był doniósł na mnie, wszystko poszłoby inną koleją. Ale kto z nas bez winy?

Parę razy byłem w Moskwie: szukałem Andriuszy. Bezskutecznie. Zapewne wyrósł od tego czasu potężnie. Pewno nie rozpoznałbym już w Andriuszy własnego ojca.

Nie tamtego, który ukazał mi się w owym pamiętnym śnie o Wasylu, ale rzeczywistego, cielesnego, mojego podstawowego tatusia! Umarł, kiedy miałem pięć lat — jemu też było na imię Andriej. Ano tak, zapomniałem opowiedzieć o Andriuszy. Było to jeszcze za życia Nataszy, w Moskwie. Szedłem właśnie do Borysa po forszę i po drodze natknąłem się na dwuletniego chłopczyka, pod opieką niani. Coś mnie tknęło. Przycupnąłem obok niego i spytałem go o imię.

Andriusza nie zdążył odpowiedzieć. Niania — ciemna niością.

Ale jego niebieskie oczęta mówiły o czymś całkiem innym: ta sama niebieska ironiczna głębia, która nachylała się nade mną w czasach mego dzieciństwa. Mądre wejrzenie starszego przyjaciela, który zna wartość każdej rzeczy. Wydawało się, że mruga do mnie...

— Tatusku! — szepnąłem, by niania nie usłyszała. — Kochany tatusiu! Czy dobrze ci w twoim nowym środowisku?....

Andriusza nie zdążył odpowiedzieć. Niania — ciemna masa — chwyciła go za rączkę i czym prędzej oddaliła się ze swoim miłym skarbem. Sądząc z ubranka i z zaokrąglonych policzków, wiodło mu się dobrze. Zapewne trafił do zamożnych kulturalnych rodziców. Ale nie spotkalismy się już nigdy więcej...

A znowu, niedawno, w Jarosławlu, w bufecie kolejowym, spotkałem lotnika, z owego pamiętnego Sylwestra.

— Ścierwo jesteś, a nie jasnowidz! Prowok! Oszust! — zachrypiał, oblewając się pijanymi łzami. — Jakim prawem wlałeś do cudzego życia? Zgubiłeś mnie! Całą moją młodość wykoślawiłeś! Gdybym nic nie wiedział, wszystko byłoby w normalnym porządku. A teraz — co? Jeszcze tylko siedemdziesiąt dwa dni zostało mi chodzić po świecie... Dobrze obliczyłem? No, gadaj, dobrze?...

Odpowiedziałem oziębło, że obujałem go z tą rakieta, która jakoby miała wybuchnąć za pięć i pół roku, w strefie Pacyfiku. W rzeczywistości — rzekłem — nikt nic nigdy nie może wiedzieć: rakietę może wybuchnąć choćby i jutro, a może — nigdy...

— A teraz nie bujasz mnie? Przysięgasz? — pytał z nadzieją w głosie. — Chcesz mnie uspokoić? Lepiej już daj pokój... Powiedz mi całą prawdę!...

Był niekonsekwentny, ten mój lotnik. Ale rozumiałem. Ja sam, w owym fatalnym styczniu, przez całe trzy tygodnie wykręcałem się od prawdy, jak mogłem, dopóki nie dopadła mnie, nie rąbnęła! A teraz, już wolny, udręczałem się niewiedzą: też chciałem znać całą prawdę, której nie zdążyłem w swoim czasie zgłębić, i błagałem Boga, by wrócił mi ten mój piękny dar, którym tak kiepsko zadysponowałem.

Powinienem być wówczas dowiedzieć się dokumentnie, kim będę w najbliższym wcieleniu, czy spotkamy się jeszcze z Nataszą, czy się wreszcie pobierzemy, i jakim sposobem złączyć porozrzucane w czasie i przestrzeni fragmenty? A ja, zamiast tego, jak głupiec uciekałem od śmierci i bałem się jak dziecko, a przecież i tak przyszła i rozłączyła nas. Nie ma Nataszy, nie ma i Susanny Iwanownej, i Boria umarł, i lotnik ma policzone dni...

Nie pamiętam, kto wypowiedział aforyzm: „Umarli zmartwychwstaną”. Nie przeczę. Że wstanę z martwych — to fakt. Już od bardzo dawna w zakładach położni- cych powstają z martwych tłumy. Ale czy oni pamiętają coś ze swojej przeszłości, czy pamiętają nas, swoich bliskich — oto pytanie. A my — czy rozpoznajemy w nich — w tych naszych niewinnych dziatkach — tych, którzy w dawnych wcieleniach byli naszymi żonami, ojcami. Bo przecież, jeżeli nikt nikogo nie pamięta i nie poznaje, to znaczy że wszystko pozostaje po dawnemu, i śmierć separuje nas parawanem zapomnienia — ach, czy wolno aż do takiego stopnia zapomnieć?

Nie wolno. Zresztą, jak wam się podoba. Ale ja — póki to wszystko nie wydostanie się i nie zmieni się — zostaję z umarłymi. Nie można opuszczać człowieka w takiej mizerii, w takim ostatnim i ostatecznym poniżeniu! Bo i co może być bardziej poniżającego niż umarły człowiek?

A żyję teraz przeważnie wspomnieniami. Bulwar Kolorowy. Natasza. Moje awantury z Borią. Dziwny facet. Prosty, byczy chłop — pułkownik Tarasow. Jak się nam dobrze piło! Po historii z Nataszą nie biorę kropli do ust...

Najczęściej wspominam epizody. Obydwa — z przyszłości.

Pierwszy — w szpitalu, w nocy, wszyscy śpią, salowa na taborecie drzemie, czeka, kiedy ją wreszcie zwolnię. A ja muszę jeszcze długo konać i dręczę mnie wyrzuty

że jeszcze żyję, kiedy inni już pomarli. Trzeba być bez sumienia, żeby żyć, kiedy inni nie żyją. Nieuczciwe to, niesprawiedliwe. Ale nic na to nie mogę poradzić...

A dalej — wręcz przeciwnie — stoję na ganku i na równi z ćmami tłukę się o zamknięte okienko. I w żaden żaden sposób nie mogę się tam dostać. za tę szybę przeczystą, do miłej, jasnej izby... Siedzi tam żywa Natasza i czyta książkę, być może właśnie tę, którą kończę. Ja pisząc tutaj, tłukę się tam i nie wiem, czy usłyszy kto kiedy to straszne kołatanie...

Czy mnie usłyszysz, Natasza? Czy doczytasz do końca moją książkę, czy też rzucisz ją w środku i nawet się nie domyślisz, że byłem obok ciebie? Gdybyż to wiedzieć! Nic nie wiem, nie pamiętam. Trzeba by wszystko wytłumaczyć. Uściślić. Od początku. Nie potrafię. Zaraz zamknę książkę. Posłuchaj mnie, Natasza, nim skończysz. Sekunda. Opo- wieść moja jeszcze nie jest skończona. Muszę ci coś jeszcze powiedzieć. Póki mogę... Natasza, kocham cię. Kocham cię, Natasza. Tak bardzo, tak bardzo cię kocham...

1961

S P I S T R E Ś C I

CZYTAJĄC TERCA — Stefan Bergholz	7
<i>Grafomani</i> (przełożył Józef Łobodowski)	77
<i>W cyrku</i> (przełożył Józef Łobodowski)	107
<i>Ty i ja</i> (przełożył Józef Łobodowski)	123
<i>Lokatorzy</i> (przełożył Józef Łobodowski)	145
<i>Gołoledź</i> (przełożył Stefan Bergholz)	159

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 18 SEPTEMBRE 1961
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 3^e trim. 1961

